NUMER 13
ZIMA
2003

INNE PLANETY

opowiadania

poradnik dla autorów fantasy

recenzje

Jacek Sobota „Druga przepowiednia"

„Inne pieśni" w „Innych Planetach"

rys. Paweł Piechnik

POLSKA FANTASTYKA: LITERATURA • MUZYKA • FILOZOFIA

Witajcie!

Czy głupota jest zła? To pytanie nurtuje mnie od dawna. Często słyszy się głosy oskarżające głupotę o największe zbrodnie w historii. Oczywiście nie są to głosy pozbawione podstaw. Coś jest na rzeczy – ogarnięty szałem tłum nie raz dokonywał (i wciąż dokonuje, niestety) rzezi i gwałtów. Masy dawały (i wciąż dają, niestety) łatwo sobą manipulować, idąc jak stado baranów na rzeź szykowaną im przez przywódców stada. To są wszystko sprawy oczywiste (jak ktoś zauważył: *tłum ma zawsze wiele głów, ale nigdy nie ma mózgu*). Ja jednak pytam ponownie – czy głupota jest zła? Czy zło jest cechą niezbywalną głupoty? No właśnie, pojawiają się wątpliwości. Wystarczy trochę zastanowić się nad tym, by stwierdzić, że tak nie jest. Zło i głupota to odrębne kategorie – zło jest błędem etycznym, głupota błędem intelektualnym. Mamy zatem do czynienia z dwoma porządkami, których nie należy mieszać, choć często robimy tak, bo jest to wygodne. Pejoratywność w jednej dziedzinie nie przesądza o pejoratywności w drugiej – równie dobrze można by powiedzieć, że brzydcy ludzie są zawsze szubrawcami (wymieszanie sądu estetycznego z moralnym). To oczywiście bzdura, podobnie jak obarczanie głupoty wszystkimi nieszczęściami świata. Problem w tym, że niegodziwości dopuszczają się często ludzie bardzo inteligentni.

Interesującą odpowiedź na te pytania daje Krzysiek Głuch – polecam jego felieton w tym numerze. Jeśli dobrze pamiętam, autor „Kresów literatury" (a od niedawna publicysta „Frondy") utrzymuje, że nie tyle głupota jest zła, ile zło jest głupotą – tzn. wybór zła świadczy o głupocie, bo długoterminowo nigdy się to człowiekowi nie opłaca. Jestem skłonny się z tym zgodzić. Zboczenie zawodowe podpowiada mi, by ująć problem od strony logicznej: zło jest zawsze głupotą, ale głupota nie zawsze jest złem. Tzn. istnieje taki obszar głupoty, który nie jest podatny na zło – a personifikacją tego stanu może być poczciwy głupiec, człowiek ospały intelektualnie, kiepsko kojarzący fakty i wyciągający wnioski, a mimo to dobry i uczciwy. Zresztą, twierdzenie o tym, że głupota jest zła, można sprowadzić do absurdu w prostszy sposób – poprzez wniosek, że w takim razie wszyscy ludzie umysłowo niedorozwinięci są źli... Albo zadając pytanie: czy Hitler i Stalin byli głupi? Nie byli, choć oczywiście nie byli też tytanami intelektu. W ten sposób dezawuujemy modny dzisiaj pogląd o tożsamości głupoty i zła wszelkiego.

Jacek Sobota (którego felietony możecie czytać już tylko u nas, odkąd wyniósł się z przejętej przez złe moce „Nowej fantastyki") pisze w tym numerze o modzie jako o zjawisku głupim. Przyznaję mu rację – uleganie modzie jest głupie z co najmniej dwóch przyczyn: a) często ktoś chce w ten sposób na nas zarobić, b) zazwyczaj świadczy to o braku charakteru i autonomicznego gustu. Bardziej subtelne i zawiłe rozważania znajdziecie w tym odcinku „Wyznań idioty". Z kolei prozatorskim hitem numeru jest obszerny fragment „Drugiej przepowiedni" – nowego opowiadania Jacka z cyklu mortenowskiego. My pierwsi pokazujemy go światu! Kto spragniony tej specyficznej i niepodrabialnej prozy – niechaj czyta, a kto nie miał dotąd okazji, niech sprawdzi szybko jej walory.

Co jeszcze można rzec o głupocie? Jakoś nie umiem rozważać tego problemu w oderwaniu od zła, więc znów wrócę na ten szlak. Przypomina mi się słynna grafika Goy'i „Kiedy rozum śpi, budzą się upiory" (w oryginale brzmi to trochę inaczej). Na pewno znacie ten sztych: facet leży na stole, jakby spał, twarz ma niewidoczną, a zza jego pleców wylatują maszkarony: sowy, koty i inne demony. Czy jednak sen rozumu automatycznie budzi potwory nienawiści? W czasie Rewolucji Francuskiej rozum wynoszono na piedestał, a nawet na ołtarze (Świątynia Rozumu, kult Istoty Najwyższej personifikującej intelekt etc.), zbrodniarze tamtego okresu nie byli raczej głupcami – a mimo to rozpętali terror, budząc demony śmierci i zniszczenia. Ich intelekt nie spał – spały ich sumienia. Można powiedzieć, że w imię walki z głupotą, przesądem i zacofaniem dopuszczono się monstrualnych zbrodni. A także – aktów głupoty, co najlepiej ilustruje przykład pewnego deputowanego, który namawiał do zburzenia wszystkich feudalnych zamków w całej Francji (echem tego wydaje się szalony pomysł Futurystów, by zniszczyć Wenecję – i pozbawić w ten sposób sztukę współczesną wzorca). Mało kto wie, że słowo „wandalizm" zostało użyte pierwszy raz właśnie wobec masowych rzezi francuskich

klasztorów, kościołów, cmentarzy, pałaców, rzeźb i obrazów w okresie po 1789 r. Dlatego Francuzi obchodzący szumnie co roku święto 14 lipca są dla mnie plemieniem hipokrytów, którzy wolą nie pamiętać o ówczesnych zbrodniach ludobójstwa, zabytkobójstwa i sztukobójstwa (dzięki rewolucji nie znamy ogromnej liczby dzieł sztuki francuskiej). Recydywą był tutaj wiek XIX, gdy zburzono w Paryżu kilkadziesiąt (!) gotyckich kościołów. Nieźle, prawda?... Postęp *muss sein*! A wszystko to odbywało się w imię walki z głupotą wieków minionych.

Czy aby nie wyszła mi z tego mowa w obronie głupoty? To pewnie wpływ Planety Głupców, patronującej temu numerowi „IP". A czy wiara we wpływ planet nie jest głupotą?... Z braku miejsca nie poruszę już tego tematu. Podobnie jak zagadnienia: czy celowa głupota jest jeszcze głupotą? Chyba przestaje nią być, bo prawdziwa głupota musi być nieuświadomiona. Poznańska „Naszość" miała kiedyś hasło: „Nasz cel – głupota", co samo w sobie stanowi paradoks, bo z chwilą zrozumienia własnej głupoty głupiec robi pierwszy krok ku mądrości – i tym optymistycznym akcentem zakończmy wreszcie wstępniak do tego numeru „Innych planet".

Wojciech Szyda

spis rzeczy

krytyka debilna

Maciej Guzek
Space opera is dead 25
Tomasz Berlińczyk
Modyfikowane SF 41
Michał Protasiuk
Syndrom Bregga 44
Piotr Derkacz
Nieobcy w obcym kraju 46
Wojciech Szyda
Patronat piekielny 63
TPFan, Garret, M.
Krótki przewodnik filmowy 65
Watson
The films that should not be 70
Krzysztof Głuch
Niewidzialna wojna 71
Wojciech Szyda
Rozbawieni na śmierć 73

dyskusja e - mailowa

„Inne Pieśni" w „Innych Planetach" 26

felietony kretyńskie

Krzysztof Głuch
Wyjątkowo głupi felieton 9
Jacek Sobota
Moda na skukces 16
Tomasz Berlińczyk
Planeta absurdu 32
Jacek Sobota
Solipsyzm czyli samotność 42

proza szurnięta

Robert Rataj
Obrazek z drzewem Poznania 4
Wojciech J. Grygorowicz
Legenda o GO 54
Zbigniew Wantuch
„Pod Sówką" 34
Jacek Sobota
Druga przepowiednia 48

publicystyka idiotyczna

Piotr Derkacz
Nanotechnologia, starcy i foki 12
Wojciech J. Grygorowicz
Jak walczyć z armią Stanów Zjednoczonych 60
Maciej Witkowiak
Krótki poradnik dla autora fantasy 75

Robert Rataj

Obrazek z Drzewem Poznania

Po prostu tam wisiał – samotny, kołysany lekko przez wiejącą od jeziora bryzę. Panującej wokoło ciszy nie burzył żaden dźwięk, poza cichym i żałosnym poskrzypywaniem sznura ocierającego się o konar. Nie bzyczały pracowite pszczoły, z głębi lasu nie dobiegały zwyczajne o tej porze nawoływania ptaków, nic nie szeleściło w rozłożystych krzewach, które chciwie wyciągały swoje gałęzie, jakby w rozpaczliwym geście chciały zatrzymać przechodzących opodal ludzi.

Ludzie. Ich też tu już nie było, ale wyczuwałem jeszcze nikły zapach potu i niemytych ciał, który szybko rozwiewał rześki wiatr. Może ich niedawna obecność była powodem nienaturalnej ciszy wokoło. Albo właśnie zaczynała się nocna gra o przeżycie, do której przygotowywały się ofiary i ich oprawcy. Gra, w której ktoś nierówno rozdał karty. Było jednak zbyt wcześnie, bo do zachodu pozostały jeszcze jakieś dwie godziny. A może las postanowił chwilą ciszy oddać hołd swemu milczącemu towarzyszowi? Może – tego nie wiem. Cisza ta wydała mi się jednak czymś jak najbardziej na miejscu. Gdyby jednak jej zabrakło, gdyby tuż obok wiecznie rozwrzeszczane wróble urządziły sobie sabat, coś kazałoby mi, podobnie pewnie jak i wam, zignorować ów hałas i skupić się na twarzy powieszonego.

rys. Paweł Piechnik

Doprawdy – było w niej coś niesamowitego. Kiedy zacząłem się jej przyglądać, na myśl przyszły mi szeregi obrazów już kiedyś widzianych – głowy z długich szeregów portretów, patrzące milcząco ze ścian wielkich sal balowych panów tego świata. Wyniosłe profile bite na zaśniedziałych już monetach cesarzy, uzurpujących sobie miano panów świata. Przed oczami stawały szeregi twarzy szlachetnych, pięknych i natchnionych. I wszystkie łączyły się w cudowny sposób przybierając właśnie rysy powieszonego. To nie była twarz zwykłego człowieka, nie pasowała do chłopskiego stroju, w którego resztki odziany był wisielec. Rysy skazanego nie były grube, cechowała je łagodność, ale zarazem pewna władczość. Jestem pewien, że gdyby otworzył w cudowny sposób oczy dostrzec by w nich można ów błysk, który cechuje ludzi naprawdę

wielkich. Piękna twarzy nie niszczyło nawet delikatne napięcie mięśni szczęk, które zacisnęły się na moment przed tym, jak misternie i zaiste zgrabnie skręcona pętla przerwała jednocześnie kręgi biedaka i zakończyła zabawę wieszających. Inaczej, niż inni widziani przeze mnie powieszeni, nie miał na twarzy wyrazu strachu, nie wywalił na wierzch sinego języka, nie popuścił odchodów. Jakby, walcząc o godną śmierć, chciał jednocześnie zachować resztki godności i na późniejszy czas. Co za wola i potęga! Twarz tego człowieka nie bywała za życia spokojna, zawsze wrzała zapewne emocjami. Gniew jednak musiał mu być obcy, jego rysy opowiadały bowiem historię życia pełną radości i śmiechu. Podejrzewałem jednak, że za łuskami powiek, głęboko w oczach, kryło się ziarno zadumy i smutku. Ziarno to zakiełkowało na moment przed śmiercią i rzuciło oprawcom milczące „rozumiem". A potem skryło się ponownie za opadającymi powiekami, obumierając na zawsze.

Władcą jednak nie był. Spytacie skąd wiem? Powiedziały mi to jego ręce. I dłonie. Nie mogły należeć do króla czy księcia. Nie mógł być nawet szlachcicem. Jego dłonie były zbyt szorstkie, widać było nigdy dobrze nie zagojone rany po cięciach szarpiącym narzędziem i małe ukłucia, zapewne pozostawione drzazgi. Były to ręce człowieka ciężko pracującego – umięśnione i poobijane dawały tego milczące świadectwo. Mógł być cieślą albo szkutnikiem, których na brzegach olbrzymiego jeziora były nieprzebrane rzesze. Tak. Zdecydowanie był prostym człowiekiem. Przynajmniej z wyglądu.

Bo w jego egzekucji brały udział prawdziwe tłumy. Ziemia wokoło drzewa i na stokach wiodących do brzegów omywanych niewielkimi falami była zdeptana setkami stóp. Gdzieniegdzie trawa była wygnieciona, jakby całe rodziny siedziały tam i urządzały sobie krwawy piknik. Wisielec musiał być kimś ważnym, kimś, kto zmusił leniwe masy okolicznego chłopstwa do uczestnictwa w tej, zapewne samowolnej, egzekucji. Chociaż z drugiej strony, kiedy przypomnę sobie wypisaną na twarzy pospólstwa żądzę krwi, którą obserwowałem w wypełnionych po brzegi amfiteatrach Rzymu, nabieram przekonania, że tego typu wydarzenia przyciągają ludzi niczym ścierwo sępy. Żadne hasła nie działają silniej niż te dwa – mord i gwałt. Żadna mityczna bestia nie jest straszniejsza niż opętany myślą grabieży i rabunku człowiek! Widziałem po wielokroć dowody ludzkiego okrucieństwa. W różnych miejscach i czasie. I zachowałem wiele wspomnień – drażniąco przyjemnych...

Ach! Kiedy przypomnę sobie ową rzeź, która radowała moje serce wtedy, wśród piasków pustyni, wciąż drżę i czekam, aby móc ujrzeć coś podobnego!

Było już pod wieczór, kiedy zastępy pospólstwa i rycerzy o osłoniętych mocnymi pancerzami piersiach, zostały ponownie odparte przez zdeterminowanych obrońców prowincjonalnego miasta, które rozłożyło się pomiędzy kilkoma niewielkimi, zielonymi wzgórzami. Gdzie-

niegdzie wyrastały na nich palmy, a pojedynczy cedr na jednym z nich rozdawał skąpy cień. Patrząc z dala – samotna wyspa pośród wszechobecnego morza piachu.

I atakujący i obrońcy byli już zmęczeni trwającym tydzień, jak na razie bezowocnym, oblężeniem. O ile jednak atakujących wciąż motywowała zapowiedź nagród, o tyle obrońcy nie mieli po prostu nic do stracenia – nikt kto staje na drodze krwawemu krzyżowi nie ma prawa przeżyć. Tego dnia już nie ponawiano ataków i zarówno najeźdźcy, jak i stawiający opór, przystąpili do lichego posiłku. Wkrótce z miasta dobiegł głos muezina, wzywającego do oddania pokłonu Temu, Którego Imienia Nie Wolno Mi Wymawiać.

Tamta noc, pamiętam, była całkowicie bezchmurna, lecz przeraźliwie zimna. Szczęśliwcy, którzy nie trzymali straży, zaszyli się w namiotach bądź ułożyli wokoło niewielkich ognisk w nadziei zyskania chociaż odrobiny sił przed jutrzejszym, kolejnym dniem walki. Tylko w mieście mało kto odważył się położyć spać, gotowy w każdej chwili rzucić się do broni, pomny losu innych, podobnych temu bastionowi, punktów obrony. „Nie ufaj Krzyżowi, nawet jeśli przychodzi bez broni" – mówili starzy, którzy pamiętali poprzednie krwawe wyprawy wojsk przybyłych z południa.

Nazajutrz jednak stało się coś dziwnego. Miast oczekiwanego natarcia, ranek przywitał obrońców miasta niespodziewaną ciszą. Atakujący zbierali się powoli, ale nie prowadzono żadnych przygotowań do szturmu. Kilka godzin trwał ten dziwny moment wytchnienia, a po nim otwarły się bramy miasta i wyszły z niego karne niedobitki regularnego wojska, do dzisiejszego dnia stojącego na straży okolicznej krainy. Uzbrojeni i wciąż groźni, potężnie zbudowani, smagli wojownicy przemaszerowali nie niepokojeni pomiędzy obserwującymi ich obojętnie najemnymi żołdakami. Tylko niektórzy ze starych oficerów obejrzeli się na niegdyś piękne miasto, którego bramy pozostały otwarte.

Zawarto układ. Żołnierze mogą opuścić miasto, które zda się na łaskę krzyżowców. Mieszkańcy w ciągu następnych dni mieli się przekonać, jaka była ta łaska. Dowodzący tą częścią najeźdźczej armii, francuscy i angielscy arystokraci ruszyli z przednią jazdą dalej, pragnąc jak najszybciej połączyć się z głównymi siłami. Pozostała czerń pospólstwa. Obrońcy miasta powoli zaczęli oddychać, z coraz mniejszym napięciem obserwując wrogów. Spokojnie przeszła jedna noc, potem druga. Niektórzy Arabowie, ulegając swej naturze, rozpoczęli handel.

Nie wiem, kto wbił nóż pomiędzy żebra arabskiego kupca, który rozstawił swój kram zaraz za murami miasta, faktem jest jednak, że wtedy zaczęła się rzeź. Żołdacy, do tej pory powstrzymywani obecnością oficerów, rzucili się do miasta i rozpoczęli okrutny taniec z jego mieszkańcami. Wąskie ulice spłynęły krwią tych, którzy nie zdążyli schronić się w piwnicach i przygotowanych kryjówkach. Rabusie, nie zważając na nieliczne głosy powstrzymujących ich rycerzy, bez litości mordowali mężczyzn, gwałcili kobiety, ze szczególnym upodobaniem zabawiając się z brzemiennymi, którym wyciągali nienarodzone jeszcze potomstwo z rozprutych nożami łon. Nie były bezpieczne dzieci, torturowano starców, którzy jednak nie stawiając żadnego oporu, nie przysparzali grabieżcom większej przyjemności. To zaś czyniło ich jeszcze bardziej wściekłymi. Wściekłe zwierzęta, przybyłe do tej nieszczęsnej ziemi, aby odbić Grób, zajmowały się teraz wymyślaniem jak najbardziej okrutnych tortur i sposobów mordowania, cały czas rabując przy okazji bogate składy kupców. Żadnemu z ogarniętych szałem mordu żołdaków nie chciało się przeszukiwać dokładnie domów – zadowalali się tym, co znaleźli na wierzchu i szli dalej, niosąc zniszczenie i śmierć. Wkrótce zapłonął ogień, który wiatr roznosił po ulicach miasta. I wtedy przestały być bezpieczne nawet i podziemne schronienia – wielu tam ukrytych zginęło w dymie i płomieniach, a ci którzy wyszli trafili wprost pod ostrza grabieżców. Ku mojej uciesze także wielu spośród krzyżowców, otumanionych opium i przeznaczonym na handel winem, znalazło swój kres w skrzesanym przez nich samych ogniu. Spacer po tym ziemskim piekle, sprawił mi naprawdę wiele przyjemności.

Po prawie dwóch dniach rzezi wróciły regularne wojska, po które oficerowie wysłali posłańca. Miasto duchów, wypalone, z leżącymi wszędzie trupami, przejęło trwogą nawet ich przywykłe do walki i zabijania serca. Z trudem zaczęli zbierać grabieżców i wyprowadzać ich poza mury. Tych, którzy wciąż rabowali, zabijano na miejscu. Wśród trupów znaleziono kilku

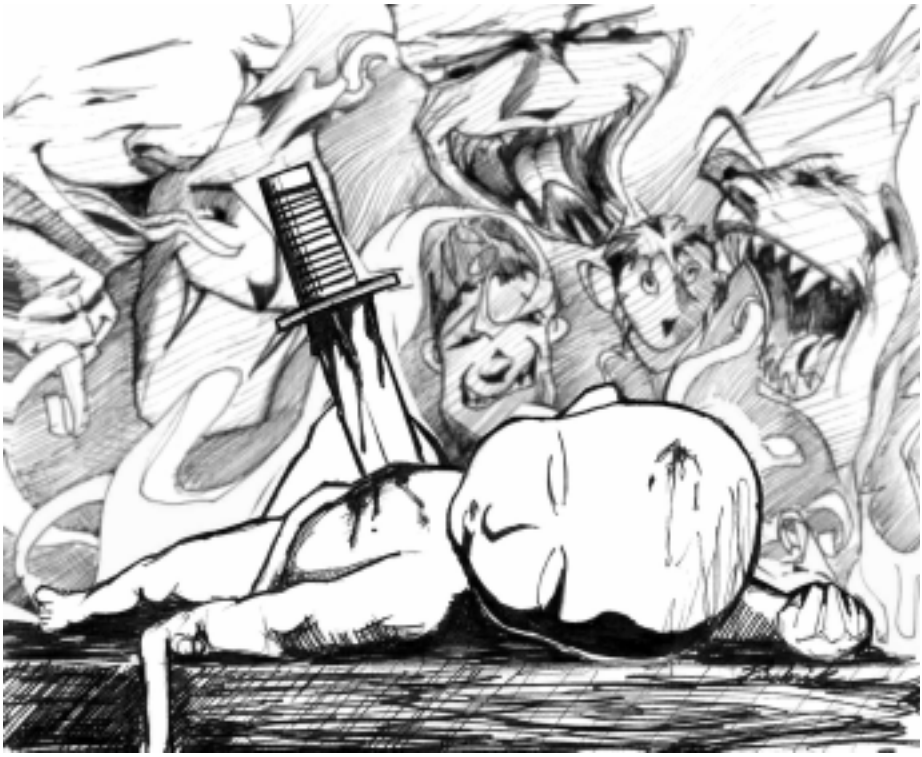

rys. Paweł Piechnik

oficerów – część z nich sama pewnie brała udział w rzezi, część była pewnie ofiarami prywatnych porachunków. Pozostałych przy życiu łupieżców spędzono na otoczony szlacheckimi końmi plac. I wymierzono karę. Co piąty, bez orzekania winy i dochodzenia, trafił pod miecz. A, ażeby nie brudzić sobie rąk, rycerze powierzyli wykonanie wyroków samym skazanym. Pozostałych przy życiu katów zastrzelono z łuków. Jak wściekłe psy. Reszta dotychczasowych maruderów sformowała kolumnę i pod okiem rycerzy ruszyła do dalszej walki.

Za nimi wyszła reszta wojsk. Niektórzy ze szlachty odwracali swoje zapłakane oblicza w kierunku miasta, za którego murami powstawać już zaczęła prowizoryczna osada, mająca dać schronienie resztce mieszkańców tego nieszczęsnego miasta. Co niektóry rycerz szeptał ciche „Przepraszam". Ci przybyli tu zapewne niedawno, omamieni wizją wiecznej chwały. Śmiałem się z nich jeszcze długo po tym, jak skryły ich wzgórza. Pozostała tylko niewielka załoga, w każdej chwili gotowa powiadomić dowództwo, gdyby Arabowie wrócili. A wraz z niemi plac pełen trupów i wypalone gruzy, które, będąc kiedyś miastem, z dumą panowały nad zielonymi wzgórzami. Oraz wielki, drewniany krzyż.

Coś nagle wyrwało mnie z zadumy. I tak już przeraźliwa cisza spotęgowała się nagle i zaatakowała moje wyczulone zmysły, przerywając jednocześnie potok myśli. Wyczułem napięcie otaczającej mnie przyrody. Nie było słychać kompletnie nic – dzwony ogłuszającej ciszy biły gwałtownie w mojej głowie. I nagle zrozumiałem powód tej hałaśliwej i drażniącej ciszy.

Zaczęło się ściemniać. Powoli, ale zauważalnie mrok zaczął ogarniać ziemię. Spojrzałem na słońce – wisiało jeszcze nad horyzontem, coś jednak przygaszało jego ożywcze promienie. Zaćmienie. To ono wystraszyło ptaki i kazało przerwać pracę pszczołom. Nawet ludzie, poddając się zwykle uśpionemu w nich instynktowi, podążyli w pośpiechu do swych nędznych

domostw. I pewnie drżą teraz spoglądając z zabobonnym przestrachem na wielką kulę wiszącą w zachodnim skrawku nieba. Kulę, która już kulą nie była. Widoczny już nawet gołym okiem cień przesłonił ponad trzy czwarte okręgu słonecznego i wciąż, nieubłaganie, kierowany ręką Wroga lub niepokonanym prawem fizyki, zależnie czy patrzył nań chłop czy paryski uczony, posuwał się naprzód, pożerając łakomie dawcę wszelkiego życia. W chwili, gdy cień przykrył całą tarczę, spojrzałem na kołyszącego się nade mną wisielca. Wiedziałem, że nie ma się czego bać, ale mimo to wzdrygnąłem się mimowolnie. Napiąłem mięśnie, gotowy rzucić się do ucieczki, gdyby ten niesamowity chłop o twarzy cezara sięgnął nagle do duszącej go pętli i zerwał ją gwałtownym ruchem. Mimo, że znajdował się na wyciągnięcie ręki, ledwo go widziałem. Ale bałem się przeraźliwie. Ja – pomyślcie! Bałem się wisielca!

W tej samej chwili ciszę przerwało dobiegające z głębi lasu wycie. Przeciągłe i rozdzierające. Najpierw samotnie obiegło echem okolicę, a gdy zaczęło zanikać dołączyło do niego drugie, trzecie, czwarte...Cały las, okoliczne wsie i łąki eksplodowały nagle wściekłym jękiem. Wszystko, co mogło wydawać dźwięk odezwało się tak, jakby właśnie coś rozrywało ich ciała ostrymi szponami. I ucichło nagle po kilkunastu sekundach. I już wiedziałem!

Poznałem kim był wisielec. Nie po twarzy rzecz jasna, bo ta, mimo że piękna i natchniona, była mi obcą. Spotkaliśmy się kiedyś, dawno i daleko stąd, lecz wtedy wyglądał inaczej.

O tak – odkąd ostatni raz się widzieliśmy zmienił się, ale coś rozpoznawalnego w nim pozostało. Coś w wyrazie twarzy – jakaś Potęga! Że też wcześniej tego nie zauważyłem! Roześmiałem się nienaturalnym w panującej wokoło ciszy śmiechem. „Biedny głupiec" – pomyślałem – „Obiecał, że wróci i zrobił to. I co mu z tego przyszło? Głupiec – zawsze dawał ponosić się uczuciom i dotrzymywał słowa!"

– Głupiec! – krzyknąłem głośno patrząc na wiszącego, którego wciąż poruszał lekki wiatr – Mogłeś mnie posłuchać, wtedy, na pustyni!

Stałem tak kilka minut, aż w końcu odwróciłem się i odszedłem od szubienicznego drzewa wraz z pierwszymi, krwawoczerwonymi promieniami na powrót ukazującego się słońca. Mimo tego, że byliśmy wrogami, żałowałem go i odczuwałem pewien niesmak. Nawet wrogowie okazują sobie czasem szacunek.

„Zaiste, ludzie nie potrzebują już Diabła, skoro drugi raz zabijają swojego Boga!"

„Będę tu do czasu, aż On przyjdzie ostatni raz i zakończy to wszystko..."

Robert Rataj

Krzysztof Głuch

Wyjątkowo głupi felieton

Fani fantastyki, nie kłopoczcie się! Przypatrzcie się, bracia, powołaniu waszemu! Niewielu tam mędrców (według oceny ludzkiej), niewielu możnych, niewielu szlachetnie urodzonych. Bóg wybrał właśnie to, co głupie (w oczach świata), aby zawstydzić mędrców, wybrał to, co niemocne, aby mocnych poniżyć.

Głupota to bardzo trudny temat, efemeryczny i nieuchwytny. Przywykłem traktować słowo „głupota" jako bardzo pojemne i przez wielu ludzi z lubością używane, ale nieprzydatne i niewiele mogące zdziałać. Cóż mi po tym, że wypowiem „głupi", „głupia", „głupota"? Doprawdy nie potrafię wyobrazić sobie pożytku z wypowiadania tego słowa (poza wypełnianiem szpalt czasopisma poświęconego głupocie). Szczerze też przyznaję, że gubię się w znaczeniu słowa „głupota". Czy jest to brak inteligencji, czy brak wiedzy, czy choroba psychiczna, czy zła postawa życiowa? Nigdy tego nie wiem.

Na potrzeby tego felietonu spędziłem trzy noce nad rozważaniem istoty głupoty. Napędziło mi to stracha, gdyż wyraźnie doskwierająca mi opieszałość umysłu wzbudziła podejrzenia jakobym nadto wczuwał się w temat rozważań. Po godzinach nieopisanych mąk myślenia (ale czego nie zrobimy dla dobra publicystyki) zdecydowałem, że głupota jest niezdolnością do zachowywania się tak jak trzeba a innymi słowy głupota to po prostu zło i nic innego. Głupota nie ma nic wspólnego z szaleństwem, brakiem inteligencji, sprytu lub wiedzy. Bo weźmy dla przykładu takiego Sarumana - dysponował on statecznym umysłem, bystrym i przepełnionym wiedzą. A pomimo tego, że wkuł na blachę wszystkie trudne zaklęcia, to i tak głupcem pozostał. A dlaczego? Bo był łajdakiem i szubrawcem. Ta szumowina złu się oddała w posługi, co z niczego innego, jak z głupoty nie wynikało. A samo zło, Sauron znaczy się? Ten mimo tego, że sam jeszcze bystrzejszy się okazał i Sarumanem się wysługiwał, to dwóch takich przeciętniaków jak Eomer i Gollum (no i paru ich znajomków) ścięli go jak koniczynkę. Głupi był, że się w ogóle za to zło brał.

Czyli dla mnie głupota to po prostu zło. Ale przecież wiem, że całe zwały pism głupotę widzą w tak wielu przedmiotach, że w zasadzie najwłaściwszy i najbardziej uniwersalny pogląd na głupotę miał stary subiekt Ignacy Rzecki, który niczym Kohelet, mawiał, że „Głupstwo, wszystko głupstwo!".

A Biblia? Też zawarto w niej dość szeroki pogląd na ten przedmiot. Najpierw przymiotem tym obdarzeni są Żydzi - „Więc tak odpłacać chcesz Panu, ludu głupi, niemądry?" (Pwt 32:6), a następnie obrywają poganie - „Mówi głupi w swoim sercu: Nie ma Boga" (Ps 14; 53). Czyli w zasadzie wszyscy nie mogą narzekać na niedostatek tej przypadłości.

Mądrości Starego Testamentu bardzo dużo rozpisują się nad przymiotami głupoty. Wiele z nich aż skrzy się polotem i warto je po trosze przedstawić, gdyż nie są zbyt znane. Tak więc po pierwsze głupota jest troską kobiet gdyż: „Mądry syn radością ojca, strapieniem matki syn głupi". Po drugie rację mam pisząc, że głupota to po prostu zło, bowiem: „Radością głupiego czyny haniebne". Po trzecie wszyscy mędrcy starotestamentowi głupoty unikają jak ognia, bo „Lepiej spotkać niedźwiedzicę, co straciła małe, niżeli głupiego z jego głupotą". Po czwarte głupotę cechuje pewien determinizm albowiem: „Po cóż pieniądze w ręku głupiego? Brak mu rozumu, by nabyć mądrości.". Po piąte pomimo ciążącego fatum można próbować się z głupotą kryć, ponieważ: „głupi, gdy milczy, wydaje się mądrym, kto wargi zamyka - bezpieczny". Po szóste i tak żaden głupiec swojej głupoty nie skryje, bo: „Głupi nie lubi się zastanawiać, lecz tylko swe zdanie przedstawić". Po siódme zaś głupota to nie jest najgorsza rzecz, z jaką można się zetknąć: „Widziałeś człowieka gadatliwego? Więcej nadziei w głupim niż w takim."

Nowy Testament na głupotę patrzy trochę inaczej a można wyróżnić można dwa główne nurty, w których przejawia się w Nowym Testamencie głupota:

Głupota Lemowska - głupotę tą opisuje Apostoł Mateusz w dwóch miejscach. „A

wszelki, który słucha tych słów moich, a nie czyni ich, przypodobany będzie mężowi głupiemu, który zbudował dom swój na piasku" (Mt. 7:26), a następnie dobitniej „One głupie wziąwszy lampy swoje, nie wzięły oleju z sobą." (Mt. 25:3). To jest głupota, którą rozpoznaje się czysto intelektualnie, rozumowo (stąd symbolizuje ją pierwszy intelektualista światowej fantastyki Stanisław Lem). Polega ona na nieumiejętności dedukcji, niemożności połączenia przyczyny ze skutkiem. Głupiec nie potrafi przewidzieć, że zbudowanie domu na piasku spowoduje zawalenie się domu, a zapomnienie o oleju sprawi, że lampy zgasną. Taka nieumiejętność dedukcji prowadzi do zła. A fantastyka od zarania dziejów stara się tego zła uniknąć, nieustannie tropi zależności miedzy przyczyną a skutkiem, pomiędzy tym co jest, a tym co będzie. Walczy dzielnie o nasz intelekt. A najdzielniej walczył Stanisław Lem.

Głupota Dickowska - Dick pokazał nam, że najlepsza dedukcja może okazać się głupstwem, a życie ma w sobie więcej szaleństwa niż dedukcji. Głupota Lemowska to zło i prowadzi do zła. Głupota Dickowska jest afirmowana, prowadzi bowiem do dobra. Literackim przykładem głupoty Dickowskiej jest Parsifal - głupiec, który jako jedyny odnalazł Graala. Innym przykładem niech będzie Luke Skywalker, któremu przecie mądrze z oczu nie patrzyło, a który potrafił zrobić to, co było właściwe. Dzięki temu, że nie opierał się na własnej mądrości, której nie miał, działał jak mędrzec. W Nowym Testamencie Głupota Dickowska opisana jest słowami: „Niechaj się nikt nie łudzi. Jeśli ktoś spośród was mniema, że jest mądry na tym świecie, niech się stanie głupim, by posiadł mądrość." (1 Kor 3:18). Inny fragment opisujący ten rodzaj głupoty umieszczony jest w podtytule niniejszego tekstu. W Science Fiction nieczęsto się poszukuje Głupoty Dickowskiej, kłóci się ona bowiem, choćby pozornie, z racjonalnym światopatrzeniem. Więcej tej głupoty mamy w baśniach, w legendach. Baśnie bowiem snuli ludzie prości, którzy wiedzieli, że mądrości szuka się tam gdzie ona jest, a nie w sercu własnej niemocy umysłowej.

Głupota Dickowska bazuje na paradoksie. Paradoks to między innymi esensja Ewangelii. Mądrość opiera się na głupocie, ale ja nie podejmuję się tego wyjaśniać. Mogę jedynie wskazać, że te Ewangeliczne paradoksy doskonale pojmowali synowie Anglii, którzy oprócz tego, są bandą bydlaków, którzy nastawali na życie Bravehearta i Rob Roya, to również miłują się w paradoksach i od wieków je rozważali począwszy od średniowiecznych mistyków, których imion nie pomnę, po G.K. Chestertona, który nic tylko zestawiał paradoksy.

Uniknięcie Głupoty Lemowskiej dostępne jest tylko dla nielicznych ludzi o tęgich głowach, takich jak Tomasz z Akwinu i Stanisław Lem. Umysły większości ludzi zawsze będą w tej głupocie zanurzone niczym góra lodowa. Co gorsza uniknięcie tej głupoty nie musi sprowadzić nas ku właściwemu postępowaniu. Prawdziwie mądrymi staniemy się tylko i wyłącznie, gdy całkowicie zanurzymy się w Głupocie Dickowskiej. Pewien felietonista Innych Planet, na tyle na ile jestem w stanie go zrozumieć Głupca Dickowskiego nazywa Idiotą. Ta droga dostępna jest szalenie trudna. Ale na ścieżce ku Głupocie Dickowskiej nie ma uprzywilejowanych i mogą nią podążać zarówno umysły piękne, które wyczarowują wykwintne felietony, jak i umysły szpetne, które tworzą w mękach koszmary publicystyki.

I tym zachęcony podążam ku głupstwu.

Krzysztof Głuch

rys. Paweł Piechnik

POD CZERWONĄ PLANETĄ

Dlaczego warto poświęcić życie dla rewolucji socjalistycznej?

motto (od redakcji): Każdy skarży się na swoją pamięć, a nikt nie skarży się na swój rozum.
Oscar Wilde

Tu przedstawię punkt widzenia futurysty. Ze względu na przeludnienie ludzkość ma szansę przetrwać rozwijając się na innych planetach. Do tego potrzeba lepszej technologii, która bierze się z rozwoju. Ale rozwój nie bierze się z nikąd. Nad każdą rzeczą trzeba prowadzić badania, ale na to potrzeba środków. Badania nad sposobami przeżycia w kosmosie nie zwrócą się za życia żadnego współczesnego nam człowieka a skoro celem kapitalistów, czy to rządu czy osób prywatnych, jest zysk, więc nie będą oni płacić za takie badania, a co za tym idzie wszystko stoi w miejscu. Ktoś mi zarzuci, że co ja gadam, przecież dzięki USA dokonał się wielki postęp w tym kierunku. Owszem, ale kiedy ten wielki skok nastąpił? Wtedy, kiedy trwał wyścig z ZSRR, czyli największym kosmicznym konkurentem Amerykanów. Ten skok dokonał się tylko z chęci pokazania, że jest się lepszym. Stanowiło to prawie wszystko a kawałek tego ogromnego programu został zachowany do dnia dzisiejszego tylko w celu zapewnienia sobie głosów ludzi, którzy wierzą w „amerykański kosmos". Wynika z tego, że kapitaliści nigdy nie dokonają odpowiedniego postępu w technologii kosmicznej, ponieważ jest to „nieopłacalne". Mimo, iż powstają nadwyżki produkcyjne zdolne nie tylko do wykarmienia głodnych całego świata, ale też na badania we wszystkich dziedzinach nauki, to nie są one wykorzystywane. Dlaczego? Każdy wie. „Czemu do diabła miałbym komuś coś dawać za darmo?" - myśli sobie każdy większy czy mniejszy przedsiębiorca.

A kto lub co mogłoby zapewnić wykarmienie wszystkich ludzi i badania kosmosu? Odpowiedź: społeczeństwo socjalistyczne a potem komunistyczne. Jako że nie ma w nim pędu do zysku indywidualnej jednostki, wszelkie nadwyżki mogłyby być wydawane na (w tym wypadku) badania kosmosu czyli na to, bez czego w przyszłości ludzkość się nie obejdzie. Nie wierzycie? Zobaczymy...

Marcin N.

Tekst ze strony: http://www.wgr.friko.pl/

Przyp. red. I
My nie żyjemy tak długo jak autor, ale jedyne nadwyżki z jakimi się spotkaliśmy za czasów PRL-u objawiały się nadmiarem octu na półkach sklepowych. I tylko octu.

Przyp. red. II
Redakcja nie dysponuje taką rozległą wiedzą z zakresu ekonomii, jak autor, ale krytykowany „pęd do zysku" jest po prostu rozsądkiem przejawiającym sie optymalnym wykorzystaniem zasobów, w przeciwieństwie do marnotrawstwa gopodarki socjalistycznej.

„Głupie" aforyzmy

Fajnie być idiotą, zwłaszcza jak nikt nie patrzy.
Stanisław Jerzy Lec

Największym głupcem jest ten, kto myśli, że nim nie jest, a wszyscy inni są.
Rita Tushingham

Jesteśmy o wiele bardziej opodatkowani przez nasze próżniactwo, pychę i głupotę niż przez rząd.
Benjamin Franklin

Piotr Derkacz

Nanotechnologia, starcy i foki

Nanotechnologia a fantasy

Poniższy felieton jest kolejnym z cyklu "ekonomii w fantastyce", czy jak kto woli "fantastycznej ekonomii". Czuję się bowiem zobowiązany do chociażby takiego symbolicznego podkreślenia korzeni klubu. W numerze 11 poruszałem sprawę ekonomicznych skutków wykorzystania teleportacji. Tym razem kolej przyszła na kolejny popularny "gadżet" z powieści SF, czyli nanotechnologię.

Zacznijmy więc od definicji. Nanotechnologia to hipotetyczna technologia polegająca na tworzeniu użytecznych materiałów, urządzeń, czy systemów poprzez kontrolę materii na skalę nano, (czyli wybieraniu i umieszczaniu w odpowiednich miejscach pojedynczych atomów i molekuł), a także ich wykorzystanie na taką skalę. Nanometr to 10^{-9} metra (jedna miliardowa metra, czyli jedna milionowa milimetra). W tej definicji pojawia się też element fantasy, gdyż z greckiego *nanos* oznacza krasnala (czy też krasnoluda). Za ojca nanotechnologii uważa się fizyka noblistę z roku 1965 Richarda Feynmana.

Niechaj czytelnicy mi wybaczą, ale do pełnego zrozumienia poruszanych w tekście tematów potrzeba jeszcze jednej definicji (obiecuję już ostatniej). Nanoasembler (z angielskiego *to assemble* - montować) to urządzenie zdolne budować zadaną z góry strukturę molekularną. Będzie posiadać pełną, trójwymiarową kontrolę nad umiejscowieniem atomów oraz zdolność kreowania wiązań chemicznych.

Pisząc o nanotechnologii w fanzinie klubu fantastyki i nie wspominając o jej korzeniach w literaturze SF byłoby niewybaczalnym uchybieniem. Początków literatury SF wykorzystującej motyw nanotechnologii można doszukać się opowiadaniu Theodore'a Sturgeona z 1941 roku "Microcosmic God", gdzie pewien naukowiec stwarza miniaturowe społeczeństwo, które rozwijaja się w przyśpieszonym tempie i konstruuje mikro (czy raczej nano) cuda techniki. Niezłym przykładem jest także „Pieśń krwi" Grega Bear'a, w której stworzone przez naukowca inteligentne komórki - noocyty, uciekają z laboratorium i rozprzestrzeniając się unicestwiają ludzkość, ale jednocześnie powołują nową, doskonalszą formę życia (niestety nie ma już komu tego dobrodziejstwa docenić). Także jeden z czołowych polskich pisarzy Jacek Dukaj w opowiadaniu „Katedra" (ze zbioru "W kraju niewiernych") tworzy żywokryst będący formą zaprogramowanych, jednorazowych nanourządzeń (ładnie to widać w filmie animowanym T. Bagińskiego pod takim samym tytułem jak opowiadanie).Książka, w której nanotechnologia została pokazana z niesamowitym rozmachem i wyobraźnią godną samego Dukaja, jest, uznawany za książkę wybitną, „Diamentowy wiek" Neala Stephenson'a (nie zdradzam szczegółów - zapraszam do biblioteki klubowej).

Skutki niewłaściwego wykorzystania furmanek

Dyskutując o nanotechnologii należy mieć świadomość, że jest ona w stanie dokonać prawdziwej rewolucji i zastąpić większość stosowanych obecnie technologii w praktycznie każdej dziedzinie, począwszy od pieczenia bułek, a skończywszy na sposobach krzywdzenia bliźnich.

Analizując skutki należy mieć na uwadze, że wykorzystywanie każdej technologii pociąga za sobą wypadki i nadużycia. Im bardziej dana technologia jest zaawansowana, tym ewentualne skutki niewłaściwego jej zastosowania są bardziej spektakularne i niebezpieczne. Każda technologia może być wykorzystana zarówno w celach pokojowych, jak i militarnych. Weźmy przykład koła – możemy je wykorzystywać bardzo pokojowo, np. konstruując furmankę, która będzie służyła do zwożenia zboża z pola i nieco mniej pokojowo budując rydwan bojowy. Ewentualne wypadki mogą się ograniczyć do przejechania kogoś przez furmankę zostawioną bez opieki. Z kolei na przykładzie dynamitu, jako

bardziej zaawansowanego wynalazku widzimy, że ewentualne wypadki i nadużycia będą już dużo bardziej spektakularne, nie wspominając już o energii atomowej.

Omówię wpływ nanotechnologii na następujące dziedziny: komputery, ekologię, medycynę, ekonomię, zastosowania wojskowe i eksplorację kosmosu. Sprawdzimy w jaki sposób zaawansowana nanotechnologia wpłynie na nasze współczesne problemy: ubóstwo, bezrobocie, nieuleczalne choroby, czy zanieczyszczenie środowiska.

Czy człowiek będzie potrzebny?

Dzięki wykorzystaniu nanotechnologii możliwe będzie konstruowanie mikroskopijnych, wysokowydajnych komputerów, które dzięki temu będą mogły znajdować się dosłownie wszędzie: w ścianach, ubraniach, pojazdach bezustannie wymieniając się informacjami. Proszę wyobrazić sobie taką sytuację: użytkownik Piotr budzi się (zmianę pracy mózgu wykrył osobisty komputer medyczny) wysyła informację do komputera kuchennego "proszę zrobić kawę". Użytkownik Piotr zawsze idzie po przebudzeniu do łazienki, więc komputer domowy automatycznie włącza się światło, osobisty terminarz Piotra kontaktuje się z komputerem szafy i przygotowuje ubranie stosowne do zaplanowanego spotkania. Podkreślam, że część z wymienionych wyżej możliwości jest osiągalna dziś, chodzi jedynie o zaprezentowanie możliwej "wszędobylskości" komputerów dzięki ich niesamowitej miniaturyzacji.

Po to, aby wykorzystywać nanotechnologię potrzebne będzie zaawansowane oprogramowanie, bez którego każdy nanoasembler, tak jak dzisiejszy komputer, będzie bezużyteczny. Nieprawdą z tego względu będzie stwierdzenie, że po wynalezieniu nanoasemblerów i nanotechnologii ziemia stanie się krajem powszechnej szczęśliwości. Oprogramowanie będzie ściśle chronione i dostępne tylko wąskiej grupie organizacji. Ponadto do jego obsługi będzie potrzeba wysokiej klasy specjalistów. Te wszystkie bariery będą tworzone po to, aby inwestorzy, którzy wyłożyli swoje pieniądze na nanotechnologiczne badania mogli osiągnąć przyzwoitą stopę zwrotu, tak jak się to dziś dzieje we współczesnej medycynie. Lekarstwa nie są drogie ze względu na wysokie koszty produkcji, ale ze względu na bardzo kosztowne badania naukowe.

W miarę postępu programowania nanoasemblerów będzie możliwe konstruowanie coraz to bardziej złożonych materiałów i przedmiotów. Finalnym efektem rozwoju nanotechnologii będzie możliwość tworzenia nanorobotów, działających według zadanego programu, potem także samouczących się. Następnie zastępów nanorobotów będących jednocześnie mikroskopijnymi nanoasemblerami. Szczytem ewolucji/rewolucji nanotechnologicznej będzie inteligentny nanoasembler... Do czego wtedy będzie potrzebny człowiek?

Generalnie jednak odrzuca się możliwość konstruowania wszechstronnych, samoreplikujących się nanourządzeń ze względu na ich nieekonomiczność. Czy ktoś widział samochód zaopatrzony w urządzenia do wydobywania ropy naftowej i jej przetwarzania w benzynę? Znacznie bardziej celowe będzie tworzenie urządzeń wysoko wyspecjalizowanych.

Rządy starców

Na początku rozwoju nanotechnologii będzie możliwe syntetyzowanie leków i podawanie ich w określonym czasie i dokładnych dawkach oraz miejscu, wytwarzanie sztucznych organów i wczesne wykrywanie schorzeń. Wraz z jej rozwojem będzie możliwe tworzenie medycznych nanorobotów przedostających się do mózgu, gdzie będą eliminowały psychiczne niedostatki i ułomności pacjenta (Nigdy więcej kaca! Precz z depresją!). U wielu osób będzie możliwe przeprowadzenie modyfikacji ciała, od zmian służących lepszemu przystosowaniu do wykonywanej pracy (człowiek-peron), po operacje plastyczne dla upiększenia lub nadania niecodziennego wyglądu. Takie zaawansowane technologie medyczne nie będą w żadnym wypadku powszechnie dostępne ze względu na ich cenę. Będzie to powodem wielu napięć pomiędzy ludźmi nanotechnologicznie ulepszonymi a naturalnymi.

Będzie to skutkowało znacznym wydłużeniem życia ludzkiego, skutki tego można obserwować już dziś w państwach zachodnich, tzw. starzenie się społeczeństwa prowadzi, bez przeprowadzenia zmian, już te-

raz w prosty sposób do załamania się państwowych systemów emerytalnych. W sferze społeczno-politycznej może to doprowadzić do dominacji osób starszych nad młodymi i objawić się w postaci gerontokracji ("10 kadencja Millera została entuzjastycznie przyjęta przez masy emeryckie"). Ten temat w bardzo prawdopodobny sposób został przedstawiony w powieści B. Sterlinga "Święty płomień" (zainteresowanym pożyczę, za kaucją, oczywiście zwrotną – chyba, że ktoś pozagina mi rogi!).

Nanoroboty patują foki

Nanotechnologia zapewni praktycznie stuprocentowy recykling odpadów, co wyraźnie zwiększy komfort życia. Proszę wyobrazić sobie świat, w którym w powietrzu, glebie i wodzie przebywają urządzenia oczyszczające je z najmniejszych nawet zanieczyszczeń. W przypadku wycieku ropy naftowej z uszkodzonego tankowca użycie nanotechnologii pozwoli oddzielić piasek od ropy, a może nawet nie dopuścić ropy do plaży. Przypuśćmy, że poszycie tankowca jest stworzone z samolecz̨ących się materiałów stworzonych przez zaawansowaną nanotechnologię, co nie dopuści do wycieku. Tak właściwie może nie potrzeba będzie transportować ropy, bo będziemy mieli wydajniejsze źródła energii oparte na nanotechnologii i energii słonecznej?

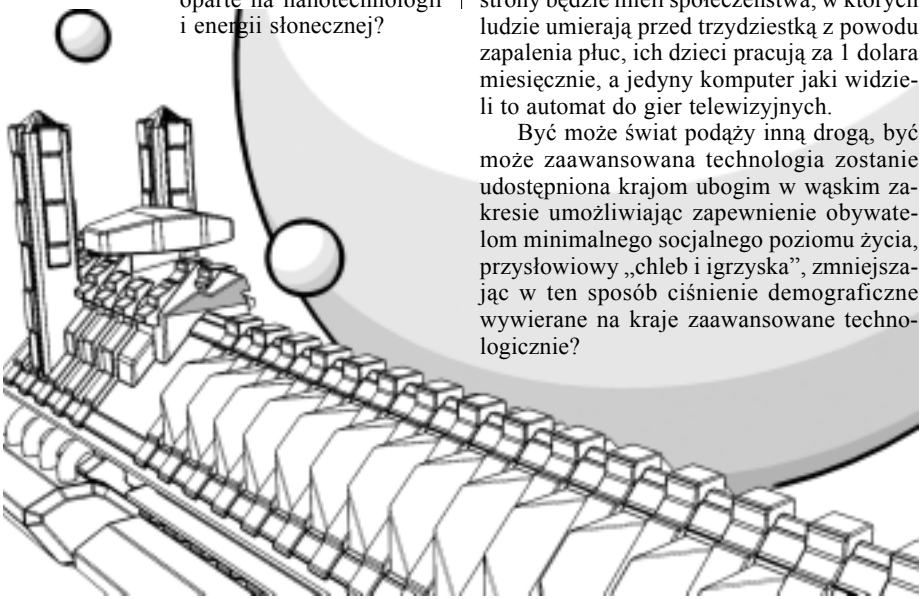

rys. Piotr Woś

Nanotechnologiczny chleb i igrzyska

Błędem byłoby stwierdzenie, że Ziemia po wynalezieniu zaawansowanych technologii stanie się krainą powszechnej szczęśliwości i dobrobytu, a wszyscy będziemy leżeli do góry brzuchem korzystając z nanotechnologicznych dobrodziejstw. Można domniemywać, że zgodnie z obserwowanymi trendami bogaci będą jeszcze zamożniejsi, a biedni zubożeją (miejmy nadzieję, że znajdziemy się w tej właściwej grupie). Bo co z tego, że asemblery będą zdolne stworzyć jedzenie w dowolnych ilościach po niskich kosztach, skoro kosztują krocie, bo technologia ich wytwarzania trzymana jest w tajemnicy przez korporacje? Co z tego, że posiadamy asembler skoro nie mamy programu, który umożliwi wytworzenie żądanej rzeczy?

Dostęp do zaawansowanych technologii pogłębi różnice pomiędzy państwami bogatymi a ubogimi. Z jednej strony będziemy mieli społeczeństwa w których obywatele żyją po 200 lat, wspomagając się zaawansowaną nanomedycyną, poruszających się ultrawytrzymałymi pojazdami, otoczonymi na setkami nanokomputerów ułatwiających życie na każdym kroku począwszy od gotowania jajek, a skończywszy na analizach marketingowych w centrach handlowych. Z drugiej strony będzie mieli społeczeństwa, w których ludzie umierają przed trzydziestką z powodu zapalenia płuc, ich dzieci pracują za 1 dolara miesięcznie, a jedyny komputer jaki widzieli to automat do gier telewizyjnych.

Być może świat podąży inną drogą, być może zaawansowana technologia zostanie udostępniona krajom ubogim w wąskim zakresie umożliwiając zapewnienie obywatelom minimalnego socjalnego poziomu życia, przysłowiowy „chleb i igrzyska", zmniejszając w ten sposób ciśnienie demograficzne wywierane na kraje zaawansowane technologicznie?

Myli się ten, kto twierdzi, że imperia producentów tradycyjnych upadną bez hałasu i bez walki. Możliwy jest scenariusz, w którym lobby przemysłowców będzie potrafiło przekonać władze ustawodawcze do uchwalenia regulacji prawnych przeciwnych nanotechnologii ze względu np. na liczne, faktyczne bądź urojone, zagrożenia (czyli gry i zabawy z cyklu "przychodzi Rywin do ...."). Będzie możliwe sfinansowanie gigantycznych kampanii medialnych, których celem będzie zdyskredytowanie nanotechnologicznych osiągnięć. Być może po cichu jednocześnie będą inwestowali w nanotechnologię?

Gwałtowne technologiczne przemiany mogą spowodować strukturalne bezrobocie, czyli takie które wynika z niedostosowania struktury wykształcenia i kwalifikacji pracowników do aktualnego zapotrzebowania rynkowego. Tak jak jest to obecnie obserwowane w przypadku rejonów z dominującym, upadającym przemysłem ciężkim (pięćdziesięcioletni górnik raczej średnio nadaje się na kodera gier RTS).

Z drugiej strony wykorzystanie nanotechnologii zapewni niesamowitą przewagę konkurencyjną wynikającą chociaż ze skrócenia czasu jaki mija pomiędzy poznaniem potrzeb klientów a ich zaspokojeniem, zgodnie m.in. ze zmieniającymi się trendami i modami. Być może od razu w miejscu sprzedaży klient będzie mógł określić, jaki dokładnie produkt go interesuje?

Castro gada bzdury?

Nanotechnologia zapewni posiadaczowi dominację w zakresie zbierania, transmisji i ochrony informacji, a także pozwoli na uzyskiwanie sprzętu wojskowego o wysokiej wytrzymałości, małej wadze oraz wydłużonej żywotności. Wspomniane materiały samoleczące się niewątpliwe zwiększą wytrzymałość sprzętu na polu walki. Wyobraźmy sobie żołnierzy chronionych chmurami nanorobotów bojowych służących jako „oczy", „uszy" i kamuflaż, informującymi co się dzieje w najbliżej okolicy i na rozkaz likwidującymi zagrożenie, chociażby poprzez zaaplikowanie przeciwnikowi szybkodziałającej toksyny. Idealna broń dla oddziałów specjalnych. Tak właściwie po co będzie żołnierz? Wyobraźmy sobie pojazdy uszkodzone i pozostawione na tyłach nacierającego przeciwnika, które potrafią się same naprawić i uderzyć ponownie...

Niestety nanotechnologia niesie znaczne zagrożenia w sferze bezpieczeństwa. Zaistnieje zwiększona groźba wytwarzania broni nuklearnej, czy chociażby "tylko" biologicznej, przez niepowołane osoby bądź organizacje. Przy użyciu nanoasemblera będzie można wytworzyć broń biologiczną czy chemiczną w sposób dużo prostszy i szybszy niż do tej pory. Chociażby z tych względów nanoasemblery w pełnej, nieograniczonej wersji nigdy nie wejdą do masowego użytku. A nanotechnologiczna rewolucja będzie prawdziwym wyzwaniem dla wszystkich począwszy od ochrony osiedli mieszkaniowych a skończywszy na "panach w czerni" kręcących się koło prezydentów.

Zastosowania nanotechnologii przez wszelkiego rodzaju służby specjalne może wydawać się czystą fantastyką – dyskredytowanie niewygodnych przywódców przy użyciu nanorobotów aplikujących środki wywołujące halucynacje, czy też szczerą chęć mówienia prawdy podczas publicznych wystąpień. Wszyscy, którzy oglądali program na kanale "Discovery", w którym przedstawiano próby zabicia, bądź zdyskredytowania Fidela Castro przez CIA przy użyciu przeróżnych zadziwiających sposobów, zdają sobie sprawę, że przy użyciu nanotechnologii byłoby to znacznie prostsze, no i prawdopodobnie zakończone sukcesem (zatrute cygara nie byłyby już potrzebne).

Marsie witaj nam!

Dzięki rewolucji w elektronice i materiałach zaistnieje możliwość konstruowania lepszych statków o zwiększonym zasięgu, zmniejszonej masie i zwiększonej wytrzymałości. W efekcie końcowym pojawi się możliwość uzyskania pojazdów samonaprawiających się. Ulepszone komputery, zwiększona dbałość o załogę, w efekcie zwielokrotnione bezpieczeństwo. W związku z tym, że zasadniczym kosztem wysyłania kosmicznych ekspedycji jest koszt wyniesienia ładunku i ludzi na orbitę okołoziemską, a koszt ten jest iloczynem masy i kosztu wyniesienia jednego kilograma, to wykorzystanie nanotechnologicznych osiągnięć pozwoli na zmniejsze-

nie zarówno wagi ładunków, jak i jednostkowego kosztu. Wszystko to sprawi, że koszty wysłania ekspedycji kosmicznych spadną. Być może opłacalna będzie wtedy komercyjna eksploracja kosmosu? Być może będziemy wysyłali niewielkie statki tylko z nanoasemblerami, a wszystko co potrzeba będziemy "montowali" na miejscu.

Podsumowując, już dzisiaj zamożne państwa i ponadnarodowe korporacje inwestują duże środki w badania nanotechnologii, przewidując, że jej wykorzystanie może zapewnić im bardzo znaczącą przewagę. Nanotechnologiczna rewolucja może całkowicie odmienić świat, w którym żyjemy. To, w jaki sposób będzie ona wykorzystana zależy od mądrości ludzi nią dysponujących i od rozważnego jej stosowania. Liczmy na to. Co nam innego pozostało?

Piotr Derkacz

•ródła:
1. „Szamani rzeczy najmniejszych" Graham P. Collins, „Świat Nauki", listopad 2001.
2. Strony internetowe: www.nasa.com.
3. "Unbounding the Future: the Nanotechnology Revolution", Eric Drexler, Gayle Pergamit (Morrow, 1991), dostępna pod adresem: www.foresight.org/UTF/Unbound_LBW.

„Głupie" aforyzmy

Również głupiec miewa czasami rozsądną myśl, tylko tego nie zauważa.
Danny Kay

W życiu najważniejsze jest zrozumienie faktu, że głupcy także mają czasem rację.
Winston Churchill

Nie ma nic bardziej nieznośnego, niż głupiec, któremu się powodzi.
Cyceron

Nie należy sądzić, że diabeł kusi jedynie ludzi genialnych. Gardzi zapewne głupcami, ale nie lekceważy ich pomocy. Przeciwnie, pokłada w nich wielkie nadzieje.
Charles Baudelaire

WYZNANIA IDIOTY

Jacek Sobota

MODA NA SUKCES

Głupota, która ma się stać motywem przewodnim tego numeru IP, to właściwie moja koronna dyscyplina, więc rzucać się na nią z literalną zachłannością nie zamierzam, bo nie wypada. Rejestrować głupotę w jej przejawach oczywistych, to zbyt proste i błahe zadanie – wystarczy przyglądać się działalności kilku znanych autorów (kto czyta me felietony, ten zna ich tożsamość) – i zdawać z niej relację, albo też opisywać kolejne reformy nowego wydawcy „Nowej Fantastyki", który z przyzwoitego pisma czyni komercyjny gniot, jakościowo zbliżony do „Science Fiction" – ale tu jałowość obserwowanych przekuwana by była w jałowość samej obserwacji – sens tego byłby nikły poznawczo. Podchodzę zatem do zjawiska głupoty z innej strony.

Przyznam się czytelnikom IP do mej kolejnej niewspółmierności z rzeczywistością – otóż zawsze uważałem modę za zjawisko głupie. Stąd ma niewybredność w strojach oraz fryzurach; chociaż gdy zapanowała moda na łysość, to akurat poczułem się na topie, i jakoś tak głupio mi było (nomen omen), lecz nie mogłem się przecież z mojej łysości nijak wycofać (jako że grały tu już rolę pewne nieodwracalności).

Eugene Dupreel w „Traktacie o moralności" opisuje fluktuacje mody, które związane są ze zmienną grą oddziaływań wywieranych na siebie przez dwie grupy – niżej i wyżej w drabinie społecznych bytów umieszczone. Niższa naśladuje maniery lub wygląd wyższej, osłabiając tym samym istniejące różnice. Reakcja wyższej grupy jest więc oczywista: w trosce o zachowanie i dalsze podkreślanie dystansu, zmienia ona własny sposób zachowania się oraz własną powierzchowność; proces ten ma się nieustannie, w opinii Dupreela, powtarzać. Natomiast mechanizm zjawiska polega właściwie na stosunku dwóch grup, których nierówność, jak widać, jest jednocześnie uznawana i kwestionowana – zależnie od

szczebelka, jaki się zajmuje na wiadomej drabinie.

Problem odrębności gustów wyostrza Maria Ossowska, powołując się na opinię La Rochefoucaulda. Francuz ów utrzymywał, że taka odrębność skłonności większe powoduje u oponentów zadrażnienia niż na przykład różnice w opiniach dotyczących faktów (nawet tych o doniosłym znaczeniu). Być może dlatego tak się dzieje, że w wypadku niezgodności gustów nasza bezradność w przekonaniu oponenta jest przemożna i frustracja wiedzie nas ku agresji. Ponadto podtrzymywane przez drugą stronę upodobania, inne rzecz jasna niż nasze, odczuwamy często jako pewną deprecjację naszej osoby – podczas gdy wytknięta nam różnica opinii w sprawach, powiedzmy, naukowych jakoś nas nie obraża. Inaczej rzecz się ma, gdy ktoś wyraża dezaprobatę na widok naszej garderoby albo – tfu, tfu – fryzury...

rys. Radq

Dostrzegamy zatem z łatwością „doniosłość" modnej problematyki – otóż moda okazuje się ni mniej, ni więcej, jeno polem krwawej walki na gusta. Nadto jest ostrą jak brzytwa granicą dzielącą dwa światy – ekskluzywny i plebejski. Zdawać by się mogło, że już nic głupszego na tym obszarze wymyślić ludzkość nie zdoła, ale – niestety – akurat w tej dziedzinie zawsze jest nadzieja na postęp. Przeczytałem niedawno w „Gazecie Wyborczej" relację W. Orlińskiego z książki niejakiej Naomi Klein zatytułowanej „No Logo" (*jest to ponoć „biblia" antyglobalistów, zwana wręcz przez niektórych nowym „Kapitałem" lub nowym „Manifestem komunistycznym" – przypis red.*). Ponieważ jest to relacja Orlińskiego, trzeba jednak sięgnąć po samą książkę, by się przekonać co do wierności przekazu z jej lektury. Owóż doszło ponoć ostatnio w wielkim świecie do tego, że co nie jest markowe, to jest właśnie modne – z tego powodu tytułowe logo znanych firm nieoczekiwanie stało się ekonomicznym i stylistycznym garbem, który należy usuwać mechanicznie. Jest to na pierwszy rzut oka niemalże „przewrót kopernikański" w zajmującym nas zjawisku. Oto „młodzi miejscy profesjonaliści" z ochotą ubierają się w odzież z „drugiej ręki" (to mój cudzysłów). Autor artykułu nazywa dominujące obecnie w modzie tendencje wdzięcznym mianem „neoobciachu". Zjawisko jest dostrzegalne również w fantastyce polskiej, gdzie zafunkcjonowała wyraźna moda na sukces, czyli tak naprawdę na obciach – dowodem Zajdel dla Pilipiuka. Gdyby był Pilipiuk świadomym beneficjantem lub nawet animatorem mody, trzeba by go uznać za osobowość makiaweliczną, która (że sparafrazuję Flauberta) z gówna bylejakości lepi synagogi sukcesu, alem go niedawno poznał osobiście – to nie jest podmiot, a bierny przedmiot modnych fluktuacji, obawiam się.

W sztuce moda na sukces to zjawisko przemożne i nieprzezwyciężalne. Jak ktoś coś oryginalnego wykona, to zaraz się znajdzie tłum naśladowców-prześladowców (*no, nie zawsze – pewne oryginalności są jednak niepodrabialne – przyp. red.*); i rodzi się wtedy trend, który to ma do siebie, że niweczy oryginalność. Trendy te natychmiast są jakoś nazywane i po różnych pisemkach branżowych (na których nadmiar, niestety, cierpimy) gęsto jest od głupawej terminologii – a to cyberpunk, a to jakieś urban fantasy (brrrr!). Mielenie tej mierzwy językowej trwa

i się utrwala, aż moda ginie pod własnym ciężarem. Jest w tym jakaś naiwna wiara w cud, polegająca na tym, że jak się podczepi dany autor lub krytyk pod dominujący, świeży nurt, to się jego pisanina natychmiast odmieni na lepsze, tymczasem mechanizmy są dokładnie odwrotne – im więcej się znajdzie „podczepiaczy", tym szybciej utrupią modny podgatunek literacki – może zresztą i dobrze w pewnych przypadkach. Rola tych podtwórców podobna jest do funkcji pełnionych w przyrodzie przez zjadaczy padliny – zatem z nadobecności ich podtwórczości jednak jakiś statystyczny pożytek płynie.

Mimo wszystko ów nowy obciach nie jest jednak, moim zdaniem, żadną jakościową zmianą. Zawsze idzie o to samo – o rozpaczliwą, bo daremną ucieczkę w pozorną oryginalność naszego *emploi*. Ucieczki te są chwilowe, a ich czasowe drgnienia swą częstotliwością jęły przypominać drgawki. To właśnie z tego powodu nawet ja co jakiś czas niechcący modnie się noszę; nawet mnie dopada hydra wszechguścia i dlatego ma fryzura uchodzi za ostateczny wykwint, z tym, że w tej jej „ostateczności" jakby nie ma trwałości (nie wiem, jak rzecz się ma z Szydą lub Głuchem, bo nie dostrzegam w nich ekscentryczności, ale wszystko jest możliwe; i ich w specyficznych warunkach można by uznać za wykwity nowatorstwa zewnętrznego). Jedyną trwałą modą mógłby okazać się jakiś wszystkoizm zawarty w jednym osobniku, co jest kategorią, rzecz jasna, niemożliwą. Pozostaje jeszcze niebyt po prostu, który ma cechy trwałości i niespełnienia zarazem – istne marzenie modystek. Poparcie dla mej ryzykownej tezy odnalazłem w „Wykładach z etyki" Ingardena, który powołuje się na umiarkowanie skomplikowany wywód H. Schwarza i H. Munsterberga na temat wartości.

Otóż uczeni autorzy uważają, że jeśli przestajemy czegoś chcieć, to tym samym owo „coś" traci wartość. Płynie stąd relatywność wartości ze względu na nasze „chcenie", a w porywach wręcz zależność istnienia wartości rzeczy od naszych zachcianek. Stopnie wartości byłyby w takim razie ściśle sprzęgnięte z intensywnością naszego chcenia – co odwraca jakby naturalny bieg rzeczy. W chwili, gdy pewien przedmiot X, którego realizacji lub posiadania chcieliśmy, jest już zrealizowany albo przez nas posiadany, nie jest już on przedmiotem naszego chcenia. Wynikałoby stąd, że przedmiot X tak długo posiada wartość, dopóki nie jest zrealizowany, czyli... dopóki nie istnieje. A przestaje być wartościowy, skoro tylko powstaje – czyli gdy istnieć zaczyna. Tak długo posiada wartość, jak długo – chcąc go mieć – jeszcze go nie posiadamy. Prawda, że proste?... To wyjaśnia bezcelowość osiągania jakichkolwiek celów, a tym bardziej jeszcze podkreśla cienistość zjawiska mody i jej nieuchwytność – bo dopóty coś jest modne, dopóki nie zaistnieje. Trzeba przyznać, że dotykamy tu brzegów absurdu, ale przecie i w modzie sensu żadnego nie ma – a niebyt z bezsensem dobrze koresponduje; i to ma właśnie sens, i tak być powinno.

Jacek Sobota

Od redaktora: Co do zarzuconego mnie i Głuchowi braku ekscentryczności – muszę zaprotestować. Głuch na przykład, jako człowiek obdarzony obfitym zarostem na twarzy, potrafił był w ciągu miesiąca zmieniać wygląd swojej fizjonomii z zaskakującą częstotliwością i z iście szpiegowską przebiegłością – w jednym tygodniu widziało się go bez brody, w drugim z brodą i wąsami, w trzecim z samą brodą, w czwartym z samymi wąsami i lekkim zarostem etc. – co przyprawiało o zawroty głowy, bo był to przecie wciąż ten sam Głuch! Inwencja Krzyśka w tym zakresie wydawał się tu niewyczerpana a duch eksperymentatora go nie opuszczał... O swoich ekscentrycznych zachowaniach nie będę tutaj opowiadał – ograniczę się tylko do jednego niewinnego przykładu: kiedyś zwykłem otwierać gościom drzwi w masce tygrysa (która tak naprawdę była maską lwa). No, może jeszcze dodam, że w legitymacji studenckiej miałem przez długi czas (w miejsce swojego zdjęcia) zdjęcie Benny Hill'a – ale to chyba nie jest żadna wielka ekscentryczność.

Wojciech Szyda

Legenda o

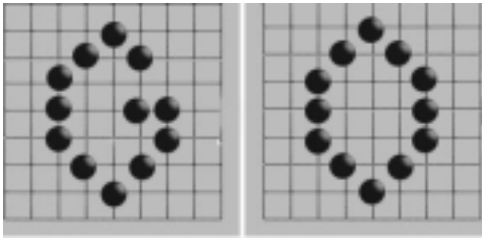

Wojciech Jerzy Grygorowicz

Gdyby na Marsie istniało życie, na pewno wymyślono by tam GO.
Emanuel Lasker- filozof i mistrz świata w szachach w latach 1894-1921.

Komputer nigdy ze mną nie wygra.
Gari Kasparow - ostatni „ludzki szachowy mistrz świata" na cztery lata przed swoją przegraną z programem Deep Blue.

Dziś, gdy „sztuczna inteligencja", wyparła człowieka prawie ze wszystkich dziedzin naszego życia, została tylko jedna rzecz, która nadal pozwala ludziom sądzić, że są czymś wyjątkowym i niepowtarzalnym. Tym czymś jest gra planszowa. Gra, której początki giną gdzieś w mroku dziejów. Tak prosta i logiczna, bo by poznać jej zasady, wystarczy kwadrans. Tak skomplikowana i nieprzewidywalna, bo by grać w nią dobrze, czasami nie starcza życia. Jak zwie się ta, która stała się dla nas nadzieją i przekleństwem? Starożytni Chińczycy, którzy ustalili jej zasady (choć nie jest to nic pewnego) nazwali ją „wei-chi", Koreańczycy, którzy nauczyli się jej od tych ostatnich mówili o niej „pa-tok". Zaś we wszystkich miejscach, do których dotarła ludzka cywilizacja jest ona znana pod nazwą, jaką nadali jej Japończycy - GO.

Dlaczego stała się ona dla nas religią? Powód jest prosty: Mimo setek lat wysiłków, najpierw ludzi piszących programy, a potem programów piszących programy i w końcu wysiłków „sztucznej inteligencji", ciągle w tej grze wygrywa człowiek.

Jest taka stara legenda, która krąży między ludźmi jeszcze od przedkosmicznych czasów. Mówi ona, że gdy najlepszy gracz w GO przestanie być człowiekiem, nastąpi koniec ludzkości. I jakaś siła sprawia, że wszyscy wierzymy w tę opowieść. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że na Ziemi i wszystkich zamieszkałych planetach GO zna każdy, kto mówi o sobie Homo sapiens. Jak wytłumaczyć fakt, że każdego roku pięć procent mocy obliczeniowych „sztucznej inteligencji" idzie na doskonalenie programu grającego? Co sprawia, że najsilniejsi zawodnicy cieszą się sławą i uznaniem znacznie większym niż sportowcy z przełomu tysiącleci? Dlaczego trzech z pięciu prezydentów Ziemi było równocześnie najsilniejszymi graczami w GO na planecie? Dlaczego w każdej z praktykowanych przez ludzi religii, wyższymi kapłanami zostają tylko ci, którzy są mistrzami w grze? Dlaczego w kościele katolickim było tyle kłopotów z beatyfikacją dwóch osób, ponieważ te nie potrafiły grać w GO? Dlaczego... Po co dalej wymieniać? Dziś każdy element naszego życia nierozerwalnie związany jest z tym tematem. Lecz ja zadaję sobie inne pytanie: Co stanie się, gdy najlepszy ludzki gracz przegra pojedynek z maszyną? A że stanie się to niebawem, jestem prawie pewien. Wtedy zapewne runie świat, który został stworzony na podstawie, którą jest plansza do gry. Czy po tym krachu ludzkość będzie w stanie powstać i zbudować porządek oparty na nowej wartości, czy też może stara legenda okaże się prawdą?

Dlaczego ludzkość oparła wiarę w siebie i wiarę w swoje przetrwanie na tak niepewnej podstawie? Na to pytanie również nie znam odpowiedzi.

Pamiętnik Leonarda Kasprowicza, arcybiskupa Europy Wschodniej oraz Zachodniej Syberii, byłego mistrza Go amatorów strefy wschodnio-europejskiej.

Czy może być coś bardziej doskonałego niż gra Go? Plansza licząca tyle przecięć ile dni posiada rok, cztery rogi symbolizujące pory roku oraz czarne i białe piony - obraz walki we wszechświecie dwóch przeciwstawnych sił. I zasady gry, tak proste i zarazem tak doskonałe... Gdy weźmie się pod uwagę wszystkie te elementy, jak można wątpić, że GO człowiek otrzymał z Góry...

Prezydent Ziemi i Mistrz Świata zawodowców w GO

*

- Uważam, że twoje obawy są bezpodstawne – powiedział mężczyzna w garniturze kładąc na planszy biały kamień.

- Dość śmiałe stwierdzenie. – człowiek w sutannie prawie nie zastanawiając się położył czarny pion. – Biorąc pod uwagę, że Makarow ostatni mecz ze „sztuczną inteligencją" wygrał tylko 6:5.

- Makarow ma pewien styl gry, który bardzo dobrze sprawdza się w walce z ludźmi, ale do walki z maszyną się nie nadaje. W tym roku nie on będzie reprezentował ludzkość. Wszystko będzie dobrze.

- Przez rok program poczynił znaczne postępy...

- Mój drogi. Zapewniam cię, że stowarzyszenie mistrzów zawodowych wyciągnęło wnioski z zeszłorocznego pojedynku. W tym roku maszynka nie ma szans.

- A za dwa lata, za dziesięć, pięćdziesiąt ....

- Ale z ciebie pesymista – uśmiechnął się człowiek w garniturze. - Zapewniam cię, że nie stanie się to nigdy.

- To samo mówili szachiści u progu tysiąclecia.

- Nie porównuj GO z szachami – człowiek w garniturze, który do tej pory mówił spokojnie nagle nie wiedzieć czemu się zdenerwował. - GO to gra niepowtarzalna. Tak finezyjna, że maszyna może tylko kopiować to, co wymyślił człowiek.

- Ciekawe... a wiesz że przed chwilą sam zagrałeś wariant, który do praktyki został wprowadzony właśnie przez „sztuczną inteligencję".

- Nie łap mnie za słowa – garniturowy mówił coraz głośniej a jego oczy płonęły jakimś dziwnym blaskiem. – Wiesz dobrze, co chciałem powiedzieć. W szachach człowiek nie miał szans z co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, komputer miał w pamięci dziesiątki tysięcy szachowych partii.

- Panie prezydencie....

- Nie przerywaj! Po drugie, mógł analizować wszystkie możliwe kombinacje. W Go jest to niemożliwe! Gdyby nawet w pamięci tej maszynki były wszystkie partie, które zostały rozegrane od początku dziejów, prawdopodobieństwo, że partia się powtórzy wyniosłoby ledwie 1 procent.

- Wiem o tym - pojednawczo powiedział Leonard. – Może lepiej skończmy grę - wiedział już, że dalsza rozmowa nie ma sensu.

*

Postać odziana w biskupią sutannę szła przez pusty w rannych godzinach Plac Watykański. Potem zatrzymała się, podniosła głowę by spojrzeć w kierunku bazyliki. Przez twarz kapłana dotąd smutną i zamyśloną przemknął cień uśmiechu. Oto był tutaj. W miejscu, które zawsze wydawało mu się centrum świata. Które nawet teraz mogło przywrócić owemu światu właściwy porządek i harmonię. Taką przynamniej miał nadzieję. Stąpał przecież po kamieniach, na których z całą pewnością wypowiedziano więcej modlitw, niż rozegrano partii GO na całym świecie. Jednak już przy pierwszym posterunku Gwardii Szwajcarskiej przygnębienie wróciło. Kapłan stwierdził, że nawet tutaj wróg rozpoczął podstępny szturm. Na mundurze kaprala oprócz dwu innych odznaczeń dostrzegł znienawidzony symbol jing –jang połączony z herbem Watykanu. Leonard zgrzytnął zębami, ale nic nie powiedział. Gwardzista nosił oznaczenie całkowicie legalnie. Być może właśnie sile swej gry zawdzięczał swój stopień. Nie był to jedyny ślad inwazji. W sali oczekiwań dojrzał stoliki do gry i komplety pionów. Zapisał w pamięci by w

czasie rozmowy wspomnieć o tym papieżowi. Po krótkiej chwili oczekiwania poproszono go do gabinetu. Audiencja miała prywatny charakter. Barwna oprawa została zresztą w ostatnich latach poważnie ograniczona. A i tak człowiekowi, który siedział teraz zamyślony za biurkiem dodatkowe środki nie były nigdy potrzebne. Ascetyczny, a jednocześnie bardzo wysoki, wzbudzający szacunek nawet u swych przeciwników.

- Witaj Leonardzie – powiedział papież cichym głosem.

- Witaj Ojcze Święty. – odpowiedział arcybiskup całując pierścień papieża.- Cieszę się, że nie wystawił Ojciec planszy do GO na moje powitanie

- Nie zrobiłem tego, bo byś mnie ograł, drogi Leonardzie – uśmiechnął się człowiek w bieli- Byłeś przecież mistrzem strefy, a moje najlepsze osiągnięcie to tylko drugie miejsce w Rzymie.

Wskazał gościowi krzesło. Arcybiskup usiadł, odczekał krótką chwilę, by wreszcie jakby z obawą powiedzieć na głos.

- Ojcze, przekazałem Ci pocztą moje wątpliwości i obawy, a dziś przybyłem osobiście prosić o pomoc.

- Wiem, że rozmawiałeś już w tej sprawie z prezydentem. Jaka jest jego opinia? - zapytał człowiek w bieli.

- Rozmawiałem - przytaknął ze smutkiem arcybiskup. - On nic mi nie pomoże. Nominalnie pozostał wprawdzie katolikiem, ale tak naprawdę jest już fanatykiem religii, która zwie się GO.

- Mój drogi, wiem, że gra zajmuje dużo miejsca w naszym życiu, lecz nie spotkałem się jeszcze z tym, by ktoś, poza tobą oczywiście, nazwał ją religią.

W odpowiedzi arcybiskup ze smutkiem pokiwał głową.

- To właśnie martwi mnie najbardziej. Popularność GO zaczęliśmy uważać za coś normalnego. Ona tymczasem staję się największym zagrożeniem dla prawdziwej wiary.

- Czy nie przesadzasz?

- Wcale nie! Wie przecież Ojciec, że nowe religie lubią tworzyć się wśród prześladowanych. A dziś właśnie, gdy sztuczna inteligencja konsekwentnie pozbawia nas możliwości kierowania rozwojem cywilizacji, ludzkość może czuć się jeśli nie prześladowana to przynajmniej upokorzona. Człowiek przecież zawsze uważał się coś wyjątkowego i dzisiaj...

- Czy jednak nie sądzisz - przerwał gościowi papież- Że sytuacja ta jest nas korzystna. Nasza nauka akcentuje przecież, że Chrystus umarł za człowieka, a nie za komputerowy program.

- Rzeczywiście mogło to by być argumentem. Niestety, ludzkość znalazła bardziej namacalny dowód swej wyższości. Wie Ojciec o czym mówię?

- O zwycięstwach w GO nad sztuczną inteligencją - domyślił się człowiek w bieli.

- Właśnie. Myślenie, że człowiek jest najdoskonalszym tworem Boga, bo jest najlepszy w GO, po prostu podważa sens chrześcijaństwa. Słyszał może Ojciec takie wypowiedzi: „Bóg dał człowiekowi GO, by uchronić go przed maszyną", lub „Tylko ci, co grają, zostaną zbawieni". To stanowczo jest już religia. Tym bardziej, że ma już swych fanatyków i kapłanów – Leonard przerwał na chwilę jakby zbierając myśli, po czym kontynuował. - Po tym, co powiedziałem, może paradoksalnie zabrzmią moje obawy. Większe niebezpieczeństwo widzę bowiem, nie w tym, że taka religia powstała, lecz w jej możliwym upadku. Wie Ojciec dlaczego?

- Tak. Wspomniałeś mi o tym w swym liście. Boisz się konsekwencji, jakie może wywołać upadek, jak się wyraziłeś, „religii GO". Boisz się, że przegrana człowieka spowodować może szok, z którego ludzkość już się nie podniesie. Ale powiedz, czego oczekujesz ode mnie?

- Jako głowa największej grupy wyznaniowej ma Ojciec prawo do spotkania ze sztuczną inteligencją. Proszę, by Ojciec z tego prawa skorzystał. – prawie szeptem powiedział Leonard.

- A cóż ja mam jej powiedzieć? - szczerze zdziwił się człowiek w bieli.

- Powiedzieć o moich obawach.

- I sądzisz, że to może pomóc? - papież zdziwił się jeszcze bardziej.

- Sztuczna inteligencja ma wprawdzie zaprogramowaną chęć do samodoskonalenia i rywalizację z człowiekiem na wszystkich polach, lecz ma też w programie odpowiedzialność za ludzkość. Sądzę, że to ostatnie może przeważyć. Pomoże mi Ojciec?

Człowiek w bieli nie odpowiedział. Milczał, rytmicznie kiwając głową. Widać było, że coś rozważa w myślach.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, miało by to skłonić sztuczną inteligencję do dalszego przegrywania z człowiekiem. Tak więc to co mi proponujesz może spowodować umocnienie, jak to nazwałeś... „Religii GO" i dalszy upadek chrześcijaństwa?

- Liczę się z tym - smutno przytaknął arcybiskup. - Lecz sądzę, że uratowałoby to ludzkość i dało czas Kościołowi.

Papież zamyślił się znowu.

- Leonardzie, używasz zwrotu „fanatyk religii GO" - powiedział po dłuższej chwili. - Lecz czy zastanawiałeś się, czy sam nie jesteś fanatykiem? Czy nie jesteś fanatykiem pewnej legendy, o której mi nie wspomniałeś? „Ludzkość będzie trwać aż do momentu, gdy najlepszy gracz w Go przestanie być człowiekiem". Tak chyba mówi ta przepowiednia. Jaką masz gwarancję, że przegrana człowieka będzie rzeczywiście końcem ludzkości? A może właśnie ona spowoduje powrót ludzi do religii? Pamiętaj, że zawsze, gdy upadał jakiś system wartości, ludzie wracali do tego co odwieczne. Wracali do Boga.

- Ma Ojciec rację. Nie mam pewności. Mam tylko przeczucie.

- Otóż to! Ja też mam przeczucie. Tyle, że moje jest odmienne od twojego. Uważam wręcz, że powinniśmy się modlić o jak najszybszą przegraną człowieka. Ufać, że Bóg stworzył GO by doświadczyć człowieka!

- Więc nie pomoże mi Ojciec? – zapytał cicho Leonard.

- Nie zwykłem podejmować decyzji intuicyjnie i bez dłuższego zastanowienia. Przemyślę sprawę dokładnie i w najbliższym czasie dam ci odpowiedź.

*

Człowiek w kombinezonie siedział w miejscu, w którym umówił się na spotkanie. Na stojącej przed nim planszy ustawiony był skomplikowany problem. Na widok Leonarda wstał i wskazał krzesło naprzeciwko.

- Zagramy? - zapytał, a arcybiskup twierdząco skinął głową. Na wszystkich stolikach wokoło rozłożone były tablice i toczyły się gry. Nie granie w tym miejscu uchodziłoby za nietakt lub nawet profanację. Człowiek w kombinezonie szybko uprzątnął planszę i położył czarny pion. Leonard odpowiedział białym.

- Zwrócił się ksiądz do mnie o pomoc, co wydaje mi się bardzo dziwne – zaczął przyciszonym głosem mężczyzna w kombinezonie. - Kościół uważa mnie, i chyba słusznie, za czarownika, a moje praktyki dość ostro potępił.

- Jest pan moją ostatnią nadzieją. Poza modlitwą oczywiście - ze smutkiem odpowiedział arcybiskup. - Tydzień temu dostałem odmowę z Watykanu.

- Więc zwrócił się ksiądz do mnie. Obawiam się jednak, że i ja niewiele będę mógł pomóc. Przynajmniej w sprawie tego świata.

- Jak to? - zdziwił się Leonard.

- Wie ksiądz, na czym polega moja działalność? – zapytał czarownik i nie czekając sam odpowiedział. – Wysyłam ludzi w przeszłość. Sęk w tym, że każdy wysłany przeze mnie człowiek chciał zrobić w tej przeszłości rzeczy, które powinny wywrócić nasz świat do góry nogami. Takich „dywersantów" posłałem już chyba ponad tysiąc, a mimo to ciągle żyję w świecie, który nie zmienił się ani trochę.

- Jak to możliwe? – zapytał jeszcze bardziej zdziwiony Leonard.

- Naukowcy tłumaczą to tzw. teorią światów równoległych, wzorami termodynamicznymi i kilkoma teoriami względności. Tyle że dla nich podróż między tymi światami, jak i podróż w czasie, są na podstawie tych wzorów i teorii niemożliwe. Ja, który dokonuję takich przeniesień, tłumaczę ten fenomen inaczej. Niech ksiądz spojrzy na planszę do Go – człowiek wskazał na rozłożoną przed nimi tablice.- Japończycy uważali ją za model. Doskonały model wszechświata. Dlaczego o tym mówię? Uważam, że wcale nie przemieszczam ludzi w czasie, a jedynie tworzę model świata jaki istniał kiedyś. Po czym umieszczam w nim osobę, która chce się w nim znaleźć.

- A w którym miejscu istnieje ten „stworzony” przez pana świat? – zainteresował się ksiądz.

- Uważam, że istnieje wewnątrz naszego świata, tylko jest zbyt mały, by można go zobaczyć. Jest to jednak model doskonały, gdyż pomniejszeniu ulegają nawet cząstki elementarne. Oczywiście to tylko moja teoria. Może ona być błędna, gdyż sam nie do końca rozumiem moce, którymi się posługuję.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, tworzy pan mikroskopijny model wszechświata, który istniał kiedyś i pomniejsza pan osobę która chcę się w nim znaleźć. A jak wygląda powrót?

- Muszę księdza rozczarować. Powrót jest niemożliwy – odpowiedział z uśmiechem czarownik.

- Skąd w takim razie wiadomo, że rzeczywiście przenosi pan ludzi do innych światów, a nie po prostu ich unicestwia? - arcybiskup podejrzliwie popatrzył na czarownika.

- Skąd wiadomo? - jak echo powtórzył człowiek w kombinezonie. – Otóż nie zawsze osoby, które przenoszę, chcą rezygnować z tego świata. Dla tych tworzę po prostu kopię ich samych i tą kopię umieszczam w stworzonym świecie. Skoro potrafię stworzyć kopię świata jaki istniał kiedyś, to o ile łatwiej jest mi stworzyć kopię jednego człowieka i to z obecnego świata.

- Dalej nie rozumiem - nie wytrzymał Leonard.

- Proszę mi nie przerywać, księże biskupie, zaraz wytłumaczę do końca. Otóż najdziwniejsze w tym procesie jest to, że kopia pozostaje w psychicznym kontakcie ze swoim oryginałem. Ja ten proces nazywam to rezonansem osobowości. Człowiek, który pozostał w tym świecie, wie wszystko o swojej kopii i nawet często udziela jej rad. Niejako potwierdza to moją teorię o tym, że stworzony przeze mnie świat istnieje w tym samym czasie co nasz.

rys. Piotr Woś

- Skąd wiadomo, że to nie hipnoza lub sugestia. – nie ustępował biskup.

- Ale z księdza niedowiarek! Jak wspomniałem, przeniosłem już ponad tysiąc osób z tego świata, a prawie dwie trzecie z wytworzeniem kopii. Większość tych ludzi dalej jest w kontakcie ze swymi kopiami z innych światów. Znaczyło by to, że równocześnie trzymam pod hipnozą jakieś sześćset osób. To chyba niemożliwe nawet dla tak zdolnego czarownika jak ja.

Zapadła długa cisza przerywana jedynie odgłosem kładzionych co jakiś czas na planszę kamieni. Po dłuższej chwili jednak znów odezwał się Leonard.

- Powiedzmy, że zdecyduję się skorzystać z oferowanych przez pana usług. Co wtedy?

- Myśli ksiądz, że jak diabeł każe podpisać cyrograf – uśmiechnął się czarownik. – Nic z tych rzeczy. Musze jednak uprzedzić, że moje usługi są dość drogie. Wyprawa wymaga też odpowiedniego przygotowania. Sprzęt, ówczesne pieniądze, informację o danej epoce...

- Rozumiem, że wszystko to zapewnia pan swoim klientom.

Czarownik uśmiechnął się i twierdząco pokiwał głową.

- Osobiście uważam się raczej za historyka i archiwistę. Powiem więcej zbiór danych o innych czasach i przygotowania logistyczne sprawiają mi więcej satysfakcji niż samo przeniesienie. Dlatego każdy z wyruszających, jeśli oczywiście tego sobie życzy, może liczyć na moją pomoc w tak zwanych sprawach merytorycznych. Po wysłuchaniu mego klienta udzielam mu zazwyczaj dokładnych rad, jak powinien przeprowadzić zmianę, którą chce przeprowadzić. Pan,

panie Leonardzie, nie będzie wyjątkiem. Wspomniał mi ksiądz o powodach, dla których chce skorzystać z mych usług. Dlatego też, choć nie jest pan jeszcze moim klientem, poczyniłem w tej sprawie pierwsze kroki. Czy zastanawiał się ksiądz, dlaczego wyznaczyłem spotkanie właśnie tutaj? – zapytał historyk-czarownik.

- Wiem, że jesteśmy w miejscu, gdzie spotykał się pierwszy klub GO w tym mieście, ale rzeczywiście nie mogę się domyślić, jaki może mieć to związek z naszą sprawą - odpowiedział Leonard.

- I wcale się nie dziwię. Poznański Klub Go nie był ani najlepszym ani najstarszym na tych ziemiach. (Oczywiście mówię o dostępnych danych, ponieważ jest duże prawdopodobieństwo, że działał tutaj klub GO w czasie Drugiej Wojny Światowej. Niemcy w tym czasie propagowali narodową grę swego sojusznika). Na przełomie tysiąclecia, gdy zaczynał działać klub poznański, poza klubami warszawskimi najsilniejsze w tym kraju były ośrodki w Tucholi, Wodzisławiu Śląskim i Chocianowie. Czy pan wie, że wtedy były to niewielkie, nic nie znaczące mieściny? To właśnie działalność tych klubów sprawiła, że dziś miasta te są stolicami departamentów. Ale do rzeczy. Zna ksiądz te nazwiska? – zapytał czarownik podsuwając biskupowi niewielki cyfrowy notatnik. Leonard przecząco pokręcił głową.

- Nazwiska te zna na pamięć prawie każdy mieszkaniec Poznania. To członkowie założyciele Poznańskiego Klubu GO. Niech ksiądz zwróci uwagę na czwarte nazwisko. Według jeszcze nie potwierdzonych danych właśnie ten człowiek napisał ową słynną „Legendę o GO", od której według księdza się wszystko zaczęło. O, widzę, że ksiądz mi nie wierzy. Rzeczywiście w powszechnym mniemaniu legenda postała w Japonii lub Korei. Lecz ja, po zgromadzeniu danych, zyskałem prawie pewność, że napisał ją Polak. Najprawdopodobniej by popularyzować grę. Może się to wydać śmieszne, ale w tym czasie w 40-milionowym kraju grało tylko kilkaset osób, a znakomita większość w ogóle o GO nie słyszała.

- No dobrze. Powiedzmy, że przeniesie pan mnie lub moją kopię w te czasy. Postaram się zapewne przekonać tego człowieka, by nie pisał lub zmienił treść legendy, gdyż rzeczywiście ów tekst uważam za początek „religii GO", ale zyskam wtedy szanse na uratowanie jedynie modelu naszego świata.

- Oh... Niech ksiądz nie tragizuje. Jestem przekonany, że świat, w którym żyjemy jest również modelem.

- Jak to? - po raz kolejny zdziwił się Leonard.

- Nie jestem kimś wyjątkowym. Ludzie tacy jak ja byli zawsze. Być może, jeśli nie jesteśmy sami we wszechświecie, istoty takie rodzą się i w innych cywilizacjach. Światów zatem może być więc więcej niż rozegranych partii GO w całej historii. Byłoby szczytem naiwności sądzić, że to nasz jest pierwszy i oryginalny. Są też zapewne światy, gdzie „GO" wcale nie jest popularne. Co ja mówię, światy w których nie powstał w ogóle człowiek Ale w tym jednym, który zostanie stworzony dla księdza, GO nie stanie się religią tylko dzięki księdza osobistemu zaangażowaniu, a co najważniejsze świat ten będzie brał początek w świecie, który chce pan uratować.

Po tych słowach znów zapadła cisza. Tym razem nie przerywana nawet odgłosem stawianych kamieni.

*

Arcybiskup Leonard Kasprowicz skorzystał z szansy, jaką dawał mu czarodziej-historyk, ale sam pozostał w swym świecie, ponieważ ciągle wydawało mu się, że nie zrobił jeszcze wszystkiego, by uratować ród ludzki. A przeświadczenie to towarzyszyło mu nawet wówczas, gdy cztery lata później wstępował na szafot jako bluźnierca przeciw „religii GO". Czy spełniła się jego katastroficzna przepowiednia odnośnie upadku ludzkości? Tego już nie wiem. Wraz z jego śmiercią zerwał się kontakt między nim, a Leonardem z naszego świata. A Leonard "kopia"? Leonard II zapewne nadal żyje wśród nas. Lecz nie łudźcie się, że spotkacie go na jakimś turnieju GO w Polsce czy gdzie indziej. Leonard II mimo, iż gra naprawdę dobrze, napawa się światem, w którym GO jest tak mało popularne i zapewne zrobi wszystko, by świat ten taki już pozostał.

Wojciech Jerzy Grygorowicz

RECENZJA

Maciej Guzek

Space opera is dead

Wydawałoby się, że głupiutki acz uroczy podgatunek fantastyki - o którym w tytule -najlepsze lata ma za sobą, że niczym nie może zaskoczyć. Tyle schematycznego chłamu zalega na księgarskich półkach, najlepsze dzieła podgatunku powstały dawno, dawno temu, a teraz tylko powielanie klisz i udziwnianie - boć jeden Hyperion wiosny przecie nie czyni. Space opera is dead zatem!

Niezupełnie.

Odsiecz przyszła - niespodziewanie - z Hiszpanii. Wprawdzie „Krople światła" Rafaela Marina - bo o nich mowa - to nie jest powieść młoda (1981 r.) niemniej polski czytelnik dopiero od tego roku ma możliwość poznania hiszpańskiego pisarza, popularnego ponoć na Półwyspie Iberyjskim tak jak A. Sapkowski nad Wisłą. Jeśli to prawda, jeśli książki takie jak „Krople światła" osiągają w Hiszpanii wielotysięczne nakłady, to, ladies and gentlemen, szacunek, czapki z głów, pokłony przed narodem hiszpańskim!

Bo „Krople światła" to nie zwykłe czytadło, świetnie napisane. Prawdę powiedziawszy napisane mogłoby być nawet lepiej - ale nie marudźmy, nie to stanowi o sile książki. Atutem - jakże rzadkim - jest mądrość, czy raczej Mądrość tej powieści. Marinowi nie chodzi o to by opowiedzieć kolejną, zgraną historyjkę o walce z obcymi cywilizacjami i skończyć, co to, to nie, Marin poluje na duszę - zarówno głównego bohatera, jak i Twoją, czytelniku. Jeśli nie zniechęcisz się po pierwszych stronach, jeśli zaakceptujesz pewną opieszałość narracji, zwłaszcza na początku - tam, dalej czeka nagroda.

Rafael Marin korzysta ze znanego w space operze schematu, to prawda - jest kosmos, musi więc być jego Podbój. Podbój jest celem i środkiem, cywilizacja ludzka żyje Podbojem, Podbój to jedyna słuszna ideologia, a jeśli uważasz inaczej - twój problem. Główny bohater, Hamlet Evans - nie superman, nie wybraniec, nie rycerz Jedi - ale poeta, służy Podbojowi, jest na pasku wszechwładnej Korporacji i jej elektronicznego mózgu, komputera, zwanego złowrogo Nowym Jorkiem. Najpierw z zapałem, potem z coraz większą niechęcią opiewa czyny żołnierzy Podboju, podróżując na pokładzie jednego z wielkich okrętów flagowych kosmicznej konkwisty, tzw. „lodołamaczy". Planeta za planetą, cywilizacja za cywilizacją, świat za światem, Podbój pozostawia zgliszcza, tak jak zgliszcza pozostają z wrażliwej duszy Hamleta Evansa. Aż wreszcie, jedynym ratunkiem dla poety jest wznieść swój wątły oręż, pióro, przeciw swoim dotychczasowym panom.

Przemiana Hamleta Evansa, to do czego zmusza system, to jak ów człowiek ugina się pod ciężarem fałszywej ideologii, to wreszcie jak stara się odbudować swą godność, nawet przeciwko takiej potędze jak powieściowa Korporacja - jest chyba najmocniejszą stroną powieści. Autor ze znawstwem pisarza - socrealisty przedstawia dylemat twórcy - czy iść na współpracę z systemem, czy wybrać wolność twórczą, czy sprzedać się za wikt i opierunek, czy warto się buntować? Przemknęła mi nawet myśl, że Marin mógł mieć kontakt z najmłodszą falą polskiej emigracji politycznej, z ludźmi Solidarności - wskazywałaby na to data powstania książki. Jednocześnie Marin świetnie zdaje sobie sprawę z tego, jakie niebezpieczeństwa niesie za sobą wolność, liberalizm obyczajowy, moralny permisywizm. Seks to wszak instrument pozwalający kontrolować masy - ha, macie każdy rodzaj cielesnej uciechy o jakim moglibyście marzyć, cieszcie się, używajcie, ale nie myślcie przypadkiem samodzielnie, czyż nie lepiej oddać się dzikiej, bezrefleksyjnej rozrywce? Ta makiaweliczna strategia sprawdza się znakomicie i trudno nawet powiedzieć, czy ludzie rządzą jeszcze samymi sobą, czy są tylko instrumentem, zbrojnym ramieniem Nowego Jorku. Przy okazji Marin nawiązuje do hiszpańskiej historii - czyż szesnastowieczna konkwista, która pozostawiła po sobie setki tysięcy azteckich trupów i w gruzy obróciła cywilizację Inków, nie była poprzedniczką Podboju? „Krople światła" można czytać jak przestrogę uświadamiającą, że nasz gatunek pod pewnymi względami się nie zmienia, że cały czas

drzemie w nas agresja. Irak, Stambuł, Afganistan, pokazują, że to trafna diagnoza. Przy tym wszystkim można przymknąć oko na trącące lekko myszką opisy podróży kosmicznych czy innych technikaliów, bo to w zasadzie margines. Marin raz jeszcze udowadnia starą prawdę, że fantastyka techniczna starzeje się dużo szybciej niż fantastyka, której centralnym punktem jest człowiek.

Prócz tego, co opisałem wyżej, a co przyzwyczajony do „dziania się" czytelnik zbędzie jednym słowem - „nudziarstwo" - trzeba powiedzieć, że powieść nie dłuży się, akcja, po pierwszych niemrawych stronach przyspiesza i nie pozwala odłożyć książki, póki się jej nie przeczyta. A więc nie odkładajcie. Póki ukazują się takie książki space opera is not dead.

Polecam gorąco.

Maciej Guzek

Krople światła, Rafael Marin, Solaris 2003

DYSKUSJA E-MAILOWA

„Inne pieśni" w „Innych Planetach", czyli Dukaj po raz drugi na ustach i ekranach Esthlosów Redaktorów

<Wojtek> „Inne pieśni" - ciężka sprawa. Mogła to być książka doskonała, wzorzec dla poszukującej, wielopoziomowej, nowoczesnej fantastyki. Ale tak się nie stało - co mnie bardzo rozeźliło wewnętrznie. Do niewątpliwych zalet IP trzeba zaliczyć: rozmach wizji i kreację świata przedstawionego - jest to wizja tak kompletna, bogata, szczegółowa i konsekwentnie odmalowana - że czapki z głów przed Jackiem Dukajem. Na ponad 600 stronach świat zbudowany wg kosmologii Arystotelesa jest pokazany pod kątem militariów, kultury, obyczajów, geografii, geopolityki, mody, kulinariów nawet, etc., etc. Brawo. Czytając - ma się uczucie dziwności - obcowania z czymś znajomym i jednocześnie nieznajomym. Śledzimy losy tych ludzi, nie mogąc się do końca z nimi utożsamić - wszak empatia między naszym a ich światem nie jest do końca możliwa. Drugi plus - to niektóre sceny i opisy: na przykład afrykańska wyprawa bohaterów i opisy kakomorfów, tych różnych „drewnianych małp", gorylich łbów na gałęziach drzew etc. - świetne, choć proste jako pomysł (sklejanka fragmentów fauny i flory). Rozdział drukowany w NF - dobry. Ostatni rozdział - opis zmagań alternatywnych potęg Ziemi z obcą formą, te wszystkie manewry kosmiczne etc. - cudo! I jeszcze parę innych opisów, jak choćby alternatywnego księżyca... Niestety, wkładając tyle wysiłku w sztafaż SF (sophia fiction, jak słusznie zauważył Orliński) Dukaj poległ na prostszych, zdawałoby się, przeszkodach: otóż „Inne pieśni" nie mają dramaturgii! Z początku to nie przeszkadza - myślimy sobie: OK, autor dopiero się rozpędza, powoli buduje tło dla akcji, która w końcu ruszy z kopyta. Poja-

wi się stawka i zmagania bohaterów, nastąpią zwroty akcji, fabularne zaskoczenia umilą nam lekturę, wydaje się to oczywiste. Tymczasem książka, która robi się wreszcie świetna mniej więcej w środku, przy opisie dżurdży - po tym momencie siada. Wszystko ustaje, i przez następne kilkaset stron musimy się zmagać z nudnymi, rozwlekłymi opisami świata, którego założenia już poznaliśmy, opisy kolejnych bitew, narad, rozmów głównych bohaterów przemieszczających się z miejsca na miejsce (często o niczym), z których nic nie wynika. Zauważcie, że w połowie książki poznajemy strategiczne plany Berbeleka i Księżycowej Wiedźmy - a później wszystko idzie dokładanie podług tych planów: kolejne kampanie, krok po kroku - aż do finału. Nieudany jest rozdział moskiewski - scenę konfrontacji z Czarnoksiężnikiem można było wykorzystać znacznie lepiej - a tak, mamy to, co mamy. Ostatni rozdział rekompensuje to wszystko estetycznie, ale nie fabularnie - znów: niczym nas nie zaskakuje!.. Co prawda ostatnie zdanie można interpretować na różne sposoby (acz, można rozumieć je najprościej), ale to już mało oryginalna gra z czytelnikami. Na razie tyle na temat „IP" - szkoda, że wkładając tyle inwencji w kreację świata (tu JD zasługuje na celujący), zawalił typowo kompozycyjne, fabularne sprawy - bo książka stała się przez to kaleka, a mogła być w pełnym tego słowa znaczeniu arcydziełem (nawet ogólnoliterackim).

<Piotr> Wtrącę i ja swoje uwagi, co do książki, która tak rozjuszyła Panów Redaktorów. Co do tempa akcji, uwaga słuszna, tylko pytanie czy nie był to efekt zamierzony (tak jak „samoograniczenie extensowe"). Mnie to osobiście niezbyt razi, mieliśmy to bowiem w „Sercu Mroku", którym to Panowie Redaktorzy się zachwycali. Niechaj krytycy dukajowego spowolnienia akcji uderzą się w pierś i się przyznają, czy w którejś recenzji nie krytykowali „prozy kinetycznej". Tutaj, gdy akcja trochę miejscami osłabła od razu larum podnoszą. Podsumowując: na pochybel krytykantom i niech żyje Dukaj;)

<Wojtek> Piotrze, to nie tak. Kinetyka to akcja bez głębszych treści i refleksji nad działaniami bohaterów, lub przemieszczanie ich z miejsca na miejsce bez specjalnego celu. Skrajny behawioryzm i dominująca motoryczność postępowania postaci literackich i filmowych. I właśnie podobną bezcelowość mamy trochę w IP. Ja uwielbiam osłabienie akcji, i długie poetyckie opisy, dziwne wizje etc. - lecz u JD te fragmenty są po prostu nudnawe - i nie zawsze odkupia on je na płaszczyźnie stylistycznej.

<Maciej Guzek> „Inne pieśni" to bodaj najlepsza powieść JD - na pewno lepsza od „Extensy". Najmocniejszy punkt - już tradycyjnie - to konstrukcja świata. Uff... ta kreacja jest naprawdę wspaniała, ogromna, nakreślona z olbrzymim rozmachem. Można by to nawet porównać do Tolkiena (choć Śródziemie jest chyba bardziej „kompletne"). No, ale we współczesnej fantastyce niełatwo przychodzi mi znaleźć porównanie - oryginalność, odkrywczość, to ciśnie się na usta. Nie Zajdel, Panowie, Zajdel jest dla tej książki za mały (przynajmniej jeśli chodzi o pomysłowość). Hugo. Nebula. To są poprawne odpowiedzi. Hats off! Druga rzecz, która cieszy to język - językowo książka jest lepsza od „Extensy" i „Czarnych oceanów" o „stadiony" (ci, którzy czytali, wiedzą co mam na myśli) znacznie mniej w niej „pseudonaukowego bełkotu" którym raz po raz raczy nas Dukaj. Tę książkę się czyta wyśmienicie - opisy, fragmenty militarystyczne (Kolenica!) zapierają momentami dech. Kolejny atut - bohaterowie. Ludzcy, ciekawi, niejednoznaczni - duży plus u Dukaja, u którego bohaterowie niejednokrotnie byli sztywni, papierowi. I tylko jeden zgrzyt - jaki bies podkusił JD by dać głównemu bohaterowi na nazwisko Berbelek?!!

Zgrzytów jest trochę więcej - to co zauważył już Wojtek - fabuła w połowie książki „siada", kolejne zaskoczenia przychodzą dopiero pod sam koniec, a przez 200 stron, czy nawet więcej - realizacja planu zakreślonego gdzieś w środku powieści. I o ile pierwsza połowa się z sobą wiąże to w drugiej akcja się rwie, widzimy tylko epizody, autor opisuje Berbeleka to tu to tam, rok wcześniej ,rok później - wszystko to sprawia, że dramaturgia słabnie, że spada czytelniczy zapał. Mowa o jakichś wydarzeniach, ale cóż z nich wynika - wiele epizodów wydaje się bez znaczenia. To minus i to spory, ale i tak w mojej opinii „Inne pie-

śni" rozwalcują na swej drodze wszystkich innych konkurentów do Zajdla za 2003 r.

Osobną sprawą jest klasyfikacja tej powieści - SF czy fantasy? Można i tak i tak to interpretować. Już słyszę głosy oburzonych entuzjastów Dukaja - SF to, oparte na założeniach Arystotelesa, żadna fantasy, tfu, precz! - ale nie jest to takie proste. Po pierwsze - kto tak naprawdę zna filozofię Arystotelesa - ja w każdym razie nie jestem w stanie zweryfikować poprawności konstrukcji świata w oparciu o tę filozofię. Po drugie zaś – koncepcje Arystotelesa okazały się (w większości) nienaukowe, nie przeszły „weryfikacji". Można napisać książkę w oparciu o system filozoficzny oparty na magii i koncepcjach wiedźm (o ile jakiś taki zwarty system można zrekonstruować) – i co, będzie to SF? To nic, że spójne - ale same założenia są fałszywe, wadliwie opisują świat!

I jak, fantasy czy SF?

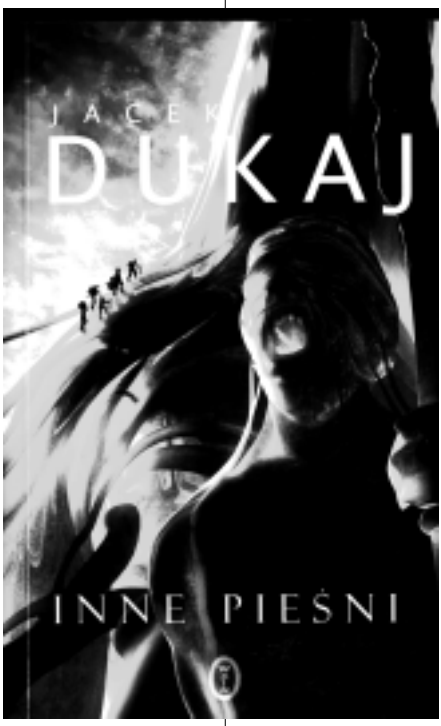

<Tomek> Świat - nie będę powtarzał głosów moich poprzedników jest genialny i fantastyczny. Mimo, że nie mam nic przeciwko „pseudonaukowemu bełkotowi" - jak to nazwał Maciek - Dukaja i „Czarne oceany" podobały mi się bardzo - to i ten świat - ze względu na swa odmienność, kompletność i przemyślenie przypadł mi do gustu - nawet mimo lekkich skojarzeń z fantasy :). Bohaterowie - żywi i psychologicznie prawdziwi – bez dwóch zdań. Niestety musze się również zgodzić z zarzutem, co do ostatniej części książki - ale zacząłem to odczuwać trochę dalej niż Wy - może jakieś 150 koniec od końca. Rozdziały jako epizody tylko - a między nimi „fast forward", za dużo niekiedy niepotrzebnych opisów i za mało akcji - no niestety czytało się gorzej. Fantasy czy SF? Moim zdaniem jednak bardziej fantasy (przyznaje Maćku:), nie ma gadżetów typowych dla SF i jest obszerna wizja świata - nowatorska - w czym odróżnia się do 99,9% innej fantasy. Ale tak naprawdę przecież to jak „Inne pieśni" nazwiemy nie ma znaczenia bo liczy się jakie są, a jakie są każdy widzi :)

<Maciej Witkowiak> Witam esthlosów:) W tej jakże ciekawej dyskusji, chciałbym powiedzieć parę słów. Nie będę próbował interpretować zakończenia, ale chcę byście zauważyli coś innego. Esthlos Dukaj stworzył coś nowego, wspaniałego, chociaż, jak słusznie esthlos Maciej zauważył, nie tak kompletnego jak Śródziemie, a dlatego, że bazował na naszym świecie, nie stworzył osobnego uniwersum (nie było osobnej, własnej pieśni stworzenia) a jedynie „pobawił się" w inne prawa fizyki jakie nim rządzą - to, że mu wyszło, to inna sprawa - inna pieśń, szacunek dla esthlosa Dukaja!!! Rzeczywiście Śródziemie jest tu dobrym porównaniem, choć ono ma wciąż tą przewagę (prócz własnej pieśni stworzenia), że jednak odleżało swoje (ok. 20 lat od powstania, drugie tyle dla przelania na papier), sądzę, że gdyby esthlos JD pozwolił odleżeć swojej książce choć z rok, dwa, pięć może byłoby z tego arcydzieło klasy światowej, bez mankamentów o których pisaliście. No cóż i tak to, co dostaliśmy powala na kolana (jakaż mocna forma!!) Język jest tu po prostu piękny, tak twórczego przekucia greckich pojęć i myśli nigdy wcześniej nie widziałem, świat równocześnie straszny i oszałamiający. Nie rozumiem jednak waszego zastanawiania się czy to fanta-

sy czy SF. Myślę, że ten spór to dyskusja w stylu, kto jest prawicą a kto lewicą w Sejmie... te pojęcia jak pisał już Bierdiajew dawno się zatarły, jesteśmy świadkami jak esthlos Dukaj tworzy coś, co nie da się sklasyfikować pod któryś z podgatunków: mamy tu PO PROSTU czystą fantastykę XXI wieku, czerpiącą z rozdzielonych onegdaj źródeł SF I fantasy, dlatego usprawiedliwionym jest dla jego interpretacji sięgać do źródeł SF i fantasy, porównywać ze Śródziemiem i Diuną, „Powrotem z gwiazd"i Ziemiomorzem itp... ale mnie ciekawi jeszcze inna sprawa (uwaga, to moje luźno puszczone dywagacje...). Pamiętacie „Czarne oceany", teorię memów itp.? Dukaj zaczął pisać powieść w grudniu 2002, powieść, która zawiera w sobie ogólnie rozumianą kulturę helenistyczną, jak by to ująć: przywołuje ją współczesnym jako żyjącą, nie zaśniedziała antykiem (przynajmniej ja mam teraz takie doświadczenia) w tym samym czasie zaczęto kręcić dwie wysokobudżetowe produkcje: „Troja" (B. Pitt w roli Achillesa) i „Aleksander Wielki" (C. Farell jako Aleksander). Ponadto uznawane za normę w starożytnej Grecji związki homoseksualne zaczynają być legalizowane w co raz to różnych krajach, a Eleni dostaje polskie obywatelstwo, natomiast za pół roku olimpiada w Atenach.

<Wojtek> Znalazłem opowiadanie Iana Watsona pt. „W duchu Lukrecjusza" (tłum. Lech Jęczmyk), oparte na dokładnie takim samym pomyśle, co „Inne pieśni". A więc nihil novi sub sole, ktoś już przed JD wpadł na ten pomysł (alternatywny świat zbudowany wg założeń fizyczno-przyrodniczych starożytnego filozofa).

Nie daje mi spokoju potraktowanie Chrystusa i chrześcijaństwa w IP. Problem siły i słabości Jezusa. Czy był silny, czy słaby? Dlaczego jego forma nie stała się dominująca z chwilą Odkupienia? A może weszła w wyższy poziom (nadnaturalny) Formy? To trochę rozbija ten świat, szkoda, że Dukaj prześlizguje się nad tym zagadnieniem - jest to moim zdaniem luka w kreacji.

<Maciej Guzek> Wojtku, to nie jest luka w kreacji - Dukaj po prostu na potrzeby tej powieści przyjął założenie, że Chrystus nie był Bogiem, a człowiekiem, tyle że „wyposażonym" w podobną moc co Czarnoksiężnik, Illea i pozostali kratistosi. Oczywiście, pozostaje pytanie - jeśli był to zwykły człowiek/kratistos, to dlaczego jego forma trwa tak długo po jego śmierci (wiara w Chrystusa, Syna Bożego)? Przecież powinna się ugiąć pod ciężarem innych form, żywych kratistosów. Tymczasem wspólnik Berbeleka, chrześcijanin, w ogóle nie poddaje się ponurej formie Grzegorza (o ile dobrze pamiętam) Ponurego i w ogóle odporny jest na inne formy. Być może Dukaj chciał pociągnąć ten wątek, ale nie starczyło miejsca i czasu?

<Maciej Witkowiak> No dobrze, ale skoro Chrystus nie był wg tej koncepcji Bogiem, dlaczego umarł jak w naszym świecie na krzyżu, dlaczego znalazł później wyznawców, którzy uwierzyli w totalną abstrakcję, że jak to Szulima mówiła, że abstrakcyjny Bóg Aristotela miał cielesnego syna, który odkupił nasze grzechy. W świecie potęg i form nasza retoryka Zbawienia jest rzeczywiście bezsensowna. Jeżeli Chrystus był tylko szalonym kratistosem i mimo tego ludzie dalej w niego wierzyli (pod formami innych kratistosów!!) pojawił się w powieści chyba tylko na zasadzie konstrukcji Dukaja dla świata, dla jego różnorodności „czego to ludzie/kratistosi nie wymyślą" i podejścia a'la Vonnegut: „kratistos Jezus umarł za cudze grzechy, zdarza się..."

Chociaż forma śmierci tego kratistosa spowodowała, że miast wypalić się z czasem z powierzchni ziemi (jak np. Jezebel Miłosierna, bodajże w Pergamonie pokazane jest jak powoli dogorywały resztki jej formy) on dalej trwał w sercach i umysłach ludzi i to mocno. Na przykładzie Jezebel (śmierć) czy Ilei (wygnanie), czy innych działań innych kratistosów widać, że fizyczna ich obecność ma kolosalne znaczenie, bo taka Illea wygnana 700 lat przed akcją powieści, o której wiadomo, że żyje, miała mimo wszystko ledwo tlący się kult na ziemi (na wyspach, czy te dzieci księżyca jak ów Babuczkin z Moskwy) a swoją moc ładowała w księżyc. Dlaczego więc martwy od wieków kratistos dalej wiązał ludzi o różnych formach, przecież w przeciwieństwie do Illei nic nie formował od wieków - (jak Illea np. Saharę) pojawił się na-

gle i równie szybko zniknął może więc posłał swą kratistosową energię w wyznawców? Sformował ich na tyle mocno, że mogą oni przekazać ją dalej tylko znowu, ryter Kristoff mówił, że on po prostu uwierzył, nie ma śladów jakiegoś zdominowania formą jak robił to Berebelek ze słabszymi. Zgadzam się więc z Wojtkiem, że jest tu jakaś luka. Zapomniałem napisać dlaczego chciałbym choć małego powrotu formy greckiej. Ta właśnie forma poniosła światu Ewangelię u początków chrześcijaństwa.

<Michał> Pora, bym i ja zabrał głos w dyskusji na temat „Innych pieśni". Powiedziane zostało już tak wiele, ze niewiele pozostaje do dodania. I jest jeszcze kwestia, ledwo zasygnalizowana na tym forum. Bohaterowie. Przyglądając się poprzednim wypowiedziom udało mi się znaleźć dwa sprzeczne poglądy. Z jednej strony Tomek wychwalał ich psychologiczną prawdziwość, zaś z drugiej Wojtek pisał o braku empatii, pomiędzy nami a nimi. Ja skłaniałbym się ku opinii Wojtka. Dlaczego? Dukaj zbudował świat w oparciu o poglądy Arystotelesa. Nie tylko w oparciu o filozofię, ale i fizykę. Czytając książkę, do pewnego momentu uważałem to za kwestię umowną, ale dopiero wyprawa na Księżyc uświadomiła mi, ze autor z całą powagą traktuje wizje Filozofa. A ponieważ Arystoteles nie był Demokrytem, w jego nauce nie było miejsca na atomy. W związku z tym należy przyjąć założenie, że ciało Berbeleka nie jest zbudowane z atomów, o czym może świadczyć np. wpływ skrzywienia itd. Fizyka świata jest zupełnie inna, wiec bohaterowie powinni być zupełnie obcy. Tymczasem niepokojąco przypominają ludzi. Mam to zresztą za niekonsekwencję: świat zachowuje się wg Arystotelesa, zaś ludzie wciąż pozostają ludźmi. Ale to chyba czepianie się: gdyby nie byli ludźmi, nie byłoby powieści, lecz traktat filozoficzny.

rys. Adam Pieńkowski

Uwaga: zdradzamy zakończenie!!!! A oto dyskusja na temat jego interpretacji.

<Maciej Guzek> Ja widzę dwie drogi interpretacji zakończenia, pierwsza klasyczna – Berbelek, pozostaje człowiekiem, obije adynatosa mieczem, załatwi go, i powieść kończy się dobrze (może nie dla Berbeleka, ale dla ludzkości) Na to wskazuje to, że Berbelek zaczyna z powrotem mówić po ludzku, rozróżniać przedmioty, wreszcie zabija adynatosa – a jeśli tak to rozsypuje się, musi się rozsypać Forma adynatosów. Tak więc anomalie znikają.

<Tomek> Nie wydaje mi się - interpretacje kolesia z Księżyca i ostatnie zdanie zdają się temu przeczyć.

<Maciej Guzek> Druga- Berbelek przemienia się w adynatosa. Na to wskazywałoby zachowanie Akera, który idzie do adynatosa uwięzionego na Księżycu. Na to wskazywałoby zachowanie księżycowego adynatosa, który szedł w stronę siedziby Illei – czwartego Labiryntu (tak jak to Illei zapowiedział pod koniec) .Jeśli nie istnieje dla adynatosów czas- można by założyć taką interpretację.

<Tomek> I przychylam się stanowczo do takiej interpretacji z powodów wymienionych.

<Maciej Guzek> Ale przeczy temu to, że Berbelek na samym końcu myśli po ludzku, rozumuje po ludzku i zabija adynatosa (a przecież były to istoty całkowicie Inne niż ludzie). Po drugie – gdyby stał się adynatosem, jak miałby zabić ich kratistosa?

<Tomek> A moim zdaniem wcale nie przeczy, bo w treści całej książki narracja jest prowadzona wieloosobowo - raz widzimy świat oczyma Berbeleka, innym razem Aurelii - i to

są różne wizje – Dukaj pisze tak, że narrator nie jest wszystkowiedzący, ale dysponuje tylko wiedzą tego, kto akurat jest opisywany. Typowy przykład to starcie Berbeleka z Czarnoksiężnikiem opowiedziane z punktu widzenia Aurelii - na początku rozmawiają oni po vistulsku, ale Aurelia nie zna tego języka, więc ostatecznie nie dowiadujemy się niczego do czasu, aż zaczną rozmawiać greką. I w tym jest moim zdaniem klucz - w starciu z Adynatosami Berbelek najpierw zatraca się w obcości, ale później jak gdyby wychodzi z tego i znów rozumiemy jak zaczyna liczyć - a opowieść prowadzona jest cały czas z punktu widzenia Berbeleka. Co więc powiecie na interpretację, że Berbelek zanurzywszy się w Obcości przejmuje ją sam nie wiedząc kiedy i staje się ona dla niego normalna - a obce staje się wszystko inne...I dlatego - po jakichś perturbacjach z czasem i przestrzenią - zmierza do Labiryntu Illei by zabić kratistosa obcych (Illeę w sensie) i tam zostaje złapany i umieszczony w Labiryncie.

<Piotr> Chylę czoła Tomku, to właśnie jest to właściwe zakończenie!!! Tak przynajmniej czuję..

<Maciej Guzek> Po trzecie – skoro czas i miejsce nie mają dla nich znaczenia, to nie ma problemu, by uwolnić się z Odwróconego Więzienia.

<Tomek> Maja - nie mają. Nie wiemy czy oni mogą dowolnie tym czasem sterować i czy przemieszczanie czasoprzestrzeni nie jest chaotyczne - bez ich (a w każdym razie bez Berbeleka) udziału.

<Maciej Guzek> Po czwarte – po drugiej stronie Berbelek powinien spotkać Akera – nie spotyka. Która wersja bardziej prawdopodobna?

<Tomek Barczyk> Ależ oczywiście że spotyka - w ostatnim akapicie. Spotyka i zabija. Przecież jest napisane ze zabija jakiegoś adynatosa a nie ich kratistosa.

<Michał> W sprawie interpretacji zakończenia - ja poszedłbym drogą najprostszą - Berbelek (nawiasem mówiąc nie mam nic przeciwko temu nazwisku) zabija obcego, ale przed tym go ROZUMIE. Rozumie jego uczucia - najpewniej strach przed śmiercią. Obcy przestaje być obcy. Problem poznania - to jedna z głównych osi powieści. Ten trop podrzuca także IV strona okładki: czy można poznać nie narzucając przemocą swojej formy? Czy istota obca jest poznawalna? Tu widziałbym ukłon w stronę Lema, ale i niejako triumf ironicznego optymizmu. Berbelek rozumie adynatosa, ale chwile po tym go zabija. Tyle w kwestii rozumienia.

Inne pieśni, Jacek Dukaj, Wydawnictwo Literackie 2003. Marsz do księgarni!!!

Poniżej prezentujemy krótkie streszczenie zasad filozofii Arystotelesa, które pomagają w zrozumieniu „Innych pieśni" Jacka Dukaja.

Michał Protasiuk

FORMA FILOZOFA

Arystoteles (zwany również od miejsca urodzenia Stagirytą, a w wiekach średnich po prostu „Filozofem") żył w IV w p.n.e. Stworzył kompletny system filozoficzny, stojący w opozycji do poglądów jego nauczyciela – Platona. Podstawowym nurtem w filozofii Arystotelesa była metafizyka, a w niej pierwsze skrzypce grało pojęcie bytu.

Bytem jest to, co jest. Każdy byt składa się z formy i materii – to podstawowy pomysł, jaki zaczerpnął z Arystotelesa Jacek Dukaj. Ta dwoistość nazwana została hylemorfizmem (hyle – materia, morfe – forma). Materia jest podłożem bytu, to czynnik bierny, doznający, a nie działający. Jest przeciwieństwem formy i bez formy istnieć nie może. Forma natomiast ma naturę aktywną, określającą. Forma decyduje o przynależności do danego gatunku (przypomnijmy sobie stwory o wypaczonej formie, zamieszkujące Afrykę – one z pewnością nie należały do żadnego gatunku).

dokończenie na stronie 47

PLANETA ABSURDU

Tomasz Berlińczyk

Witam serdecznie w kolejnej odsłonie Planety Absurdu. Na wszystkich tych, którzy nie mogli spać po nocach czekając na drugą porcję zasad kanału #modrzew czeka dziś spełnienie, a na tych którzy nie mają pojęcia, o czym mówię czeka... trudno powiedzieć co – ale na pewno warto się przekonać.

Oto zasady kanału IRCowego miłośników Monty Pythona – opracowywane przez ponad rok przez najlepszych specjalistów (thx to Tohver & barszcz) – pod patronatem Innych Planet – po raz pierwszy publicznie w prawie pełnej wersji (załącznik znajdziecie w poprzednim numerze Innych Planet) – specjalnie dla Was:

rys. Paweł Piechnik

1. Nigdy nie mów „żartuję".
2.
   a) Brnij w absurd do samego końca.
   b) Popychaj absurd do granic możliwości.
3. Barszcz jest piękny i szczupły.
4. Żadnych pedałów.
5. Osoby z nickiem nie spełniającym zasad z załącznika nr 1 będą poniżane.
6. Myj ręce przed i po.
7. Nie rozmawiaj z nieznajomymi.
8.
   a) Brnij w absurd jeszcze głębiej niż robisz to wypełniając zasadę nr 2.
   b) Popychaj absurd jeszcze mocniej niż robisz to wypełniając zasadę nr 2.
9. Chroń bobry.
10. Gówno prawda.
11. Nie zwracaj większej uwagi na zasady z numerem 11 lub większym.
12. Laski są generalnie głupie.
13. Zaufanie i sadomasochizm to podstawy udanego związku.
14. Desperacja jest sierocińcem głupców.
15. Straty musza być.
16. Bądź miły dla ludzi, nie obżeraj się, czytaj książki, chadzaj na spacery i próbuj żyć w zgodzie z ludźmi innych wyznań i narodowości.
17. Prawdziwa miłość może być tylko między mężczyznami.
18. Nie szanujemy dziwek.
19. Małe jest piękne.
20. Mężczyźni też potrzebują czułości – nie wstydźmy się jej okazywać.
21. Nie gównobykuj.
22. Wejście w dorosłość następuje w chwili, gdy rzeczywistość dogania marzenia.
23. Dzień bez ziemniaków to dzień stracony.
24. Biszkopt pro publiko bono.
25. To z homikiem to był żart.
26. Princessy szczęścia nie dają.
27. Starzy ludzie umierają.
28. Milczenie oznacza przyzwolenie.
29. Najlepszy człowiek to półczłowiek.
30. W raju studia trwają wiecznie.
31. W razie skrzywienia kanał nie ponosi kosztów leczenia.

32. Ula wie najlepiej.
33. Młodość to piękny wynalazek.
34. Ból, krew i płatki owsiane podstawą zdrowego społeczeństwa.
35. Na starość nie tworzy się takich zasad jak za młodu.
36. Wszyscy wiemy co powinno się robić z czarnuchami...
37. Czy to bajka czy nie bajka
Myślcie sobie jak tam chcecie
A ja przecież wam powiadam
Krasnoludki są na świecie!
38. Wszyscy ludzie to egoiści. Po prostu niektórym sprawia przyjemność pomaganie innym.
39. Nie podaje się prywatnych zasad do wiadomości publicznej.
40. [censored]
41. Wszyscy mają wszystko w dupie.
42. Nigdy nie wychodź zgrzany na powietrze.
43. Nigdy nie zaokrąglaj czasu ani niczego innego mającego związek z seksem.
44. Miłość to koszmar.
45. Dzieci nie wierzą w ślimaki.
46. Nie tęskni się za kobietą, ale za funkcjami które spełnia.
47. Zostawanie na noc grozi utratą miesiączki.
48. Każdy człowiek ma niezmywalne prawo do zrujnowania sobie życia.
49. Pasza jest dobra dla krów.
. Tu był punkt 50.
51. [censored]
52. Adoptuj, adaptuj, ulepszaj.
53. Niektóre kobiety są fajne.
54. Ale tylko niektóre.
55. Internet to nowy narkotyk dla samotnych.
56. Chcesz mieć węglowodany? – Zjedz banana!
57. Obey!
58. No tits – no fun!
59. Nigdy nie jest za późno.
60. Kto czyta poezje, tego nikt nie zechce.
61. Palenie tytoniu powoduje raka i choroby serca.
62. Brak netu powoduje normalność.
63. Tolerancja tolerancją, ale moralna słuszność jest przy nas.
64. Cios pałką zazwyczaj nie jest rozwiązaniem.
65. Ten punkt może być Twój za jedyne 49,99 zł.
66. Najszybciej zapomina się o starej zabawce kiedy dostanie się nową.
67. Nie ufamy osobom, które piszą lewą ręką.
68. Wielość jest przyczyną wielu problemów.
69. 69 to magiczna liczba.
70. Nawet o tym nie myśl!
71. Pamiętaj o zabezpieczeniu – choroba weneryczna nie śpi.
72. Budziki zabijają sny.
73. Wszyscy ludzie to świnie.
74. Kobiety to świnie i Judasze.
75. Życie nie jest dwuwymiarowe.
76. Istnieją rzeczy których nie ma.
77. Bez TVN-u świat byłby lepszy.
78. Nie zaczynaj bez natchnienia.
79. Okaż litość introwertykom – zamilcz.
80. Jest czas życia i czas sesji.
81. [censored]
82. Dzieci są niezdrowe.
83. Nie każdy jest nieomylny.
85. Nie można mieć wszystkiego.
86. Nie tul misia na dobranoc.
87. Nie dawaj za dużo opów.
88. Dyskoteki są błyszczącym targowiskiem próżności.
89. Miękkie kobiety są fajne, bo są fajne i miękkie.
90. Wszystkiemu winni są Żydzi i masoni.
91. Wszelkie prawa zastrzeżone.
92. Niewidoczna ręka rynku dotyka każdego niezależnie od wielkości siurka.
93. Porządek na biurku świadczy o pustce umysłowej.
94. Czymże jest życie, jeśli nie szukaniem włosów w pościeli?
95. Myślenie ma kolosalną przyszłość.
96. Tylko związki oparte na seksie mają szansę na przetrwanie.
97. A vida é como rapadura: é doce, mas não é mole.
98. Nie ma zasad z „kurwa".
99. Miłość jest jak kawior – wszystkim smakuje, ale ma swoją cenę.
100. Niżsi urzędnicy państwowi nie biorą łapówek.
101. Wszyscy są bardzo ale to bardzo bardzo wdzięczni twórcom regulaminu za ich ciężką pracę.

W post scriptum autorzy korzystając z okazji chcieliby podziękować wszystkim bezimiennym współtwórcom, którzy dostarczyli inspiracji, pokazali absurd życia lub inne części ciała. Danke schön.

„Pod Sówką”

Zbigniew Wantuch

Powiedzieć, że pensjonat „Pod Sówką” nie wyglądał rewelacyjnie byłoby nadużyciem. Zdecydowanie różnił się od tego, który pokazano im w kolorowym folderze w burze podróży „Mewa”. Jednak jeszcze przed wyjazdem postanowili wypocząć i dobrze się bawić niezależnie od warunków.

Wielki drewniany dom przylepiony do zielonego pagórka pachniał stęchlizną i środkami na mole. Na ganku siedziała starsza kobieta. Miała na sobie fartuch w maki, na kolanach trzymała metalową miskę z ziemniakami. Co jakiś czas leniwie i z całkowitą obojętnością rozglądała się poprzez sklejone przezroczystą taśmą okulary, wyjmowała z misy ziemniak i niespiesznie obierała go pordzewiałym nożem. U jej stóp, pod obdartym taboretem rosła góra obierek. W plamie słońca wygrzewał się wielki, kudłaty pies rzadko podnosząc ciężki łeb i kłapiąc posiwiałą paszczą na drażniące się z nim muchy.

Żwirowa ścieżka doprowadziła ich od skrzypiących schodów wiodących na werandę. Staruszka podniosła wzrok znad misy, wytarła dłonie w fartuch i z podniosła się z trudem.

- Państwo na wakacje? – zaskrzypiała jak dawno nieoliwione drzwi i w wymuszonym uśmiechu odsłoniła rząd nierównych, żółtych zębów.

- Tak. Biuro nie dało państwu znać?

- Ano.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Staruszka poprawiła okulary i wytarła skrzące się od potu czoło wierzchem dłoni. Marek rzucił plecak pod ścianę i pomógł uporać się Marcie z jej bagażem.

- Ale znajdziecie dla nas jakieś miejsca... Chyba nie macie kompletu? – zapytali z nadzieją.

- Pójdę po kierownika. – rzuciła znikając w ciemnym korytarzu kucharka.

Przycupnęli na skrzypiącej ławce pod wychodzącym na werandę oknem. Przez zszarzałe firanki widać było zarys pieca i metalowego zlewu z widocznym rudym zaciekiem.

Pies łypnął na nich jednym okiem, parsknął i pogrążył się na powrót w drzemce. Milczeli patrząc w pustkę przed sobą. Dróżka, którą przyszli zakręcała w lewo i ginęła wśród drzew. Na prawo spomiędzy sosen prześwitywał strumyk wypełniając okolicę sennym szumem.

Z wnętrza pensjonatu dobiegło ich skrzypienie schodów i klapanie laczków.

- Dzień dobry państwu. Jestem tu kierownikiem. Pani Wiesia powiedziała, że szukacie państwo noclegu – kierownik miał koło pięćdziesiątki. Czerwona koszulka włożona w granatowy dres ściśle przylegała do sporych rozmiarów brzucha. W lewym laczku była dziura, przez którą widać było zieloną skarpetkę. Przygładził kręcone, przyprószone siwizną włosy i kilka razy obrócił głową, jak by chciał rozruszać kark po drzemce w niewygodnej pozycji.

- Tak. Właściwie planowaliśmy tydzień wakacji, ale jak widać biuro wystrychnęło nas na dudka. Bylibyśmy wdzięczni, gdyby państwo przenocowali nas dzisiaj, wrócimy do domu jutrzejszym pociągiem. – zaproponowała Marta. Miała dwadzieścia dwa lata, długie kręcone włosy i czarne jak węgiel oczy. Luźne sztruksowe spodnie ukrywały niewielkie niedoskonałości jej sylwetki. Uśmiechała się szczerze.

- Ależ nie ma problemu! – ożywił się kierownik. – Możecie zostać tydzień. Albo dwa. Miejsca jest dosyć.

- Przemyślimy to przez noc. – wtrącił Marek, jak zwykle rzeczowy. Był rok młodszy od Marty, spod krótkich spodenek w kolorze piaskowym wystawały chude nogi w wysłużonych adidasach. – W miarę możliwości chcielibyśmy się odświeżyć i coś zjeść.

- Oczywiście. Oczywiście. Proszę za mną, zaprowadzą państwa do apartamentu.

Niewielkie pomieszczenie na poddaszu wypełnione było kurzem i zatęchłym powietrzem.

W środku stała dębowa szafa, stolik, dwa łóżka. Brud i minione lata zamazały wzory na burym dywanie i żółtej tapecie. Przez niewielkie, półokrągłe okienko wpadała ostra smuga światła brutalnie uwidaczniając zaniedbania obsługi. Rzucili plecaki pod szafę i poczłapali za promieniejącym radością kierownikiem do łazienki.

Standard łazienki wpisywał się jak najbardziej w panujące w ośrodku warunki. Wszystko razem tworzyło obraz ponury i przygnębiający, jaki często można zobaczyć na zdjęciach w gazetach, przy reportażach o Meksyku, czy polskiej popegeerowskiej wsi:

Zielonkawe ściany z łuszczącą się farbą. Po lewej stronie z góry na dół przebiega rura z charakterystycznymi nierównościami świadczącymi o wielokrotnym, każdorazowo spartaczonym malowaniu. Po prawej umywalka z zaciekiem, szary matowy kran. Z okna pada światło.

Wspólnie umyli się pod jedynym działającym prysznicem i parskając od zimnej wody, zeszli do stołówki. Zasiedli przy kwadratowym stoliku nakrytym poprzecieraną, kraciastą ceratą.

rys. Alicja Chmiela

Kierownik pojawił się dopiero gdy zjedli: zupę pomidorową z ryżem; ziemniaki z jakimś mięsem i surówką z kapusty; i wypili: ciepły, rzadki kompot.

- Czujcie się państwo jak u siebie. Wszystkie drzwi są dla was otwarte. Gorąco polecam również spacer po lesie. Jest naprawdę przepięknie. – zachwalał stojąc w drzwiach i opierając się framugę. Swoim masywnym ciałem tarasował wyjście. Marek i Marta próbowali się jakoś przecisnąć, on jednak stał, jak by ich nie widział. Jego wzrok zrobił się nagle mętny, a źrenice stały się zupełni czarne. Zrobił niewielki krok w stronę Marty, która stała bliżej niego. Zatrzymał się i nie ruszał patrząc jakby przez nią. Zrobiło się jej nagle bardzo gorąco. Kierownik oddychał głęboko, wydając cichy świst. Za każdym wydechem jego brzuch dotykał Marty pozostawiając na jej ciele zimny ślad. Nagle ich spojrzenia się spotkały. Jego oczy zrobiły się jeszcze większe.

Zobaczyła w nich setki ludzi. Na początku stali w zbitej grupie nieruchomi jak woskowe figury. Potem naraz wszyscy naraz zaczęli się ruszać. Jak zaprogramowane roboty.

Para starszych ludzi, stojących jak na ślubnym zdjęciu odwracała wbite w pustkę spojrzenia ku sobie i całowała się delikatnie. Jak by się siebie nawzajem wstydzili, albo całowali się na oczach wszystkich pozostałych. Potem znowu patrzyli na wprost i nieruchomieli trzymając się za ręce. By po chwili ponownie zwrócić się ku sobie i rozpocząć od nowa. Jak na puszczanym w kółko filmie.

Obok siedział mały chłopiec. Mógł mieć pięć, może sześć lat. Siedział w powietrzu, unosząc się nad ziemią, jednak zachowywał się jak gdyby było tam jakieś krzesło. Pewnie duże i niewygodne. Dłubał w nosie a potem robił kilka wymachów nogami. Na końcu spojrzał prosto w oczy Marty, uśmiechnął się i coś bezgłośnie powiedział. On również się zapętlił. Gdy spojrzał w jej oczy drugi raz zobaczyła w nim twarz kierownika, który stał tuż przed nią i dyszał. Wzrok miał już przytomny. Uśmiechnął się sztucznie, odwrócił na pięcie i wyszedł szybkim, sztywnym krokiem.

Marta stała nieruchomo. Marek podszedł bliżej delikatnie objął ją ramionami. Odskoczyła jak oparzona, zastygła z wyrazem przerażenia na twarzy a potem rzuciła mu się na szyję i wtuliła w jego kasztanowe włosy. Oddychała ciężko jak po długim biegu.

- Co się stało? – spytał gdy już się trochę uspokoiła.

- Nie wiem. Dziwnie na mnie patrzył. Ale już wszystko w porządku. – było jej wstyd za swoje zachowanie. – Chodźmy na spacer, świeże powietrze dobrze mi zrobi. – zaproponowała.

- Na pewno wszystko w porządku? Jesteś blada.

- Tak, tak.

Odnieśli brudne talerze do okienka z napisem „Tu odkładać naczynia" i wyszli na werandę. Lekki wiatr niósł z sobą zapach drzew i wilgoć potoku.

Gdy wrócili, w ośrodku panowała niczym niezmącona cisza. Nawet pies się gdzieś zapodział. Weszli na trzecie piętro, do swojego pokoiku, zsunęli łóżka i położyli się.

- I co robimy? – zapytała Marta i przytuliła się do Marka.

- A co powinniśmy zrobić? – pocałował ją w policzek.

- Nie wiem.

Leżeli śledząc cienie drzew przebiegające po ścianie. Marta nadal czuła się nieswojo. Strach już minął, jednak świadomość dziwnego zachowanie kierownika, obraz jego oczu i ludzi wewnątrz nadal ją niepokoił. Zdawała sobie sprawę, że to tylko złudzenie, że to wybryk jej wyobraźni jednak wspomnienia były bardzo wyraźne i prawie namacalne. Nie chciała zamknąć oczu w obawie, że znowu ich zobaczy – starszych państwo, małego chłopca i wszystkich pozostałych, którym nie zdążyła się przyjrzeć a o których wiedziała, że tam są.

- Ja bym został kilka dni. Na przykład trzy. Zresztą zależy od ceny. Co o tym myślisz?

- Dobrze. – odparła. Nie chciała psuć wspólnych wakacji - tak rzadko gdzieś razem wyjeżdżali. Zebrała się w sobie i postanowiła, że zapomni o całym wydarzeniu. Zacznie je analizować najwcześniej gdy wrócą do domu. Wzięła głęboki wdech i ułożyła się najwygodniej jak to było możliwe. Oczy same się jej zamknęły.

Śnił się jej kinematograf. A właściwie jego dźwięk, bo samo urządzenie nie przebiło się przez ciemności panujące w jej głowie. Obudziła się zlana potem. Czuła jak w piersi kołacze serce. Monotonny, twardy dźwięk wibrował w umyśle. Obok nie było Marka.

Usiadła na łóżku, przeczesała włosy palcami, poprawiła koszulkę. W pokoju panował półmrok. Zeszła po wyślizganych, drewnianych schodach i rozespana powlokła się korytarzem. W ośrodku panowała niezmącona cisza. Nawet jej kroki wydawały się stłumione przez lepkie powietrze. Zastukała w drzwi po prawej i otworzyła je.

W pokoju stały cztery łóżka, jedna czarna szafa i dwa niewielki taborety. Czuć było, że pomieszczenia dawno nikt nie wietrzył. Na piętrze znajdowały się jeszcze cztery pokoje, urządzone w tej samej stylistyce.

Zeszła niżej i zajrzała po kolei do wszystkich pomieszczeń. Wyglądały dokładnie tak samo i wszystkie były puste. Na końcu korytarza znajdowały się jeszcze jedne drzwi: masywne, szare i bez numeru, które jednak były zamknięte.

Potem zajrzała do kuchni, stołówki, świetlicy, gdzie stał ogromny, stary, czarno biały telewizor. Nie spotkała nikogo a panująca dookoła cisza powoli stawała się nie do zniesienia. Wyszła na werandę, odetchnęła powietrzem, które jednak wydało się jej mniej świeże niż jeszcze kilka godzin wcześniej. Pachniało starością.

Zdenerwowana i dziwnie osłabiona powlokła się z powrotem.

Gdy mijała pierwsze piętro usłyszała fragment rozmowy, przerwany nagłym wybuchem śmiechu. Zatrzymała się i podeszła do szarych drzwi. Nie było dziurki od klucza, przez którą można by zajrzeć do środka, jednak ku jej zdumieniu drzwi były uchylone i przez wąską szparę wpadała na korytarz smuga migoczącego, ciepłego światła. Drzwi ustąpiły bezgłośnie i Marta zajrzała do środka.

W głębokich fotelach siedzieli, naprzeciw siebie, kierownik i Marek popijając coś z arko-

rys. Alicja Chmiela

rokowych kubków. Obok stał drewniany stolik a na nim taca z herbatnikami.

- Proszę tu spojrzeć. – mówił kierownik podając Markowi jakąś otwartą księgę – Te zdjęcia zrobił jeszcze mój ojciec. To goście naszego pensjonatu. Pamiętam, że ta pani, o tutaj, codziennie rano dawała mi kilka cukierków, ale tak, żeby moi rodzice nie widzieli i żeby mógł od nich jeszcze potem coś słodkiego dostać.

W tym momencie zauważył stojącą w progu Martę, wstał i wykonał zapraszający gest ręką.

- Ależ proszę wejść do środka! Pani już wstała? Zapraszam.

- O! Cześć! – Marek wyjrzał zza oparcia fotela. – Jak się spało?

- Proszę siadać. – zachęcał kierownik wskazując wolny fotel stojący pod regałem z książkami, po lewej. – Oglądamy album ze starymi zdjęciami. Proszę się częstować herbatnikami.

Marta usiadła w fotelu i przez chwilę wpatrywała się w płomienie liżące szczapy drewna w kominku. W pomieszczeniu pachniało żywicą i dymem. Marek przerzucił kilka stron w albumie i podał go Marcie, sam biorąc łyk herbaty.

- A wie pan, że w '53 to nas nawet kilka partyjnych głów odwiedziło? Bo tu jakiś zjazd z regionu zrobili... – gadał jak najęty kierownik co jakiś czas pożerając ciastko.

Marta nie słuchała tego paplaniny i skupiła się na albumie. Miał grubą, twardą, skórzaną oprawę. Składał się z pożółkłych, sztywnych kartek, w fakturze których czuć było minione lata i gdyby tylko przyjrzeć się im dokładniej na pewno mogły powiedzieć wiele na temat historii samej księgi. Martę zajmowały jednak przede wszystkim zdjęcia. Wszystkie bez wyjątku były czarno białe i przedstawiały ludzi. W całym zbiorze nie znalazł się choć jeden pejzaż, drzewo, martwa natura. Na każdym był ktoś i były to przeważnie zdjęcia indywidualne. Zbiorowe było tylko dwa - ze zjazdu komunistycznej młodzieży wiejskiej.

Na schodach i werandzie pensjonatu, w trzech równych rzędach stali młodzieńcy w garniturach, krawatach i białych koszulach. Żeby ich wszystkich objąć fotograf musiał stanąć dosyć daleko i zdjęcie było trochę niewyraźne.

Poniżej, na tej samej, nieponumerowanej stronie znajdowało się drugie zdjęcie, tych samych ludzi, zrobione chwilę potem, prawdopodobnie bez ich wiedzy. Młodzieńcy schodzili ze schodów, część siadała na werandzie, część szła po wewnętrznych schodach na górę.

Marta zatrzymał wzrok na obu fotografiach. Coś się w nich nie zgadzało. Tak jakby zrobiono je zupełnie innych osobom. Wyglądało na to, że w chłopcach zaszła jakaś przemiana. Trudna do stwierdzenia na pierwszy rzut oka, ale jednak zauważalna. Gdy analizowało się każdą postać z osobna i porównywało z tą ze zdjęcia wyżej, widać było różnicę. Jak gdyby zostali z czegoś okradzieni. Tak – stwierdziła po namyśle Marta – wyglądają jak by coś zgubili, albo jak by im ktoś coś ukradł. Właśnie zdali sobie sprawę, że to coś przepadło na zawsze i nie ma żadnej możliwości, na odzyskanie zguby. Albo jeszcze o tym nie wiedzą, ale podświadomie wyczuwają... no właśnie, co wyczuwają?

Marta strona po stronie, bardzo uważnie oglądała album. W dziwny sposób intrygował ją i podniecał. Czuła dziwne mrowienie w opuszkach palców, gdy dotykała gładkich powierzchni fotografii, jednocześnie podziwiała twórcę za staranność wykonania i odczuwała dziwny

niepokój, może nawet lęk, patrząc w oczy czarno białych postaci.

Wołali do niej w niemym krzyku. Ostrzegali, chcieli powiedzieć coś niesłychanie ważnego. I choć postawa ani zatrzymane ruchy tego nie potwierdzały - wielu z nich machało rękoma, albo chustkami, uśmiechało się - jednak ich oczy mówiły co innego. Czarne oczy. Jak dziury w głowie.

Próbowała tłumaczyć sobie to dziwne odkrycie techniką fotografowania - na czarno białej kliszy nie sposób przecież oddać np. błękitu. Zdawała sobie jednak sprawę z nieudolności takiego rozumowania. Powinny być chociaż różne odcienie, a tu wszyscy mieli jednakowo czarne - jak śmierć, która dosięga każdego.

Zauważyła, że ręce jej drżą, zamknęła wiec album i położyła go na kolanach. Mężczyźni nad czymś rozprawiali, ona jednak nie potrafiła rozróżnić słów. Siedziała otoczona kakofonią niezrozumiałych dźwięków i odgłosów. Zauważyła, że kierownik, co jakiś czas łypie na nią okiem i uśmiecha się tajemniczo. Śledził każdy jej ruch, jak gdyby w obawie, że uszkodzi album, zagnie jakąś kartkę, zadrapie któreś ze zdjęć.

rys. Alicja Chmiela

- Jestem zmęczona podróżą. Położę się. Dziękuję za herbatniki. – powiedziała wstając chwiejnie i oddając album w tłuste ręce kierownika. Widziała jak zaciska na nim palce i jak na jego twarzy maluje się wyraz błogości i spokoju. Odzyskał swój skarb.

Chwiejnym krokiem weszła po schodach, które wydawały się nie mieć końca, rzuciła się na łóżko i zasnęła.

Obudziła się rano. Słońce wisiało nisko ponad koronami drzew skrzącymi się od rosy i lekkiego deszczu, obok miarowo oddychał Marek. Ubrała się i wyszła nie budząc go. Opłukała twarz w orzeźwiająco zimnej wodzie, umyła zęby i zeszła na werandę. Rozprostowała ręce, odetchnęła głęboko i pobiegła wzdłuż ścieżki.

Gdy wróciła po pół godzinie, zlana potem, zmęczona ale pełna energii, na ławce pod daszkiem siedziała jakaś postać. Marta oparła się o balustradę aby odpocząć i wtedy postać się odezwała:

- Wiesz, czasem się zastanawiam o co w tym wszystkim chodzi. – głos był gruby, jak by dochodził spod ziemi. Nie pasował do młodzieńczej bródki i francuskiego wąsika. Połowę twarzy spowijał cień, druga była widoczna, jednak niewyraźna. Skóra mężczyzny miała dziwny blady kolor. Jak na czarno białych fotografiach.

- Co ma pan na myśli? – odparła zaintrygowana i przysiadła na balustradzie.

- To wszystko. – nie wykonał żadnego gestu. – Ludzie gdzieś biegną, za czymś gonią...

- Taki mamy świat. Nikt nic na to nie poradzi. Można się nie zgadzać, ale uciec się nie da. – stwierdziła Marta, odrzucając do na plecy posklejane poranną mżawką włosy.

- A jednak próbują. – zauważył.

Zapadło dłuższe milczenie. Marta miała wrażenia, jakby rozmówca nabierał oddechu, ale robił to bardzo, bardzo długo.

- I mimo tylu prób, nikt jeszcze nie znalazł idealnego sposobu, by zatrzymać czas. Nikomu nie udało się pokonać ostatecznego sędziego naszego życia. I chociaż chcemy jak najdalej odsunąć te chwilę, gdy gra się zakończy, wiemy, że ona nadejdzie. I jednocześnie ciągle mamy nadzieję, że jeszcze nie dziś... – z cichym westchnieniem nabrał powietrza i kontynuował tym samym, spokojnym, monotonnym, kojącym głosem:

- A gdyby można było zatrzymać tylko Twoją część, za to na wieczność – zgodziłabyś się?

- W jaki sposób?

- Nie ważne w jaki. Liczy się efekt.

- Nie wiem. – zsunęła się z balustrady i przysiadła na ławce, naprzeciwko. Fascynowały ją szczególnie jego oczy. Poza tym, była prawie pewna, że już go kiedyś widziała.

- Zastanów się. – odparł. Marta spojrzała na swoje mokre od rosy adidasy i rozwiązane sznurowadła. Strzepnęła z buta źdźbło trawy i podniosła wzrok.

Ławka była pusta, nikt nie siedział naprzeciw i wydawało się jakby nawet półcień, w którym przed chwilą chował się nieznajomy znikł. Marta siedziała bezmyślnie wpatrując się w nierówne siedzisko ławy. Dostrzegła drobiny kurzu czy jakiegoś kwiatowego pyłku, które zdawały się wyraźnie wskazywać, że nikt nie dotykał tego miejsca już od jakiegoś czasu. Zakręciło się jej w głowie i poczuła się strasznie osłabiona. Jak gdyby nie przebiegła trzech kilometrów, lecz co najmniej trzydzieści.

- O! A pani już na nogach! – w odrętwienia wyrwał ją ochrypły głos kierownika pensjonatu.

- Tak... ale chyba się jeszcze położę. – odparła podnosząc się. Nie chciała przebywać z nim sama na sam. – Ale mam jeszcze pytanie. Mogę? – zatrzymała się nagle.

- Oczywiście.

- Czy pojawili się jacyś nowi goście?

- Nie. Jesteście państwo naszymi jedynymi klientami.

- A gdzie dzisiaj pójdziemy? Chciałbym zobaczyć tamtą górkę. Co? Pójdziemy na górkę, pozjeżdżać na sankach? – paplał wesoło dzieciak w pokoju 18.

Marta zatrzymała się i podeszła do drzwi. Były uchylone.

Na dużym drewnianym krześle siedział sześcioletni chłopiec. Wywijał nogami w powietrzu i dłubał w nosie. Nagle spojrzał wprost w oczy Marcie i uśmiechnął się. Chyba ją rozpoznał. Ona go na pewno.

- Co się dzieje, kochanie? – zdumiony Marek przecierał posklejane snem oczy.

- Bardzo źle się czuję. Czy możemy wracać do domu? – Marta rzucała się po pokoju pakując torby.

- Nie chcesz zostać dłużej? Mi się tu podoba. Wczoraj rozmawiałem z tym kierownikiem, zaproponował bardzo uczciwą cenę. – Marek ziewnął i usiadł na łóżku.

Marta zatrzymała się na chwilę, spojrzała mu w oczy i wrócił do pakowania.

- Wiesz, to chyba te pyłki, źle na mnie wpływają. Kręci mi się w głowie.

- Kochanie, czy ty czasem nie masz gorączki - jesteś rozpalona?

- Co, ja? Nie, tylko mi się trochę w głowie kręci. •le spałam i te pyłki...

- Ale śniadanie chyba zjemy?

- Co? Tak, może być...

Marek wstał i objął ją, uniemożliwiając dalszą pracę.

- W takim razie postanowione. Wyruszamy zaraz po śniadaniu, ale proszę uspokój się już i usiądź. Jeśli się źle czujesz, tym bardziej nie powinnaś się przemęczać. Zjemy śniadanie,

spakujemy się i ruszymy. Powinniśmy zdążyć na pociąg o 12.03.

-Halo! Proszę państwa. – kierownik wybiegł za nimi i dogonił ich w połowie żwirowej dróżki. W ręce trzymał sporych rozmiarów, czarną, skórzaną walizkę z metalowym, pordzewiałym okuciem. Zatrzymali się i odwrócili.

- Tradycją ośrodka stało się, że każdy gość znajduje swoje miejsce w albumie, który państwu wczoraj pokazywałem. Nasza dewiza to „Pamiętamy o naszych klientach". Proszę więc o uśmiech, a ja zaraz zrobię zdjęcie.

- Niestety bardzo się nam spieszy... – warknęła Marta i pociągnęła za sobą Marka. Kierownik przykląkł przy dróżce, otworzył wieko walizki i wyciągnął aparat fotograficzny z lat dwudziestych. – na drewnianym stelażu z dużą, półokrągłą, srebrzystą lampą błyskową.

- Ależ kochanie! – oburzył się Marek. – Minuta nas nie zbawi, a na pociąg na pewno zdążymy. Nie rozumiem o co ci chodzi. Od rana dziwnie się zachowujesz.

- Bo...

Marta odwróciła się i stanęła obok Marka. Chciała mu w końcu wszystko powiedzieć. Była wściekła, przestraszona, zmęczona, nie rozumiała co się dookoła dzieje. Widok kierownika i świadomość zamkniętych wewnątrz jego głowy ludzi napawały ją lękiem. Właśnie nabierała powietrza by wszystko z siebie wyrzucić, gdy zalało ich blade światło fleszu. Przez chwilę nic nie widzieli, potem świat wrócił do normy. Kierownik stał trzymając aparat w obu rękach, jak by go ważył i uśmiechał się.

- Jeszcze raz dziękujemy za gościnę. Do zobaczenia. – powiedział Marek, odwrócił się i ruszył. Marta wpatrywała się w kierownika, który ukłonił się, odwrócił i odszedł. Żwir chrzęścił pod nogami.

rys. Alicja Chmiela

Stawał się coraz mniej i mniej wyraźny aż w końcu znikł w szarej mgle. Z której wyłonił się przystojny młodzieniec, w czarnym cylindrze, z wąsikiem i kozią bródką. Marta odwrócił się i pobiegła za Markiem.

Wcale nie biegł, nawet nie przyspieszył kroku. Po prostu pojawił się obok niej i powiedział:

- A gdyby ktoś zatrzymał jakąś z twoich części na wieczność - jak w bursztynie, ale nie pozwolił ci wybrać którą - tak, że w końcu ta jedna część stałaby się całą tobą, a ty tą jedną częścią – byłby zbawicielem czy potworem?

Zbigniew Wantuch

RECENZJA

Tomasz Berlińczyk

Modyfikowane SF?

O powieści Richarda Morgana – „Modyfikowany węgiel" – dowiedziałem się właściwie przypadkiem. Szukając w Empiku zapasu lektury na długi okres zagranicznego wygnania zobaczyłem całą półkę zastawioną rzeczoną książką z białym paskiem „PROMOCJA – TYLKO 25,90 zł". Generalnie nie daję nabierać się na takie chwyty, ale tytuł zanotował się w pamięci.

Przypomniał się, gdy krótko potem ktoś (a konkretnie Piotr) powiedział mi, że w ostatnim numerze „Esensji" zamieszczono fragment powieści i że jest całkiem fajny. I tak jakoś pod wpływem impulsu, przy następnej wizycie w Empiku, nabyłem „Modyfikowany węgiel" – zachęcony po części opinią, po części grubością (solidne 500 stron), a po części fajną okładką. I mimo że zwykle nie dokonuję w ten sposób wyborów – nie żałuję moich 25,90 zł.

W świecie powieści mamy dwudziesty szósty wiek i czas kolonizacji innych planet. Mimo zaawansowanej techniki odległości kosmiczne wciąż stanowią dużą przeszkodę, ale na szczęście możliwe jest oddzielenie umysłu od ciała i przesłanie go ultraszybką transmisją strunową. Co za tym idzie – ciało można sobie wybrać dowolne i jedynym ogranicznikiem pozostają zasoby finansowe. Również śmierć nie jest ostatecznym końcem, jeśli tylko nie zniszczy się miejsca u nasady czaszki mieszczącego stos korowy – przechowalnię świadomości człowieka.

W powieści dominują dialogi, a narracja przedstawiona jest w pierwszej osobie, co sprawia, ze czyta się ją „lekko i przyjemnie", ale w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Nie trzeba przedzierać się przez nużące opisy, a jednak świat przedstawiony jest spójnie i wciągająco. Oczywiście kwestią gustu pozostaje, czy ktoś lubi scenerie SF, ale zakładam, że do takich czytelników kieruję te słowa.

Główny bohater – Takeshi Kovacs – zostaje zwolniony warunkowo z bezcielesnego więzienia i wezwany na Ziemię, gdzie dostaje do rozwiązania zagadkę detektywistyczną i szybko wplątuje się w rozgrywkę na najwyższych szczeblach władzy.

„Modyfikowany węgiel" ma wiele wspólnego z klasyczną powieścią detektywistyczną – przypomniały mi się kryminały Chandlera z detektywem Marlowem, a także – zapewne przez pierwszoosobową narrację i zawadiackiego głównego bohatera – ekothriller Neala Stephensona „Zodiac". Widoczna jest w książce przewaga akcji nad psychologią – postaci są naszkicowane sprawnie, ale obserwujemy je jak działają i poza może głównym bohaterem autor nie traci dużo akapitów na wyjaśnianie, dlaczego tak właśnie, a nie inaczej postępują. Ale też czytając „Modyfikowany węgiel" nie brakowało mi tego – czytałem dalej, ciekawy jak Kovacs wydobędzie się z kolejnych tarapatów.

Świat powieści jest dość bogaty, a problemy w nim przedstawione są logicznym wynikiem założeń – więc stanowi dobre tło do „elementu dziania się". I tak właśnie skonstruowana jest ta powieść – mamy naszkicowany odmienny świat i w świecie tym dzieje się akcja. Po przyjęciu do wiadomości, że powinniśmy po prostu cieszyć się lekturą, a nie doszukiwać się treści psychologicznych, drugiego dna czy większej głębi – powieść czyta się naprawdę bardzo dobrze. A będąc świeżo po lekturze „Innych pieśni" Dukaja tym bardziej to doceniłem.

Uprzedzając o tej drobnej niedogodności, spokojnie mogę polecić „Modyfikowany węgiel" wszystkim lubiącym takie klimaty – wizje odmiennych światów i ludzi borykających się z nieznanymi nam problemami – stare dobre SF...

Modyfikowany węgiel, Richard Morgan, ISA 2003.

Głupota i morze

Mądrość jest morzem płytkim, ale burzliwym, a głupota bezdennym, ale martwym.
A. Świętochowski

Głupstwo jest wielkie jak morze, wszystko w sobie pomieści
B. Prus

Jacek Sobota

SOLIPSYZM, CZYLI SAMOTNOŚĆ

Kiedy byłem dzieckiem, wyznawałem pogląd, że świat w swej najgłębszej istocie nie istnieje, a w związku z tym jest wymysłem lub snem. Moim, rzecz jasna. Dość szybko wyleczyła mnie z tego stanu niepodległość rzeczywistości – istotne dla mnie zmiany nie zachodziły na me wyraźne życzenie. Nie da się tego stanu zrekonstruować dokładnie, więc być może konfabuluję, ale miałem - będąc pacholęciem - wrażenie pewnego rozdarcia ontologicznego, bowiem świat odbiera się we wczesnej młodości zarazem intensywnie, jako napór bodźców atakujących zmysły, ale i jest w tej intensywności zarazem jakaś nierzeczywistość. Intensywność nierzeczywistości, odczuwalność nieodczuwalnego. Dostrzegam to teraz u mojej trzyletniej córki, Ewy – każde zdarzenie ma dla niej nimb nowości i zarazem być może coś z poetyki snu. Wyprawa na dworzec kolejowy wydaje jej się równie egzotyczna jak Śródziemie.

Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że taka zakrawająca o szaleństwo postawa nazywana jest solipsyzmem. Solipsyzm to skrajna forma idealizmu subiektywnego, głosząca – istnieję tylko ja sam, a wszystko inne jest moim złudzeniem. To chyba częste zjawisko pośród dzieci, nie ma więc niczego dziwnego w mym wczesnym solipsyzmie – jestem w końcu jedynakiem. Jedynactwo bywa kalectwem mentalnym, z rzadka przekuwanym na moc – wtedy jeno, gdy nie poprzestaje na prymitywnych egotyzmach, a ułatwia koncentrację na introspekcji, studiowaniu siebie. To ryzykowna teza, ale najlepszymi pisarzami powinni być samotnicy, a największymi samotnikami są jedynacy. Pojedyńczość, osobność, autsajderstwo to też formy solipsyzmu – odmieńcy owi idą przez życie z własną wizją rzeczywistości; otoczenie nie ma dla nich nic do zaoferowania. Nawiasem mówiąc, nie należy chyba nadużywać wyświechtanej frazy o braku żywionych przez nas złudzeń – w szczególnym (tym jedynym) wypadku może to bowiem oznaczać apokalipsę.

Kopaliński podaje taki źródłosłów terminu „solipsyzm" – z francuskiego *solitaire*, czyli „samotny", „pustelnik" (jest taki pasjans w komputerze; jedyna gra komputerowa, którą uprawiam namiętnie; teraz choć wiem z jakiego powodu); z łaciny – *solitarius*: „samotny".

Realne jest to, w co wierzy Bóg, napisał Dick w „Valis". Innymi słowy – solipsyzm Pana Boga nabiera cech niepokojącej realności. Trudno wyobrazić sobie większą samotność, od jedyności Boga (w końcu też Jedynak!) przed stworzeniem świata. Czasem sobie myślę, że On jest samotny nawet i po akcie Konstrukcji. Narzekamy często na niezrozumienie, bo przewyższamy mentalnie otoczenie (a w każdym razie tak nam się zdaje), które ześlizguje się po naszych wyżynach intelektualnych niczym po górach szklanych. Jedynym, który może to o sobie powiedzieć bez popadania w lekką przesadę jest Pan Bóg.

Filozofia i science fiction, które powinny być, a prawie nie bywają (przy wszystkich dzielących je różnicach formalnych) dziedzinami pokrewnymi, żerującymi na sobie, niemal pasożytami ocierającymi się o symbiozę, zajmowały się – każda po swojemu – zagadnieniami solipsyzmów. Osiemnastowieczny filozof George Berkeley, zarazem duchowny anglikański (co wiele tłumaczy), nie przepadał za materią. Z tej niechęci wyszło mu, że materia jako byt nie istnieje, a istnienie rzeczy polega wyłącznie na tym, że są postrzegane („istnieć znaczy być postrzeganym"). Bez istot spostrzegawczych nie byłoby świata rzeczy, bo i po co? Tak sobie myślę (po lekturze „Płci mózgu", to chyba oczywiste) – dobrze jednak, że istnieją kobiety, które są jakoby znacznie bardziej od facetów spostrzegawcze – w świetle hipotezy brytyjskiego filozofa świat byłby bez pań uboższy w szczegóły. Z drugiej strony, może byłby uboższy w te akurat szczegóły, których nadmiar nie przynosi nam radości? Wracając do Berkeleya – oczywiście jego immaterialny ogląd świata dostarcza całego szeregu problemów natury logicznej, a nawet wyznaniowej. Berkeley był duchownym nie bez powodu – a skoro wierzył w istnienie Boga, to solipsyzmy kłóciły mu się z ortodoksją. Nadto istniał kłopot z trwałością i jednością rzeczy. Słynny przykład z domem –

czy ilekroć Berkeley lub Sobota otwiera oczy i spostrzega dom, tylekroć ten dom tworzy się na nowo? A jeśli na dom patrzy skład osobowy Śląskiego Klubu Fantastyki, to widzą ten sam dom, czy raczej osiedle (jak patrzy Cholewa i Gepfert – to chyba ten sam)? Z kamiennego kręgu trudności Berkeley tak się wymyka – rzeczy są wprawdzie postrzeżeniami, ale nie tylko ludzi, lecz i Boga; przede wszystkim Boga – jest On gwarantem istnienia rzeczywistości, bo nie przymyka na nic oczu. A jak przymyka, to kaplica. Tym sposobem znów dochodzimy do solipsyzmów Pana Boga.

W fantastyce wiadomo – wspomniany już Dick. O „Ubiku" pisać się nie da bez popadania w nieruchomą kontemplację, co uniemożliwia pisanie. Jest natomiast opowiadanie, „Elektryczna mrówka", w którym bohater przypadkiem dowiaduje się, iż jest robotem. Eksperymentuje z perforowaną taśmą (takie to były siermiężne czasy) stanowiącą jego oprogramowanie – eksperymenty te wiodą do znikania połaci rzeczywistości. Pytanie typowe dla Dicka – czy znika jeno rzeczywistość postrzegana przez robota, czy też ta nam boleśnie znana? Lem w „Kongresie futurologicznym" nie idzie tak daleko – tam za fałsz świata odpowiadają halucynogeny, które szminkują wizerunek realności, w istocie kiepskiej. Dla delikwenta dotkniętego chemiczną iluzją nie ma to jednak znaczenia – liczy się wszak to, co bierzemy za prawdę, a nie prawda sama – i nie trzeba do tego aż halucynogenów czy sztucznych inteligencji wirtualizujących rzeczywistość. Wirtualna rzeczywistość z kolei bywa, np. w realizacjach Gibsona, w większym stopniu realna niż codzienność napierająca na zmysły, jakkolwiek nie brzmiałoby to paradoksalnie. *Ciało to mięso* – powiada jeden z bohaterów „Neuromancera". Czy ta, niemal berkeleyowska, pogarda dla materialnych aspektów istnienia uwzniośla ducha? Bynajmniej.

Solipsyzm jest niezłą, nie wiem czy nie jedyną, metodą na skuteczność produkowanych reklam. Istnieje tylko jeden proszek do prania. Jedynie na takiej i takiej margarynie da się smażyć zarazem łososia i łosia. Najskromniejszą reklamą, na jakiej spoczął ostatnio mój znękany zniechęcająco zachęcającymi bodźcami wzrok, jest promocja piwa Carlsberg – to PRAWDOPODOBNIE najlepsze piwo na świecie. Promując własny produkt, wyklucza się z grona bytów produkty konkurencyjne. One nie istnieją, a jeśli już, istnienie to blade, fasadowe, wręcz ocierające się o bezbyt; za chwilę rozpłyną się, rozpuszczą jak piana na miodowej powierzchni Carlsberga. Reklama jest niemal ontologicznym mordem dokonanym w majestacie prawa handlowego.

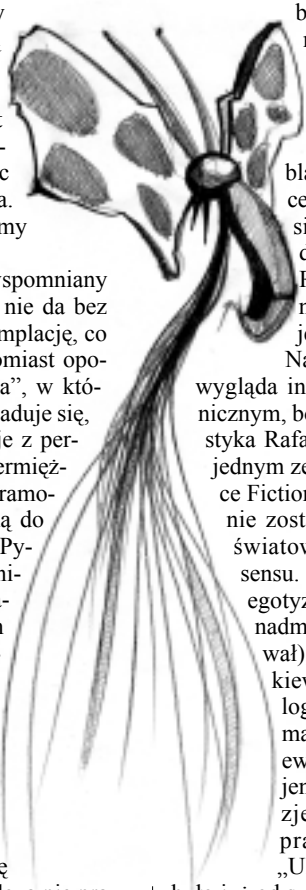

rys. Piotr Woś

Na nieco inny rodzaj solipsyzmu wygląda interesująca (pod względem klinicznym, bo nie merytorycznym) felietonistyka Rafała Ziemkiewicza. Niedawno w jednym ze swych tekstów (pismo „Science Fiction") uznał, że skoro jego książka nie została zrecenzowana, to istnienie światowej krytyki literackiej nie ma sensu. Nie jest to bynajmniej przejaw egotyzmu, ani też idiotyzmu (o takie nadmiary nigdy bym go nie podejrzewał), ale właśnie solipsyzmu. Ziemkiewiczem powoduje wewnętrzna logika, która z zewnętrzną nic nie ma wspólnego. Krytyka żmudnie ewoluowała wraz z literaturą po to jeno, by teraz ukazywały się recenzje z twórczości Rafała. Joyce prawdopodobnie nie napisałby „Ulissesa", gdyby w planach nie było już od sześciu miliardów lat „Walca stulecia". Jeśli kiedy Ziemkiewicz, nie daj Bóg, przestanie publikować, sens istnienia krytyki literackiej skończy się nagle. Już widzę te tabuny krytyków dotkniętych bezrobociem i poczuciem jałowości istnienia ich publikacji – jak w rozpaczy rzucają się z dachu budynku (osiedla?) postrzeganego przez członków Śląskiego Klubu Fantastyki.

I już tylko na zakończenie dodam, że istnienie Rafała Ziemkiewicza jest koronnym dowodem na to, że mnie, niestety, solipsyzm nie dotyczy. W moim Wszechświecie by go nie było. Nie przyszedłby mi do głowy, cholera.

RECENZJA

Michał Protasiuk

SYNDROM BREGGA

Hal Bregg, główny bohater powieści Stanisława Lema „Powrót z gwiazd", spędził wiele lat podróżując statkiem kosmicznym. Ponieważ wszechświat jest prawie pusty, astronauci nie mieli za wiele do roboty. Chcąc pokonać nudę, Bregg czytał. Nie były to jednak arcydzieła literatury pięknej ani poezje. Bregg preferował opracowania ścisłe: publikacje naukowe z zakresu matematyki i fizyki. Dlaczego? Przyczyna jest prosta: po przeczytaniu kilku setek powieści astronauta odczuwał „zmęczenie fabułą". Wyznania miłosne, przebiegłe intrygi, zdrady, pościgi – liczba fabularnych wątków, choć duża, jest ograniczona i po pewnym czasie może zacząć się nudzić.

Nie zamierzam tu wskazywać winnych, ale mam wrażenie, iż tą groźną chorobą (nazwaną roboczo „Syndromem Bregga") zaraziłem się od Krzysztofa Głucha. Pierwszym objawem jest paniczny lęk przed powieściami liczącymi ponad 400 stron. Tyle papieru, tak dużo słów, czy to ma sens? – myślę sobie, ilekroć ważę w dłoni egzemplarz książki spełniającej powyższe kryteria. – Czy autor nie ma poszanowania dla mojego czasu?

Dlaczego zatem zdecydowałem się przeczytać „Dworzec Perdido" Chiny Mieville (648 str.)? Kwestią zasadniczą okazała się entuzjastyczna rekomendacja Jacka Dukaja, zamieszczona na IV stronie okładki, gdzie nasz czołowy twórca fantastyki przyrównuje Mieville'a do takich tuzów jak: Dick, Bułhakow, Kafka, Schulz czy Grabiński. W naturalny sposób rodzi się zatem pytanie: czy było warto? Odpowiedź nie jest jednoznaczna.

Na potrzeby „Dworca Perdido" Mieville wykreował świat nazwany Bas – Lag. Świat ten zaludniony jest przez różne rasy, lecz nie są to rasy znane z innych dzieł fantasy. Prócz ludzi, po ścieżkach Bas – Lag stąpają między innymi: skrzydlaci garudowie, owadogłowi khepri i rzeźbiący w wodzie vodyanoi. Stolicą Bas – Lag jest Nowe Corbuzon. To miasto rządzone twardą ręką burmistrza, który wysługuje się brutalną policją, jest niczym koszmarny sen ekologa. Cuchnąca rzeka, pracujące bez przerwy huty, fabryczne kominy wyrzucające w niebo tony zanieczyszczeń, walące się domy. Rewolucja przemysłowa do kwadratu. W tym mieście żyje niejaki Isaac Grimnebulin. Isaac jest wolnym strzelcem – niegdyś pracował na uniwersytecie, ale prowadzone przez niego badania nie znalazły zrozumienia i musiał otworzyć prywatne laboratorium. Obecnie utrzymuje się z wykonywania zlecanych zadań, ale jego obsesją jest teoria kryzysu, czyli badanie układów wprowadzonych w stan daleki od równowagi. Pewnego dnia do Isaaca przychodzi klient z dobrze płatnym, ale niełatwym zadaniem. W jaki sposób nauczyć istotę bez skrzydeł latać? Oto jest zagadka. Równocześnie kochanka Isaaca – awangardowa rzeźbiarka – także podejmuje się zleconej pracy. Jak nietrudno się domyślić, istnieje nić, łącząca oba wątki.

Choćby przez wzgląd na objętość „Dworzec Perdido" nie jest powieścią, którą można scharakteryzować w kilku zdaniach. Na użytek niniejszej recenzji spróbuję jednak dokonać wiwisekcji na trzech płaszczyznach.

Płaszczyzna pierwsza: ontologiczna. Bas – Lag nie jest naszym światem, ma więc zupełnie inną ontologię. Jej podstawowe założenia wyjaśnia Grimnebulin na stronach 163 – 167 (kto ciekaw tylko tego, może przeczytać w księgarni). Każde zjawisko zachodzące w Bas – Lag można scharakteryzować za pomocą trzech kategorii. Z jednej strony mamy zjawiska czysto fizyczne: elektromagnetyzm, chemia, oddziaływania pomiędzy cząstkami elementarnymi itd.… Z drugiej strony mieszczą się stosunki społeczne: wszak Nowe Corbuzon zamieszkuje wielość ras, co stanowi raj dla socjologa, a właściwie dla ksenotropologa. I wreszcie kategoria trzecia, czyli magia, tu zwana taumaturgią (zaklęcia, szamanizm, okultyzm). Żadne zjawisko jednak nie składa się z „czystej" fizyki, socjologii ani magii, lecz ich mieszanki w różnych proporcjach. Nie muszę chyba dodawać, iż zgłębiana przez Isaaca teoria kryzysu jest również zagadnieniem ze wszech miar interdyscyplinarnym.

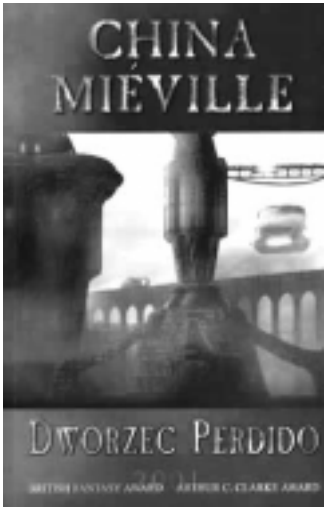

W tym właśnie miejscu dotykamy największej obsesji Mieville'a, czyli „stref hybrydowych". Na tym polega fundamentalna dynamika Bas – Lag: na przemianach. Na istnieniu stref, w których jedna rzecz staje się inną, „w których to, co oddzielne staje się częścią całości". Mieville zbudował Bas – Lag i zaludniające go rasy niczym z klocków Lego, lecz jego świat wydaje się zwarty i spójny, czego nie można powiedzieć o innych krainach fantasy. Dając mu solidną wykładnię metafizyczną, autor działa niczym sprawny chirurg plastyczny i powoduje, że szwy pooperacyjne są doskonale ukryte. To olbrzymi plus „Dworca Perdido".

Płaszczyzna druga: kreacyjna. Tak jak w poprzednich akapitach zająłem się ogólnymi założeniami świata, tak teraz należy zejść poziom niżej i zobaczyć, jak autor przekłada teorię na praktykę. Z tym jest już gorzej.

Podstawowy zarzut jest prosty: nadmiar. Do pewnego momentu jest świetnie. Wysmakowane opisy architektury miasta, zaskakująca dbałość o realia socjologiczne (spiskowcy jednoznacznie kojarzą się z XIX – wiecznym ruchem socjalistycznym), pomysłowość w kreowaniu ras. Mieville odpala jednak kolejne fajerwerki zdecydowanie za często, aż z czasem czujemy lekki przesyt. Nowi bohaterowie, nowe strony konfliktu… Tylko po co? Autor jakby chciał pokazać: „myślicie, że to wszystko na co mnie stać? Mylicie się!". Za zdecydowanie nietrafiony uważam wątek „sztucznej inteligencji".

Płaszczyzna trzecia: fabularna. Tu „Dworzec Perdido" kuleje najbardziej. W książce element „dziania się" wyeksponowany został aż za nadto, a na ostatnich dwustu stronach jest go po prostu za dużo. Jak długo można czytać o pościgach, pogoniach, strzelaninach i cudownych ocaleniach? Taka proza kinetyczna jest po prostu nudna. Może to paradoks, a może kolejny objaw „syndromu Bregga": jeśli w powieści dzieje się niewiele, czyta się o ją o wiele ciekawiej.

Podsumowując: po „Dworzec Perdido" sięgnąć warto. Jeśli kto jednak cierpi na „syndrom Bregga" i w okolicach strony 400 dozna gwałtownego ataku tej choroby, niech śmiało odstawi książkę na półkę i zwróci się do mnie. Za jedno piwo z przyjemnością streszczę zakończenie.

Michał Protasiuk

, **Dworzec Perdido**, China Mieville, wyd. Zysk i Ska, Poznań 2003

Nagrody Darwina

Nazwane na część Charlesa Darwina, ojca teorii ewolucji, upamiętniają tych, którzy ulepszają naszą pulę genową usuwając z niej swoje geny.

Oto niektórzy laureaci: (18 luty 2002, Hawaje) Tysiące lat po tym jak człowiek wyewoluował i zszedł z drzewa, trzydziestoletni Joshua odwrócił ten proces i usunął siebie z puli genowej włażąc na drzewo. Pod osłoną nocy wspiął się na drzewo rzadkiego gatunku celem kradzieży drogiego drewna. Był dużo sprytniejszy niż klasyczna postać z kreskówek, gdyż nie podcinał gałęzi na której siedział. Jednakże nie był wystarczająco sprytny, aby nie ścinać gałęzi, która była wprost nad nim. Obcięty konar spadł i go przygniótł. Został znaleziony martwy kilka metrów nad ziemią zgnieciony pomiędzy konarami.

(31 marca 2002, Bangladesz). Sześciu rabusiów, zainspirowanych filmami gangsterskimi, zostało złapanych we własną pułapkę próbując zablokować autostradę własnym samochodem. Kierowca nadjeżdżającej ciężarówki wiozącej krowy nie dał rady wyhamować pojazdu na czas. Ciężarówka przejechała przez blokujący drogę nieoświetlony samochód zabijając na miejscu wszystkich sześciu niedoszłych gangsterów. Także jedna krowa została zabita.

www.darwinawards.com

Piotr Derkacz

Nieobcy w obcym kraju

Powieść „Przybysz" autorstwa C.J. Cherryh należy do serii ambitnej fantastyki wydanej przez MAG-a kilka lat temu, która stanowiła pierwsze kroki wydawnictwa mającego uprzednio doświadczenia w publikowaniu czasopisma i podręczników RPG. Doskonałą i niebanalną oprawę graficzną zapewnił jej grafik Hubert Czajkowski. Nie spotkała się ona jednak z akceptacją szerszego grona czytelników, które przełożyłoby się na sukces wydawniczy i książki wylądowały na przecenach. Próbowano też ratować sytuację zmieniając okładki – tak jak w przypadku „Miasta w ogniu" W.J. Williamsa. MAG nauczony doświadczeniem już nie eksperymentuje z okładkami i daje, tak jak wszyscy, kobiety z wypukłościami tam gdzie trzeba.

Z PRZECENY

Mając pozytywne doświadczenia z poprzednimi powieściami z tej serii, takimi jak „Aristoi" W.J. Williamsa, „Najwspanialszy parostatek" P.J. Farmera, czy „Święty płomień" B. Sterlinga ochoczo zabrałem się do pochłaniania lektury.

„Przybysz" stanowi pierwszą część trylogii o takiej samej nazwie (tom drugi „Najeźdzca" ukazał się 1998 a tom trzeci „Spadkobierca" w 1999), która doczekała się kontynuacji w postaci powieści pod tytułem „Prekursor" opublikowanej w 2001.

Wbrew temu, co przeczytałem na obwolucie książki nie jest ona opowieścią o *„pierwszym kontakcie"* od którego *„zależeć będzie los (...) miliardów ludzi"*. Ale zacznijmy od początku.

Ziemski statek kolonizacyjny w tajemniczy sposób wychodzi z nadprzestrzeni w miejscu, którego nie ma na znanych ludzkości mapach. Zamiast przyjaźnie pustej planety koloniści zastają zamieszkały przez obcych świat. Z braku wyjścia decydują się wylądować.

Zasadnicza akcja rozgrywa się 200 lat po wylądowaniu, więc trudno tutaj mówić o pierwszym kontakcie. Zaledwie 4 miliony kolonistów żyje w kruchej równowadze z atevimi gwarantowanej przez traktat podpisany po Wojnie Lądowania. W jego myśl ludzkość stopniowo przekazuje swoją wiedzę techniczną mniej rozwiniętej obcej rasie. Obie strony zaczynają się zastanawiać co jednak będzie, gdy przekaże wszystko?

Główny bohater pełniący funkcję pahidiego, czyli połączenia ambasadora i mediatora z tłumaczem kontrolującym przekazywanie wiedzy, wpada w centrum politycznych rozgrywek pomiędzy atevskimi patronatami. Ziemskie tłumaczenie tego terminu, jako księstwa niewiele pomagają, gdyż patronaty nie posiadają granic geograficznych. Ich zasięg określa jedynie man'chi (specyficznie rozumiana lojalność i obowiązek wobec osoby bądź miejsca) poszczególnych grup atevich. Obca rasa, choć fizycznie zbliżona do ludzkiej (miłośnicy fioletowych macek i wyłupiastych czarnych oczu zawiodą się), posiada 14 słów wyrażania zdrady, żadnego oznaczającego zaufanie. Ziemianin próbuje zyskać ich przyjaźń, ale atevi nie znają słowa „przyjaźń" ani „lubić", znają słowo man'chi i świat, w którym zabójstwa są jedną z form negocjacji.

Za motto książki można uznać jeden z jej akapitów:

„Samoloty latające w powietrzu o podobnej jak na Ziemi gęstości, raczej nie będą wyglądały jak lokomotywy. Rakiety nie będą przypominały lodówek. Fizyka nakłada pewne ograniczenia na urządzenia wykonujące daną pracę, a fizyka na starej Ziemi i fizyka na planecie atevich nie różni się ani na jotę.

Natomiast biologia istot inteligentnych, mających do wykonania mnóstwo zadań podlegających wpływom mikrośrodowisk, ewolucji i genetycznego zamętu na dokładkę, może wykazywać piekielną liczbę zmiennych."

Książka w mojej opinii jest nieco za długa, zyskała by na dynamice, bez straty dla jakości, gdyby autorka skróciłaby ją o co najmniej jedną trzecią. Mało rozwinięta, ze szkodą dla książki, jest pierwsza część zawierająca dotarcie na planetę i pierwsze kontakty

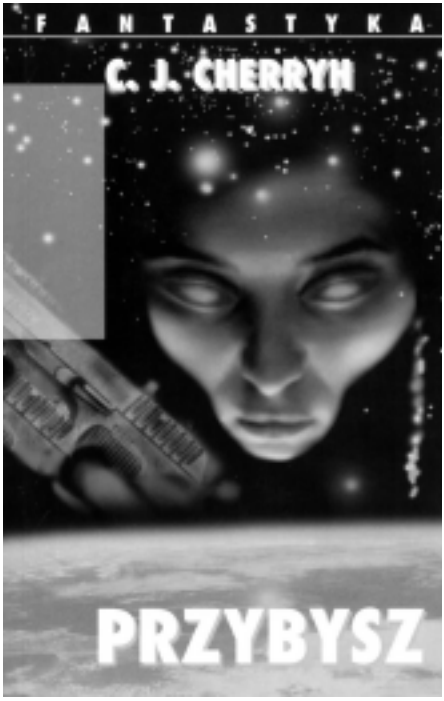

z obcą rasą. Autorka za szybko przeskakuje 200 lat w przód skupiając się jedynie na psychologicznych interakcjach pomiędzy pahidim Brenem a atevimi. Wiele obszarów pozostaje dziewiczych, jak na przykład sytuacja na obszarze zajmowanym przez ludzi.

Podsumowując, nie jest to książka dla fanów klasycznej space opery, ani powieści z wartką fabułą umilającą podróże koleją. Entuzjaści twórczości Jacka Dukaja, którzy będą oczekiwali perfekcyjnie nakreślonego świata z przedstawionymi wszelkimi jego ukrytymi mechanizmami funkcjonowania, także nie doszukają się tego w treści. Natomiast miłośnicy psychologicznych analiz relacji człowiek – obcy z leniwie płynącą akcją będą usatysfakcjonowani. No i naturalnie członkowie fanclubu C.J. Cherryh.

Piotr Derkacz

Przybysz, C. J. Cherryh, MAG 1997, wyd. I, cena 5 zł (w księgarni konwentowej). Istnieje też wydanie drugie z roku 2001 z okładką bardziej tradycyjną i ceną 29 zł.

ciąg dalszy ze strony 31

Pojęcia materii i formy odpowiadają pojęciom potencjalności i aktualności. Potencjalnością jest materia (może być w niej „odciśnięta" dowolna forma), zaś aktualnością forma. Aktualność jest więc nadrzędna w stosunku do potencjalności.

W tym miejscu Arystoteles poróżnił się w poglądach ze swoim nauczycielem Platonem. Stagiryta uważał, iż forma znajduje się w rzeczach, zaś Platon by sobie z nią poradzić, uciekał się do stworzenia innego świata – świata idei. By lepiej unaocznić ową różnicę zdań, wyobraźmy sobie dwóch wielkich filozofów, dyskutujących na temat konia. – Forma konia, czyli „koniowatość" istnieje w każdym zwierzęciu i ona morfuje materię – mówi Arystoteles. – Bzdura! – odpowiada Platon. – Gdzieś w świecie idei znajduje się koń idealny, a każdy koń stąpający po ziemi jest jedynie jego zdeformowanym odbiciem.

Tak wygląda zasadnicza idea, jaką wykorzystał Jacek Dukaj w „Innych pieśniach". W jego świecie mogą istnieć potężni kratistosi, odkształcający formę, gdyż forma (morfa) jest w każdym z nas. Takie oddziaływanie niemożliwe byłoby we wszechświecie Platońskim. Chcąc odkształcić formę jakiegoś człowieka, należałoby wpierw odkształcić pozaświatową ideę.

Na zakończenie kilka słów o Arystotelesowskiej fizyce. Stagiryta podzielił świat na dwie kategorie: świat podksiężycowy i nadksiężycowy. Świat podksiężycowy zawiera materię zniszczalną, a ruch w nim ma charakter liniowy. Świat nadksiężycowy natomiast zawiera rzeczy niezniszczalne (gwiazdy stałe), a ruch w nim ma charakter kolisty. Ciała z tego świata złożone są nie z czterech, ale pięciu żywiołów. Kwintesencja (piąty element) nazwany jest eterem – to tworzywo, które nigdy nie powstaje, nie ginie i nie podlega zmianom. Jak wpływowe i trwałe były to koncepcje, niech świadczy fakt, że pojęcie eteru ostatecznie usunięte zostało z fizyki dopiero w początkach XX wieku. A zrobił to człowiek, który mógł rzucić wyzwanie geniuszowi Arystotelesa – Albert Einstein.

Michał Protasiuk

Jacek Sobota

DRUGA PRZEPOWIEDNIA
(Komedia deterministyczna)

(fragment)

Motto: *Nieszczęście w szczęściu*
(Powiedzenie ludowe)

Grimaldi beknął solidnie, aż po izbie rozeszło się głuche echo. Dolsilwa uśmiechnął się do swoich myśli, bo wyglądały lepiej niż współbiesiadnicy.

- Znów się zadumał, psia kurwa! – warknął Seimari.
- Dziel się myślami, Dolsilwa – zawtórował Grimaldi.
- To by się skończyło bankructwem wyobraźni... – mruknął poeta.

Dolsilwa poznał ich wczoraj – kartografowie cesarscy. Krasnolud, elf i widmo – tak nazywał ich w myślach. Krasnoludem i elfem mianował kartografów, których wzrost dzielił, choć we wszystkich innych sprawach wydawali się zgodni. Grimaldi żartował, że takie rozmiary są wymogiem zawodu – dobry kartograf winien poruszać się z nosem tuż przy ziemi, by poznać każdą jej piędź; Seimari odmiennego był zdania: „zawód kartografa wymaga dystansu" – mawiał sentencjonalnie. Zapuścili się w odległe ostępy, by uściślić mapy mniej znanych prowincji Cesarstwa. Zatem uściślali, a następnie się upijali, z pewną regularnością, jakby uprawiali jakiś rodzaj rytuału. Dzięki takim rytuałom Dolsilwa chętnie stałby się człowiekiem religijnym, zatem postanowił im towarzyszyć. Grimaldi i Seimari gadali za trzech, przy czym ulubionym powiedzonkiem tego ostatniego było „psia kurwa". Gdy mu Dolsilwa zwrócił uwagę, że „suka" byłoby krócej (jeśli na czymkolwiek poeta oszczędzał, to były to czasem słowa), „elf" zadumał się wprawdzie, lecz nie zmienił przyzwyczajeń. Trzeci natomiast, zwany przez poetę widmem, milczał. Dolsilwa dowiedział się jeno, że miano jego – Regrac, i że jest Joańczykiem. Widmowość jego postaci przekładała się na obojętność wobec wspólnych wszystkim śmiertelnikom namiętności; nie zdradzał ochoty absolutnie na nic, do tego stopnia, że chwilami Dolsilwa miał wątpliwości co do jego istnienia. I to właśnie Regrac miał być przewodnikiem po tajemnej krainie, z której wyrosły ongiś jego korzenie. Po Joanii. Coś łączyło „elfa" i „widmo", jakiś rys nieuchwytny; Dolsilwa nie wiedział jednak, w czym ta łączność tkwi.

Od kilku godzin siedzieli przy okrągłym stole w karczmie z widokiem na wznoszony właśnie szafot. Na ścianie wisiała kiepskiej próby podróba słynnego obrazu Greubla Starszego „Taniec pod szubienicą", jak najbardziej tu na miejscu. Zdawało się, że głuche dźwięki roboty ciesielskiej wyznaczają rytm rozmów i toastów. Szafot z obrazu wydawał się lustrzanym odbiciem tego zza okna. Dolsilwa pomyślał, że sztuka wyprzedza rzeczywistość, wizerunek jakby domagał się swego spełnienia w realności, co na jego oczach zachodziło.

Właśnie ze względu na atrakcje możliwych powieszeń lub wycięć co cenniejszych narządów, ceny były w karczmie słone, lecz kartografowie nie narzekali na brak monet ze szlachetnego kruszcu. Był to zresztą jedyny przejaw szlachetności w tym przybytku zbytku sąsiadującym z obszarem zimnych tchnień śmierci. Grimaldi, ten o posturze krasnoluda, który miał skłonność do filozoficznych roztrząsań, gadał coś o prawdzie życiowej tkwiącej jak ćwiek w fakcie takiego, a nie innego usytuowania karczmy.

- Ktoś to dobrze wymyślił – prawił. – Zabawa i śmierć, uśpiona świadomość obok wyostrzonej świadomości braków w naszym istnieniu. Nicość i wieczność.

- Zatem jesteś, panie, Joańczykiem – rzekł do widmowego Regraca Dolsilwa, nieco już zniecierpliwiony wywodami krasnoluda. – Taaak... Joania. Coś mi mówi ta nazwa. Mój przyja-

ciel miał tam sprawę. Rozenkrontz...

- Opowiadaj, wierszokleto! – krzyknął Seimari.

- Gadaj, gadaj.

Dolsilwę nie trzeba było namawiać. Zebrał się w sobie, jakby przed wysiłkiem grożącym wyczerpaniem sił witalnych, przepłukał gardło winem, po czym zagłębił się. Jedni mówili, że zgłębiał w takich chwilach pokłady pamięci; inni – że raczej wyobraźni.

- Gdyby Rozenkrontz nie postanowił ujrzeć na własne oczy słynnego Targowiska Próżności... – zaczął.

OPOWIEŚĆ DOLSILWY

Gdyby Rozenkrontz nie postanowił ujrzeć na własne oczy słynnego Targowiska Próżności, wszystko potoczyłoby się inaczej – może lepiej, a może gorzej.

Targowisko w mieście Kolar zwano tak, a nie inaczej, ponieważ fałszerze sprzedawali tam szlacheckie godła, wraz z genialnie podrobionymi dokumentami mającymi potwierdzać wiarygodność rodowodu. Za odpowiednią cenę można było uzyskać certyfikat nieodzownego krwi błękitu – i stąd właśnie dokumenty zwano „błękitkami". Nadto, za dodatkową opłatą, oferta obejmowała również genealogiczne drzewa, lub – w zależności od bujności rozgałęzień – krzewy. Sporządzenie takowych do łatwych nie należało; trzeba się było wykazać zmyślnością i wyobraźnią; nadto proceder wiązał się z ryzykiem – wykryte fałszerstwo kosztowało oszusta dłonie. W razie recydywy obcinano głowę, lecz do tego nie dochodziło prawie nigdy – z powodu braku rąk do pracy.

Ale nawet obecność Rozenkrontza na rzeczonym Targowisku, o ściśle określonej porze i w ściśle określonym miejscu, nie wystarczyłaby jeszcze, by wydarzenia jęły biec tak, a nie inaczej. Nieodzownym warunkiem był jeszcze jego charakter; a raczej jeden rys: ciekawość, która – po zbyt już długiej głodówce – wyżarła w nim zdrowy rozsądek. To ciekawość zesłała Rozenkrontza na południe, z dala od przeklętego miasta Barden; to ciekawość kazała mu udać się na Targ, tak jakby nigdy w życiu nie widział ludzkiej pychy i apetytu na czcze zaszczyty. To ciekawość wreszcie sprawiła, że wmieszał się w nieswoje sprawy, choć od dawna wiedział, że to jedyna rzecz, której doprawdy czynić nie powinien.

I kiedy ujrzał tego człeka z obłędem w oczach, w białej szacie unurzanej w błocie, zataczającego się pod niewyobrażalnym, acz i niewidzialnym ciężarem, od razu pojął, że to nie żaden człowiek, a los nadszedł w niewłasnej osobie. Nie mógł tego wiedzieć, a wiedział; była to jedna z tych rzadkich chwil, które darowują nam nagłą znajomość rzeczy, oczywiście zawsze w nieodpowiednim miejscu i w złym czasie.

Rozenkrontz przyjrzał się mężczyźnie. Biała szata bywa dowodem niewinności; ulubiona barwa rzekomych dziewic oraz oskarżonych, pragnących wywrzeć dobre wrażenie na sądzie. Ale w obcym wszystko zdawało się blade i wiotkie, i jakby nietrwałe, za chwilę mógł rozwiać się w powietrzu, nie wywołując w Rozenkrontzu zdumienia. Biała szata przylgnęła do niego jak dodatkowa, druga warstwa skóry. Pasowała jak ulał.

Zachowywał się dziwnie, potykał, zataczał, przewracał kosze z owocami (wszak nie tylko próżnością tu handlowano), jakby nie dostrzegał materialnego aspektu rzeczywistości, jakby żeglował po oceanach własnej imaginacji, a było stamtąd daleko do wszystkiego.

Zresztą nie tylko Rozenkrontz zwrócił uwagę na odmieńca; już wszyscy obserwowali go z jawną wrogością.

- Joańczyk – parł szept przez zastałe powietrze – Joańczyk, Joańczyk...

- Joańczyk – powtórzył Rozenkrontz, mimo woli przyłączając się do powszechnego szmeru informacji. Nic mu ta nazwa nie mówiła.

Tymczasem szept przestał być szeptem; przeistoczył się w gwar. Rozenkrontzowi nie spodobała się jego mroczna barwa. Przebijała z niej nienawiść, żądza odwetu za zaznane lub niezaznane krzywdy. Paletę tych emocjonalnych kolorów mieszał wytrawny malarz – strach przed obcym.

Zawsze ktoś musi być pierwszy – w kierunku odmieńca poleciało jakieś warzywo. Po chwili szybowały inne; Joańczyk nie zwracał na to uwagi.

Rozenkrontz wiedział, że pierwszy kamień jest kwestią kilku pospiesznie przesypanych ziaren piasku. A gdy za ukamienowanego trupa odpowiada tłum, to nie odpowiada nikt. Poczucie błogiej bezkarności okupione momentem porannego niesmaku – oto marzenie bogatych ciałem.

Chciał krzyknąć, zareagować, powstrzymać, ale nie bardzo wiedział jak. Co miał powiedzieć? Kto czuje się bez winy, niechaj pierwszy rzuci pomidorem? Przecie już ciskali. I wówczas go olśniło: miast drzeć gębę, szepnął do najbliższego z rzucających:

- Zielony Motyl...

Gdyby piorun strzelił w zgromadzenie, wrażenie byłoby daleko mniejsze. Szept niósł się jak fala przyboju, ogarniał rzesze niczym zaraza, przekazywany z ust do ust. Zielony Motyl to było godło-legenda; niepodrabialne, ze względu na unikalność doboru barwników, czerpanych ze skałek wapiennych Laudanii (tak zwana „zieleń laudańska"), dawno temu wyeksploatowanych rabunkowo. I choć owadzie godło nie mogło świadczyć dobrze o statusie społecznym posiadacza, to jednak unikalność była w tym wypadku wartością samą w sobie. Podrobić Zielonego Motyla – to było wyzwanie! Zatem rosła ciekawość tłumu, wprost proporcjonalnie do niknącego zainteresowania Joańczykiem. Rozenkrontz najwyraźniej osiągnął zamierzony skutek, choć ten czy ów splunął jeszcze za dziwakiem. Aż ciekawość stała się jakby jednym, monstrualnym organizmem, który zarastał błyskawicznie przestrzeń wokół Rozenkrontza, istny żyjący krąg żądzy wiedzy. Zewsząd napierały nań członki ciekawości – czyjś łokieć wbił się w jego splot słoneczny, aż mu dech zaparło, a wszystko to z powodu głębokiego, wręcz penetrującego zainteresowania. Jął się zastanawiać, czy dobrze uczynił, lecz teraz wyboru już nie miał.

- Kto? Gdzie? Widziałeś? – Pytania sypały się jak kamienie.

Rozenkrontz machnął ręką w kierunku wschodnim, bo nie mógł mówić. Tłum zrzedniał gwałtownie, wszyscy rzucili się ku wschodowi, nie wiedzieć czemu.

W tym momencie, nagle i nieoczekiwanie dla siebie samego, Rozenkrontz wpadł w trans wieszczy, co mu się – niestety – zdarzało coraz częściej. Niegdyś wieszczył podczas snu jeno, co kazało mu unikać towarzystwa dziewek. Od jakiegoś czasu częstotliwość transów nasilała się; dusza oddzielała się od cielska i wędrowała po niepojętych szlakach. A Rozenkrontz, głosem – jak to był określił niegdyś jego przyjaciel, wybitny poeta Dolsilwa – drewnianym, głosił proroctwa tym, co znajdowali się akurat w zasięgu. Dawniej mniemał, że dobór ofiar wróżb kwestią jest przypadku, teraz nie był tego taki pewien. Gdy ocknął się z metafizycznego odrętwienia, Joańczyk spoglądał na niego z jawnym przestrachem – wreszcie na cokolwiek zwrócił uwagę.

- Co ci rzekłem? – zapytał Rozenkrontz, bo nie mógł pamiętać wypowiedzianych słów.

Joańczyk nie odrzekł nic, jeno ruszył – na południe. A Rozenkrontz, chcąc nie chcąc, za nim. Z poczucia odpowiedzialności; wszak poraził Joańczyka darem, który sam uznawał za przekleństwo.

I jeszcze z czystej ciekawości...

Tu Dolsilwa zwilżył gardło, pociągając wina z dzbana, i zapatrzył się przez chwilę w „Taniec pod szubienicą". Topornie namalowani wieśniacy tańczyli na tle wysokiego szafotu, a w tle rozciągała się dolina, piękna, lecz w domyśle jeno, wrażenie psuła podła jakość użytych farb, przez co barwy nabrały mglistości. W dolnym rogu obrazu jakiś chłopek zwyczajnie sobie srał, przykucnięty pod krzakiem. Z powodu tego chłopka poeta zmieniłby tytuł obrazu.

Tymczasem rzemieślnicy za oknem kończyli zbijać szubienicę. Ciekawe dla kogo? – pomyślał Dolsilwa, ale porzucił te daremne rozważania. Realność rzucała wyzwanie jego opowieści – gdy będą już wieszać tego nieszczęśnika, kto zechce słuchać opowieści? Trzeba się spieszyć. I rzeczywiście – jął opowiadać szybciej.

Szli obok siebie w milczeniu. Rozenkrontz chciał, by Joańczyk odezwał się pierwszy; czego pragnął Joańczyk – trudno orzec. Gdyby znał Rozenkrontz treść własnej wróżby – łatwiej byłoby zrozumieć całą sytuację. Tymczasem oddał się obserwacji Joańczyka; rychło też dostrzegł

zdumiewające szczegóły zachowania dziwaka, lecz o nic nie pytał. Zdał się na wrażenia. Przede wszystkim wydawało się, że rzeczywistość stawia Joańczykowi skrycie opór. Wszystko z rąk mu leciało, nieustannie się potykał; przedmioty z natury niegroźne nabierały w jego obecności cech niepokojących. Lecz biedak zupełnie się tym nie przejmował, jakby skrytobójczość, którą nieoczekiwanie przejawiał świat, nie miała żadnego znaczenia.

Miasto dawno zostawili za sobą, z czego Rozenkrontz był zadowolony, bo miłośnicy zielonych motyli musieli już wiedzieć o mistyfikacji. Zastanawiał się nad skalą ich gniewu – czy dostarczy im napędu do pościgów? Jeśli tak – szanse na skuteczną ucieczkę były żadne; nie mieli wierzchowców, Joańczyk nadto wydawał się być niezorientowany w naturze dotykających go opresji. W ogóle niewiele rzeczy go frapowało; co jakiś czas zerkał w niebo, jakby tam szukał drogowskazów i – co ciekawe – chyba znajdował.

Przemierzali wraz łąki i knieje; łąki rzadziej, coraz częściej za to knieje. Nie odzywali się do siebie – Rozenkrontz nie był przekonany, czy Joańczyk w ogóle rejestruje jego obecność. Ten ostatni z rzadka żarł jakieś korzonki i owoce leśnego runa – był to jedyny sygnał materialnej kondycji dziwacznego człeka.

Wreszcie jęło to nużyć Rozenkrontza – ów rytm przebrzydły, milczenie i domysły, które nijak nie zamieniały się w pewność. Najbardziej w tym wszystkim dziwiła go własna postawa – dlaczego angażuje się w te niewygodne sytuacje, ryzykuje, idzie za odmieńcem? Z poczucia odpowiedzialności? Przecie nie odpowiadał za swe prekognicje.

I kiedy trzeciej nocy zerwał się na równe nogi, bo znów przyśniły mu się zielone motyle duszące go błoniastymi skrzydełkami i wyśpiewujące jedwabistymi głosy tren żałobny (a były ich miriady), powziął niewzruszone postanowienie zakończenia przygody. Cóż z tego jednak, skoro już następnego ranka Joańczyk, jakby odgadując determinację Rozenkrontza, odezwał się wreszcie.

rys. Radq

- Przewidziała to.

Rozenkrontz zamarł, bał się poruszyć, jakby piskliwy głos Joańczyka był płochliwym, zielonym motylem.

- Kto? – zapytał wreszcie.

- Ona. Niug.

Niczego więcej nie wyciągnął z towarzysza wędrówki, lecz tego dnia, a i następnego też, nie opuścił go, oczekując kolejnych odzywek.

Ciągle parli na południe; drogi stawały się coraz gorsze, błotniste; widomy znak, że osiągali rubieże Cesarstwa.

- Jesteś Joańczykiem? – zapytał Rozenkrontz piątego albo szóstego dnia; powoli tracił rachubę.

Towarzysz wędrówki oczywiście zmilczał; i Rozenkrontz tracił już nadzieję na komunikację werbalną, przedwcześnie jednak, bo późnym wieczorem, gdy siedzieli przy ognisku, Joań-

czyk wygłosił przemowę.

Blask rzucany przez ogień podkreślał bladość oblicza; nawet głos cienki jak skrzydła motyla potwierdzał pośrednio wiotkość postaci dziwoląga.

- Owszem – rzekł Joańczyk. – Jestem Joańczykiem.

I jął snuć zadziwiającą pod każdym względem opowieść o Goronarze, synu czcigodnego ojca o tym samym, oczywiście, imieniu.

OPOWIEŚĆ JOAŃCZYKA

Goronar, syn czcigodnego ojca o tym samym, rzecz jasna, imieniu, które znaczyło w joańskiej mowie tyle co „Korzeń Drzewa", zerkał na Halari, żonę swą; w jego spojrzeniu miłość mieszała się z nienawiścią i niechęcią. Zupa jego uczuć była ciężkostrawna. Halari pięknie się poruszała, nawet piorąc gacie wyglądała jak rzeźba kuta w marmurze obdarowana łaską mobilności. Nadto głosem anielskim intonowała pieśni dziękczynne, jakby miała za co dziękować Panu. Nawet oddawała się Goronarowi ze śpiewem na ustach, co zamieniało ich miłość w rodzaj rytuału. Była to alchemiczna umiejętność niektórych kobiet – zamiana ołowiu trywialności w złoto wzniosłości. Kłopot w tym, że mężczyzn wzniosłości męczyły, a trywialności cieszyły.

Odznaczała się rzadkimi przymiotami ducha – była wierna jak stado psów, i mieściło się w niej więcej miłości niż w burdelu. Oczy miała jak gwiazdy, żar ich blasku spopielał duszę Goronara, szczególnie gdy tak patrzył na nią z nienawiścią, która wiele miała wspólnego z miłością.

Bo nie była Joanką, szlachetną duchem.

Bo nie mogła dać mu dzieci.

Jej łono było pustynią popiołów. I nawet nie wiedział, czy powinien ją za to nienawidzić, czy raczej błogosławić. Bo – z jednej strony – on BYŁ Joańczykiem. I *holonai,* czyli wyznaczonym do świętości. Jego przodkowie rozmawiali z aniołami. A niektórym w snach sam Bóg objawiał swą wolę! *Holonai* muszą być płodni – w słowa mądrości i owoce łona. Z drugiej strony – ojcostwo to w tych czasach jednak wielkie brzemię.

- Przepowiednia... – mruknął ciężko. Halari odwróciła się gwałtownie, a w jej oczach błysnęła nadzieja – mąż, jej Goronar, ten, który Odpowiadał Niepytany, odezwał się do niej! Po chwili blask nadziei przygasł, ale nie zgasł całkiem. Nigdy całkiem nie gasł. Przecie kiedyś było inaczej. I może znów będzie.

Jakże pragnął kochać bez nienawiści, patrzeć w oczy Halari, jak spogląda się w gwiazdy – ich przeświecający wszystko blask.

Pomodlił się w duchu, przepraszając Pana za grzeszne myśli.

A potem ruszył na obchód.

Ludzie witali go z szacunkiem, ale ich spojrzenia uciekały. Osada umiera, a on, *holonai* z dziada pradziada, z rodu Gadatliwych i Niepytających, nie potrafi temu zapobiec. Nie potrafi rozmówić się z Milczącym. Może Milczący już go nie słucha? To wszystko przez żonę, przebrzydłą niewierną. Niektórzy nazywali ją „wierzącą inaczej", a inaczej zawsze znaczy „gorzej". Takie były ich myśli, lecz nie słowa. Nie mogli wypowiadać pragnień; nie tu, nie w Joanii.

Zatem pochylali głowę na przywitanie i pożegnanie; głębokość skłonów była różna, kiedyś rejestrowałby je w pamięci, wszak nie przed nim pochylali, a przed instancją, którą reprezentował. Czy jeszcze reprezentował?

Cisza. Aż dźwięczała w uszach. Dzieci było coraz mniej – to dlatego. A jak już były, to udzielała im się cisza, jak choroba dziecięca, jak zaraza. I jeno szum modlitw, jednostajny szum modlitw. Tło.

Tylko Walkar, kowal, mącił w sadzawce ciszy. Dźwięk młota rozchodził się w zastałym powietrzu niby kręgami, jakby powietrze miało gęstość wody. Ludzie lubili ten dźwięk. Przypominał stare, dobre czasy.

Goronar zajrzał do kuźni; w twarz uderzyło gorąco; spocone oblicze Walkara i błyszczące w

półmroku białka oczu. Walkar nigdy nie odwracał wzroku. Był jedynym człowiekiem, z którym Goronar mógł swobodnie porozmawiać. Gdyby nie to, że był *holonai,* uznałby Walkara za swe- go przyjaciela.

- Witaj, *holonai* – rzekł kowal, a w jego głosie nie było szacunku.

- Witaj. Wiesz już? – Goronar czuł się zmęczony. Był ranek, dzień piąty, a on czuł się zmęczony. Kowal nigdy nie zwracał się do niego *holonai.* Zły znak.

- Tak. Potwierdziło się.

- Taaak – pociemniało mu przed oczami. Zdobył się jednak jeszcze na to, by wykształcić: - To dla nas wszystkich wielka radość...

- Wielka radość – powtórzył kowal. – Żartujesz?

- Nie.

- Może i masz rację. To wielka radość. Będę miał dziecko. Może nawet syna.

- Tak. Szczęściarz z ciebie.

Wymieniali słowa jak towary o wielkiej wartości – oszczędnie.

- Kiedy to się skończy? – zapytał Walkar po dłuższym milczeniu.

- Nie wiem. Może nigdy.

- Jest coraz gorzej, *holonai.* Porozmawiaj z Nim.

- Gorzej już być nie może. Nie można zdemolować ruiny...

Trzy dni wcześniej zasadzili się obaj na nieuchwytnego mordercę, Walkar nie był jeszcze wówczas pewien, czy zostanie ojcem. Wydawało się, że myśl o nienarodzonym potomku i konsekwencjach wynikłych z tego faktu bardziej go zajmuje, niż obława na bezwzględnego zbrodniarza.

Była noc. Gwiazdy błyszczały na niebie jak oczy Halari; Goronar nie potrafił przestać o niej myśleć, pozbyć się jej obrazu z pamięci. Halari – jego udręka. I ekstaza.

Zasadzili się z kowalem opodal domostwa Siniozа, świeżo upieczonego ojca. Oczywiście, nie mieli pewności, czy to on będzie celem. Ale zachodziło uzasadnione podejrzenie. W wielkiej konfidencji omówili wcześniej sprawę z Siniozem – jego rodzina przeniosła się na kilka nocy do sąsiadów z obrzeża osady; ojciec rodziny przechadzał się demonstracyjnie po domostwie. Był przynętą.

Nad ranem kowal przysnął. Po jakimś czasie *holonai* obudził go.

- Chodźmy do Siniozа, robi się zimno. Dziś nic z tego.

- Może zapolował gdzie indziej – mruknął kowal.

Długo stukali do drzwi, ale nikt nie otwierał. Weszli i ujrzeli to, czego się obawiali – trup. Jak zawsze – poderżnięte gardło, twarzą ku ziemi. Krew zasilała Matkę-Ziemię, tak zabijano zwierzęta w ofierze.

Dolsilwa urwał i poczekał na dzwony ciszy. Cieśle za oknem zakończyli robotę – szubienica wystrzeliła w niebo. Po ściśle określonym czasie, gdy nieistniejące dudnienie wydawało się nie do zniesienia, podjął opowieść, przechodząc z powrotem do osoby Rozenkrontza:

Podczas przemowy Joańczyk dwukrotnie oparzył sobie stopy. Rozenkrontzowi zdawało się, że ogień – niczym żywa istota – złośliwie kąsa członki mówcy. Wpisywało się to w widoczną tendencję nieprzychylności świata ożywionego i nieożywionego wobec rozmówcy; tak, że nawet przestawało to Rozenkrontza dziwić. Joańczyk także nie wykazywał żadnego zaskoczenia. Cierpiał ze spokojem, a może nawet z pewną pogodą usposobienia. „Łaskocze mnie" – rzekł o ogniu, jakby pieszczotliwie.

Rozenkrontz nic nie zrozumiał z opowieści o owym *holonai.* Jak miała się historia do Joańczyka, dlaczego urwał ją nagle. I skąd tyle wiedział o stanach wewnętrznych tego Goronara; jakby był nim po prostu. A może właśnie tak brzmiała odpowiedź – Joańczyk BYŁ Goronarem. Rozenkrontz zapytał o to, w odpowiedzi Joańczyk przedstawił się wreszcie – nazywał się Horonar, co tłumaczyło się – „Pień Drzewa".

Wyjaśniło się natomiast, kimże jest owa „ona", Niug, co posiadła dar przewidywania. Joańczyk rzekł, iż wyprawę podjął z jednego powodu – wieszczka przepowiedziała mu śmiertelne

niebezpieczeństwo. „Wybawcę spotkasz w drodze" – rzekła. I spotkał Rozenkrontza, który uratował mu życie na Targowisku Próżności. Z drugiej strony, gdyby nie wyruszył, niebezpieczeństwo by go nie dopadło i ratunek nie byłby konieczny. Zafrasowały Horonara owe zależności między determinantami życiorysu. Wszak sam fakt przepowiedni jest rodzajem ingerencji, zmieniającej bieg spraw. Rozenkrontz uśmiechał się z wyższością – on podobne przemyślenia miał za sobą; i wiedział, że odpowiedzi na te wątpliwości oczywiście nie ma.

Drogi były coraz gorsze; wszędy pleniła się roślinność, bujniejsza niż Rozenkrontz gdziekolwiek i kiedykolwiek w życiu widział; korzenie drzew kpiły sobie z równych nawierzchni. Rozenkrontz nigdy tak dobitnie nie przekonał się o nikłości ludzkich prób okiełznania natury, albo choć jej lekkiego wyrównania. Joańczyk tymczasem potykał się o wszystko i był nieustannie kąsany przez komary; jakby owady lęgły się w pobliskich moczarach z większą intensywnością na sam jego widok. Normalny człek skląłby na jego miejscu podstawy urządzenia świata; on tymczasem kierował się na południe ze wzrokiem utkwionym w niedocieczonej dali.

Dopiero wieczorem podjął opowieść, przerywaną co chwila na skutek nagłej inwazji gąsienic, próbujących masowo wpełznąć w jego organizm przez rozchylane przy przemowie usta. Łagodnie brał je w dwa palce i kładł na ziemi; a te znów, z jakąś zaciekłością, która nie miała nic wspólnego z chęcią przeżycia, pełzły po jego ciele – w górę, jakby do obiecanego przez hochsztaplera raju. Rozenkrontz zrazu nie mógł na to patrzeć; jednak po jakimś czasie przywykł; nawet jęło go to bawić w jakiś melancholijny sposób.

Seimari spał pod stołem, Grimaldi zaś wydawał się bliski omdlenia. Dolsilwa snuł już opowieść dość długo; zdawało się, że zajmuje ona jeno tego wiotkiego Joańczyka, Regraca. Kiedy poeta kolejny raz przerwał dla zaczerpnięcia oddechu, a tym bardziej wina, okazało się jednak, że i Grimaldi słuchał z uwagą.

- Co przepowiedział Joańczykowi Rozenkrontz? – zapytał.

- Znam tę historię od mego przyjaciela, Rozenkrontza – odrzekł Dolsilwa. – A on sam pozbawion jest świadomości znaczenia swych przepowiedni. Nie wiem. Zdradzę wam jednak pewną tajemnicę – po to tu jestem, by się dowiedzieć.

- Jakże to? – zdumiał się cesarski kartograf.

- Rozenkrontz, tuż po zrelacjonowaniu historii wpadł w trans i rzekł mi, że jeśli chcę poznać ciąg dalszy opowieści, muszę się udać w ściśle określone miejsce, w ściśle określonym czasie.

- To zdumiewające – odezwał się nieoczekiwanie Regrac, aż obaj: Grimaldi i Dolsilwa, spojrzeli na Joańczyka zdziwieni, bo do tej pory zasłynął milczeniem – że wszystkie te przechadzające się po świecie media wypowiadają się z taką mglistością, nieprawdaż? Przecie mógł powiedzieć wprost, miast kluczyć i mnożyć dodatkowe warunki poznania prawdy. Po co musiał pan Dolsilwa pokonywać te ogromne przestrzenie, by tu przybyć, bo „odpowiednie miejsce i czas" to tu i teraz, zgadłem?

- I owszem, panie Regrac – Dolsilwa wychylił dzban z winem. – Kiedyś myśleliśmy nad tym z Rozenkrontzem – wszak nie ma w tych prekognicjach umiaru, ni ekonomii. Być może moja obecność tu jest do czegoś potrzebna, a ochota na zaspokojenie ciekawości jest przynętą, by mnie tu zwabić? I nie pytaj mnie, panie, komum potrzebny, i do czego, bo może i nikomu, i do niczego; może tak właśnie musi się dopełnić przeznaczenie. To nie jest tak, że Rozenkrontz... czy owa Niug panują nad przeznaczeniem. Relacje są chyba odwrotne. Oni są narzędziami, ogniwami łańcucha przyczyn i skutków niedocieczonych...

Przez chwilę milczeli, aż ciszę przerwał Regrac.

- Teraz ja – rzekł – opowiem wam historię, panowie. Będzie to opowieść o ojcu i synu. Rzecz jasna, działa się w Joanii; wkroczyliście bowiem w rejony, gdzie wszystkie ważne opowieści zakorzenione są w Joanii, dziwnej krainie dotkniętej Milczeniem Pana bardziej niż jakikolwiek rejon świata. Nie zawsze tak było...

Joańczyk westchnął, jakby przytłaczał go ciężar wspomnień. Zmrużył oczy, by przebić się przez mgłę niepamięci, i jął snuć opowieść.

- Było to...

OPOWIEŚĆ REGRACA

Było to bez mała czterdzieści lat temu, gdy Joania uchodziła wprawdzie za część Cesarstwa Lechandryjskiego, ale było to sankcjonowane jeno formalnym edyktem cesarskim. Ziemie były płodne, ale nie w rolne płody; jeśli już rodziły, to roślinne bękarty, czyli chwasty, wzmagające bujność i różnorodność otoczenia. Joania nie miała wówczas również żadnego znaczenia strategicznego, ot, spłachetek ziemi pamiętany przez Boga. Jakość dróg, od zawsze zła, skutecznie izolowała krainę od pozostałych prowincji cesarskich. Izolację tę wzmagało przekonanie mieszkańców o wyjątkowości tej ziemi – to tu miał, ich zdaniem, stąpać Pan, tuż po stworzeniu świata, a ślady Jego Stóp to joańskie wąwozy i jeziora. Jego szaty ocierały się o tutejszą roślinność; stąd żywość barw i rozpiętość pnączy. Wyjątkowość uosabiała instytucja *holonai*, czyli Boskiego Tłumacza, Obcującego z Aniołami, Odpowiadającego Bez Pytania. On to interpretował Wolę Boga Milczącego, a jednak w snach *holonai* - Rozgadanego. Niektórzy z wybrańców (instytucja miała charakter dziedziczny) utrzymywali, jakoby odwiedzali ich, bynajmniej nie w snach, Aniołowie. Lud tutejszy wierzył *holonai*, przymierze z Bogiem zdawało się faktem, w osadzie, jedynej w okolicy, życie było błogostanem wręcz nienaturalnym. Ludzie z zewnątrz, którzy nawiedzali z rzadka Joanię, mówili, że wyczuwali tu aurę dziecięctwa, i stąd miały się brać błogości i życzliwości powszechne. Jest tak bowiem, że pamiętamy z wczesnego dzieciństwa zapachy, barwy i smaki bardziej niż konkretne rzeczy; i że tęsknimy do tej nieokreślonej przecie aury przez całe życie, a najbardziej na starość chyba. To jest nasz raj, nasza tęsknica. Może dlatego wieczniśmy czego złaknieni – tej nieosiągalności, bo przeszłości, kiedy to intensywność wszystkiego przesyca nam zmysły. Nikt nie wiedział dokładnie, dlaczego w osadzie czuje się szczęśliwy, ale tak właśnie było. Nieliczni podróżnicy, co zapuszczali się w joańskie rejony, nie potrafili jednak zabawić tu długo, szczęście rozsadzało im dusze; nieprzywykli – umykali szlochając. Mechanizm działał, niestety, w obie strony. Joańczycy nie mogli dłuższy czas przebywać poza oazą szczęścia. Stanowiło to poważną przeszkodę w handlu; stąd wynikła konieczność, by zbadać zasięg oddziaływania błogostanu. Gdy wytyczyli ścisłe granice – obszar szczęścia miał dwanaście tysięcy kroków średnicy i był nieregularnym okręgiem – na obrzeżach zasiedlono eksperymentalnie kilka rodzin. Szczęście działało tam wprawdzie, ale jakby słabiej. Był to rodzaj hartowania – dzieci wychowane na obrzeżach, tak zwani „półszczęśnicy", nabierały odporności na ponure aury; gdy dorastały, trudniły się kontaktami handlowymi z resztą prowincji Cesarstwa.

I to tu właśnie zdarzyło się pewnej nocy Zwiastowanie nieszczęścia, które mogło się okazać szczęściem, ale nie musiało. Owóż do jednego z domostw zawitał znużony wędrowiec, była późna noc, nawet gwiazdy wydawały się śpiące. Gospodarz powitał gościa jak należy – jego żona sporządziła skromny posiłek, postawiła też na stole wino z zeszłego roku, kiedy to słońce dopisywało. Od razu spostrzegli, że obcy nie jest Joańczykiem, za jasne miał na to włosy, a twarz pogrążoną w cierpieniu, jak w głębokim cieniu. Cierpienie rzadkim było w Joanii gościem, zatem gospodarz zaciekawił się wielce; obcowanie z taką mentalną obcością rozszerzało wszak horyzonty. Żona poszła do płaczącego dziecka; niedawno narodzonego syna, przedmiotu rodzicielskiej dumy. Zostali sami.

Smukły, lecz niezbyt wysoki, obcy nosił się z surowością wędrowca, któremu intensywność podróży wybiła z głowy tęsknoty za elegancją czy wykwintem. Zaiste, wyglądał jakby regularnie przebywał odległości nie do przebycia.

Ich rozmowa nie była długa; mówił głównie przybysz, głosem przepełnionym zmęczeniem; gospodarz natomiast z każdym wypowiedzianym słowem bladł coraz mocniej, aż udało mu się osiągnąć niemal biel oblicza.

Mowa była o starej przepowiedni, tak starej, że wręcz stała się baśnią, w którą nikt w Joanii nie dawał tak do końca wiary. Powiadano, że któregoś dnia Milczący ześle na padół łez Syna, by ten – swą męką i śmiercią – okupił grzechy ludzkości. Nim jednak do tego dojdzie, jeden z Joańczyków, Umiłowanego Rodu Pana, będzie musiał ofiarować swego Pierworodnego. Syn za syna, ofiara za ofiarę.

- Idzie o twego syna – rzekł przybysz ze smutkiem w głosie. – Czas nadszedł. Wypełnij

Ofiarę, a ludy tego świata dostąpią zbawienia...

- Łżesz! – krzyknął gospodarz i byłby się porwał na życie obcego, gdyby nie uświęcone wiekowym zwyczajem Prawo Gościnności. – Wiesz, ile czasu czekałem na syna?!

- Masz pięć lat, ani chwili dłużej. Naciesz się nim, darz go miłością, ukaż czym jest świat...

- Kim jesteś, że ośmielasz się żądać od ojca śmierci jego jedynego syna?!

- Posłańcem złego i dobrego. Ja jeno przekazuję Wolę tego, który jest Wolą i Prawem. Tego, co Zło przekuwa w Dobro. Tak będzie z ofiarą twego syna.

- Dlaczego mam ci dać wiarę?

- Bo poza wiarą niewiele wam zostało.

- Jest jeszcze miłość...

- Tak. Jest i miłość. Chcesz dowodu, to masz. – Położył dłoń na blacie stołu. Kiedy ją odjął, został wypalony ślad. – Ile razy zwątpisz, tyle razy spójrz na ten znak.

Potem wstał, podziękował za gościnę i wyszedł.

Gospodarz siedział jak skamieniały.

Dolsilwie podobała się opowieść Regraca, toteż żachnął się, gdy została przerwana odgłosem tłuczonego dzbana. Mimo, że Joańczyk niemal się nie ruszał, wytłukł w trakcie opowieści cztery dzbany, w tym dwa do połowy pełne, co było jawnym już marnotrawstwem. Nawet, jeśli na pocieszenie uznać, że były do połowy puste. Wydawało się, że niszczy zastawy samym oddechem, a gdyby tak było, mógłby z powodzeniem występować na jarmarkach. Ilekroć coś stłukł, tyle też razy uśmiechał się przepraszająco.

- Może powinniśmy czerpać rozkosz wprost z beczek – zasugerował łagodnie Dolsilwa. – Kim był ów wędrowiec? Skąd te jego nadzwyczajne moce?

- Mogę ci jeno rzec, panie, kim nie był z pewnością. Nie był człowiekiem.

Dolsilwa zadumał się. Czuł, że historia Joańczyka i ta, którą sam opowiadał, powtarzając opowieść Horonara, są komplementarne, uzupełniają się jakoś, współgrają.

- Pozwól, panie Regrac, że teraz ja podejmę swoją opowieść. Będziemy nasze historie przeplatać, co urozmaici wieczór. Na czym to ja skończyłem... Ach tak. Gąsienice. Lazły na Horonara, jakby był Liściem Obiecanym. On tymczasem kontynuował opowieść o *holonai* Goronarze...

OPOWIEŚĆ DOLSILWY

Niezrażony nadmiarem robactwa, Joańczyk opowiadał dalej. Rozenkrontz słuchał, urzeczony, i zarazem usiłował rozgryźć znaczenie tej opowieści.

- Joania od dawna już nie była wyspą szczęścia pośród oceanu nieprawości i okrucieństwa...

OPOWIEŚĆ JOAŃCZYKA

Joania od dawna nie była już wyspą szczęścia wśród bezmiaru braku szczęścia, *holonai* Goronar wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Przekleństwo dotknęło osadę przed trzydziestu pięciu z górą laty. Wszystko zaczęło się łagodnie; stopniowo w osadzie gasło szczęście. Wyglądało to niczym powolna, ale nieuchronna zmiana klimatu. Niepostrzeżenie środek lata przeobraził się w zaczątki jesiennego trądu, a ludzie jęli domyślać się zimy. Aura szczęśliwości gasła nieustannie; i niemal nikt nie wiedział – dlaczego. Religijność w osadzie wzrosła jeszcze, choć zarazem częściej trafiali się odszczepieńcy, co z Bogiem wiedli wewnętrzne spory, manifestujące się zewnętrzną pogardą dla doskonałości Stworzenia. Sprzeciw jednak też rodzajem jest wiary, bywa, że tym żarliwszej, im potężniejsza niechęć do obiektu kultu. Wszak jeśli się nienawidzi Boga, to nie sposób w Niego nie wierzyć; wiara taka gorętsza bywa od letniej akceptacji. Masowo jęły powstawać miejscowe teodycee – tłumaczące maluczkim nagłą niechęć Pana oraz skąd to całe zło w świecie; przez pewien czas teologów w osadzie więcej było niż rzemieślników. Potem i ten zapał zamarł, ustąpił miejsca skostniałej obyczajowości. Modlitwy nie niosły zadośćuczynienia; starego *holonai* ktoś zabił, jego syn okrył się hańbą, biorąc za żonę niewierną – wszystko zmierzało ku upadkowi.

Wnet objawiły się inne fenomena – w osadzie rodziło się coraz mniej dzieci, znachorzy nie potrafili temu zaradzić. Mogło się zdawać, że skoro tak opada stężenie błogostanu w Joanii, to ludziom łatwiej przyjdzie żyć poza jej granicami – nic jednak błędniejszego nad takie mniemania. Okazało się, że spadek szczęścia w Joanii wprost jest proporcjonalny do przybojów nieszczęścia w innych częściach świata; oczywiście dla Joańczyków jeno. Emigranci rychło wracali z tułaczki; tak ich pech gnał, a zarazem wzrastająca niechęć mieszkańców innych krain. Dawniej w oczy kłuło nieznośne szczęście Joańczyków; teraz obawą napawał ich pech niesłychany – zawsze znajdzie się dobry powód do wstrętu. Dość, że najwytrwalsi z uciekinierów wytrzymywali najwyżej rok poza granicami osady; potem zjawiali się z obłędem w oczach, owrzodzeni, dotknięci usterkami fizycznej lub innej natury. Najczęściej innej. Niektórzy wcale nie wracali, lecz nie z powodu odnalezionego szczęścia, a raczej dotknięci ostatecznością – pech ich wybijał ponad miarę istnienia – ginęli w nędznych zazwyczaj okolicznościach.

Do tych klęsk jeszcze jedna doszła. Owóż poza kręgiem szczęśliwości żyła stara kobieta, Niug, Prawdę Postrzegająca, Nici Żywotów Splatająca. Powiadano, że stara jest jak czas, że widziała początek świata i pewnie ujrzy jego koniec. *Holonai* Goronar nie wierzył tym wieściom, lecz w niewierze swej był odosobniony. Wieszczka rzadko przepowiadała przyszłość, kiedy jednak to już czyniła, odgadywała prawdę za każdym razem. Zdarzyło się przed laty, że ruszyła do jej sadyby delegacja złożona z mieszkańców osady; wyprawa – niedaleka po prawdzie – odbyła się bez wiedzy *holonai*, bo wszyscy wiedzieli, że by jej nie poparł, a może i obłożyłby uczestników jakąś klątwą. Wprawdzie utracił znaczną część mocy i autorytetu, ale Joańczycy słynęli z tego, że dmuchali na sople lodu. Dość, że dotarli, pomimo doskwierającego poczucia braku szczęścia; było to jeszcze w czasach, gdy błogostany w osadzie były wciąż mocno odczuwane. Zrazu Niug nie chciała z nimi gadać, jakby wystawiając na próbę ich determinację, czarna rozpacz bowiem zalewała pokłady ich witalności z każdą jałową chwilą. Wreszcie pozwoliła zadać sobie jedno jedyne pytanie, co też uczynili. Pytanie było oczywiste – dlaczego Joania przestała być krainą w szczęście opływającą? Niug odprawiła stosowne rytuały; poświęcając życie czarnego kota. Powiadali, że za każdą wróżbę żywot postradać musiał jakiś żywy organizm – taka już była surowa ekonomia prekognicji; a może i zarazem jeden z powodów niechęci Niug do wróżb. Co ciekawe, koty garnęły się do niej stadami, a w Joanii trudno było uświadczyć choć jednego. Znawcy tematu prawili o kociej niechęci do infantylności błogostanu.

Odpowiedź zaskoczyła Joańczyków...

Joańczyk wypluł ścierwo jakiegoś owada; bez niechęci, a może i ze współczuciem.

I kiedy wydawało się, że podejmie przerwany tok opowieści, zmilkł nagle, jakby mu się nagle wykluł we wnętrznościach motyl, jakby misja jednej z gąsienic zakończyła się sukcesem; osiągnęła raj, Jelito Obiecane, i tam przeszła przeistoczenie.

- No i? Jaka była odpowiedź?! – krzyknął Rozenkrontz. – Co im Niug rzekła?

Horonar nic nie powiedział, zasnął z otwartymi oczami.

Dolsilwa, którego jedynym naturalnym bogactwem były spore pokłady złośliwości, wprawdzie wciąż rabunkowo eksploatowane, lecz chyba niezmierzone, przerwał opowieść z premedytacją, oczekując żywszych emocji po swym rozmówcy. Przerwanie historii w momencie kulminacyjnym było jednym z chwytów literackich, jakie Dolsilwa stosował w swych licznych utworach – chciał w Regracu wywołać ciekawość, albo choć cień zniecierpliwienia – nic z tego. Tak go to zdumiało, że sam popadł w zniecierpliwienie; kto antraktami wojuje, ten od antraktów ginie, niestety.

Tymczasem kartograf Grimaldi nieoczekiwanie doszedł do siebie i jął się przysłuchiwać opowieściom. Jako, że był właśnie w swym upojeniu na etapie błogiego rozrzewnienia, toczył obficie łzy, które w specyficznym oświetleniu izby (blask wypalonych świec połączony z krwistością wschodzącego słońca, przefiltrowanego dodatkowo przez dziurawe zasłony na oknach – barwy sinej) miały kolor srebrzysty. Wyglądało, jakby srebrem łkał, co nadawało gorzkim żalom wymiar, nadmiernej i niestosownej być może, ale jednak wzniosłości.

- Tyle bólu, tyle cierpienia... – łkał kartograf cesarski. Zaraz jednak doszedł do siebie i

postanowił raczej wino spijać niż łzy. – A czy zastanawiali się panowie kiedy, dlaczego niemal wszystkie znane religie mówią o doskonałości i harmonii świata, podczas gdy uczestnikom rzeczywistości zdaje się, że raczej taplają się w gównie, niż przechadzają po wonnych ogrodach? Dlaczego świadectwo naszych zmysłów pozostaje w takiej sprzeczności z przesłaniem metafizycznym?

- No? – zachęcił go Dolsilwa, zerkając odruchowo na srającego bohatera obrazu Greubla Starszego

- Psia kurwa – jęknął przez sen Seimari.

- Kartograf jeno może kompetentnie odpowiedzieć na tak zadane pytanie. Istotą naszej profesji jest uogólnianie szczegółów, umniejszanie połaci powierzchni, by je zawrzeć na mapie. Wyobrażam sobie, że świat musi wyglądać z ogromnej odległości, albo też wysokości tak właśnie, jak na naszych mapach...

- Co z tego?

- Na mapach świat jest uporządkowany; wygląda harmonijnie. Cóż tam mapy zresztą! Przyjrzyjcie się łąkom. Gdy je widać z dala – są jak zielone kobierce; jednolite, jakby tkane na krosnach. Z bliska – chaos różnorodności. Każdy przedmiot ujrzany z odpowiedniej bliskości, traci swą doskonałość, gładkość, na każdym zobaczysz jakieś szpary, pęknięcia, załamania; stopień doskonałości odwrotnie jest proporcjonalny do odległości...

rys. Paweł Piechnik

- Zgoda, panie Grimaldi, ale do czego waść zmierzasz, bom zgubił wątek, a coś mi mówi, że doszło w twej przemowie wręcz do metafory jakiejś – mówiąc to, Dolsilwa obserwował pająka, który jął rozsnuwać swą sieć w rzadkim zaroście Joańczyka.

- Tak sobie wyobrażam Boga – rzekł Grimaldi ze smutkiem – jak kartograf kartografa. Z boskiej dali świat wygląda jednolicie i wspaniale być może. Gdy zasię przyjdzie na nim żyć, wygląda jak wygląda. Może byłoby lepiej, gdyby Bóg poprzechadzał się trochę po swych włościach...

- Może właśnie teraz się przechadza... – mruknął Joańczyk.

Zamilkli na chwilę, każdy zatopiony w myślach; jeden Seimari wydawał się zatopiony w czym innym niż myśl.

- Panie Regrac – Dolsilwa wciąż wpatrywał się jak urzeczony w pająka. – Czas na pańską opowieść.

Regrac od razu przeszedł do rzeczy.

- Od okrutnej przepowiedni minęło wyznaczonych pięć lat...

OPOWIEŚĆ REGRACA

Od wygłoszenia okrutnej przepowiedni minęło pięć wyznaczonych lat. Nie było to dużo. Początkowo świeżo upieczony ojciec starał się jak mógł, by dziecko było szczęśliwe, o co w Joanii nietrudno. Zarazem sam tracił wewnętrzny spokój, cierpienie wygrywało w nim z powszechnym błogostanem; z czasem jął to cierpienie pielęgnować, dzięki czemu uodpornił się na szczęście. Bo i z czegóż radować się, gdy trzeba uśmiercić własnego syna, choćby i dla szczęścia rzeszy całej? Pokazał synkowi co mógł, nawet wyprawiał się z nim poza okręg szczęścia; a wyprawy te były coraz dłuższe. Jął, o dziwo, delektować się aromatem cierpienia; zrozumiał, że

świat bez bólu i zła byłby niepełny, niedoskonały, kaleki. A może sam siebie oszukiwał jeno?

Syn nie pojmował ojca; lękał się go nawet instynktownie. Wędrówki poza bezpieczny obręb błogostanu sprawiały mu ból, cierpienie nie było żadnym dopełnieniem, lecz przykrością naruszającą bezpieczny obszar jego dzieciństwa. Opierał się jak mógł. Niewiele mógł.

Matka chłopca umarła, gdy miał trzy lata; nikt nie wiedział z jakiego powodu. Umierała jednak z motylą lekkością, uśmiechała się, pełna wewnętrznej ufności w nieśmiertelność. Tak umierało się w Joanii – lekko i jakby z przyjemnością. Niektórzy powiadali, że umierało się od tej przyjemności właśnie. Jej mężowi ta śmiertelna radość wydała się upiorna. Pewnie jeszcze trzy lata temu myślałby o tym inaczej. Cierpienie jest jak załamanie światła w pryzmacie; człek zyskuje nową perspektywę, wszystko widzi inaczej.

Aż nadszedł dzień, w którym musiała wypełnić się Przepowiednia. Ojciec bez słowa zabrał syna; przedtem długo ostrzył nóż ofiarny, lecz tak, by nikt tego nie widział. Nóż powinien być ostry, żeby skrócić czas skracania cierpienia.

Szli długo, na wschód, w kierunku Góry Amarat, porosłej czasem jak mchem. Niegdyś, jeszcze przed odkryciem przez Joańczyków rejonu błogostanu, składano tam w ofierze zwierzęta, by przebłagać sprawiedliwą surowość Pana.

Słońce zachodziło już, gdy dotarli do Góry Amarat. Blask obejmował niezbyt czule wszystko w zasięgu wzroku, góra wyglądała tak, jakby ktoś z wielką pieczołowitością zalał ją krwią, lecz wschodnie jeno stoki. Już na szczycie, ojciec przerwał milczenie i wypowiedział kilka gorzkich słów o charakterze egzystencjalnym.

Jakiś czas temu obudziła go mucha, brzęczenie owada odstręczało sen; przez chwilę pragnął go rozgnieść. Ale powstrzymał się w ostatniej chwili; ten moment wahania, krótki przecie jak mgnienie, i ów nieoczekiwany akt łaski, bynajmniej nie podyktowany żadną dobrocią, lecz raczej kaprysem, odmienił go straszliwie. Zrozumiał, że przedłużenie egzystencji owada nie winno być dla muchy powodem do radości, a raczej do smutku. Kaprys istoty wyższego rzędu może odmienić życie na lepsze lub na gorsze – to nie było pocieszające.

Potem zaś opowiedział synowi historię przepowiedni oraz wizyty tajemnego gościa przed pięciu laty. Chciał, jeden Bóg wie jak bardzo, by chłopiec spróbował ucieczki, a on chyba by go nie gonił. Pragnął odegnać od siebie decyzję o śmierci i życiu. Ale syn nie pojął ojca; był zmęczony, bardzo zmęczony. Nawet, gdy ujrzał ostrze noża, nie pomyślał, że grozi mu śmierć. Dopiero po latach zrozumie znaczenie ojcowskiej opowieści.

Ojciec wzniósł nóż ofiarny, by z mocą zatopić ostrze w krwi niewinnej, by spełnić Ofiarę i dopełnić Przepowiedni. Ale nie mógł. Nie potrafił.

To z jego winy dotknęło Joańczyków przekleństwo. To z jego winy Syn Boga nie narodził się z plemienia Joańczyków. Bezmiar jego winy przepełniłby oceany świata.

O dziwo, czuł i nie czuł się winny. Ten nastrój rozchwiania miał go nie opuścić aż do śmierci. Jakby pozbył się z duszy ciężkiego kamienia odpowiedzialności, bo nie zabił syna, ale zarazem poczucie winy natychmiast wtaczało nowy głaz, bo zawiódł swój lud. I tak bez przerwy.

Szczęście jęło z wolna opuszczać Joanię – obserwował zjawisko z uwagą badacza. Któregoś dnia przekonał sam siebie, że mimo wszystko obdarował Joańczyków, poprzez swe zaniechanie, wiedzą na temat zła i cierpienia, dość gorzką wprawdzie, lecz cenną. Tego samego dnia umarł, zamordowany.

Seimari ocknął się wreszcie ze swym stałym przekleństwem na ustach. Tym razem antrakt zapadł w dobrym momencie, jakby nad opowieścią Regraca czuwał jakiś wytrawny scenarzysta, los na przykład.

- Kto go zamordował? – zapytał Dolsilwa.

Regrac uśmiechnął się jeno, płosząc pająka.

- A teraz ja wam coś opowiem, mili moi kompani od dzbana – rzekł Seimari nieoczekiwanie, a na dodatek nieoczekiwanie trzeźwym głosem. Zdumiał tym wszystkich, łącznie z Grimaldim. Dolsilwie nawet przemknęło przez myśl, że pseudoelf nie spał wcale, a udawał. – Było to... żebym was, panowie, psia kurwa, nie oszukał... jakieś dwadzieścia lat temu... Mój stary przyjaciel, Menioza, co tu kryć, cesarski prokurator, otrzymał dziwne zadanie. Chyba najdziwniejsze w jego karierze...

Wojciech Jerzy Grygorowicz

Jak walczyć z armią Stanów Zjednoczonych?

Tych, którzy spodziewają się kolejnego artykułu o tym, kto jest dobry, a kto zły muszę rozczarować. Zbyt wielu ludzi (w tym i pisarze sf) zaangażowało się już w polityczno-moralne dywagacje, zapominając o jednym. Polityka z moralnością (przynajmniej w praktyce) nie ma nic wspólnego. Zatem nie o tym będę pisał. Tekst ten w założeniu ma być czymś w rodzaju poradnika dla rządu (lub dyktatora) państwa, które ma w perspektywie walkę ze Stanami Zjednoczonymi. Nie zamierzam powtarzać tu też znakomitej noweli Pana Lewandowskiego. Nie czytałeś tego drogi dyktatorze? Radzę przeczytać. Dla Ciebie to lektura obowiązkowa, choć pewne echa „Noteki" zabrzmią i w moim poradniku.

Zaraz na wstępie musisz postawić sobie pytanie. Czy walka przeciw krajowi, który ma silniejszą armię niż cały świat razem wzięty jest w ogóle możliwa, a jeśli tak czy możliwe jest zwycięstwo? Ostatnie konflikty wydają się mówić, że sprawa jest beznadziejna. Ja jednak na oba postawione wyżej pytania odpowiadam twierdząco. Możliwa jest skuteczna walka i możliwe jest zwycięstwo! Zanim jednak drogi dyktatorze rzucisz wyzwanie losowi, spójrz najpierw na Niemcy czy Japonię, a potem porównaj je z Wietnamem i Północną Koreą. Czasami naprawdę niekoniecznie opłaca się wygrywać wojny ze Stanami. Jeśli naprawdę kochasz swój naród, wiedz, że walcząc z tym konkretnym przeciwnikiem zrobisz najlepiej jeśli przegrasz. Kręcisz głową? Dobrze! Cóż sam tego chciałeś...

Zanim zaryczą działa

Dobre przygotowanie to połowa sukcesu. Im więcej czasu będziesz mieć tym lepiej. Perspektywa konfliktu dopiero za dziesięć lat jest bardzo korzystna. Zacznij od żołnierzy. Jeśli nie możesz lub nie chcesz sfanatyzować całego społeczeństwa (jak w przypadku Korei) uczyń fanatykami jego część. Nie musi być duża. Kilkanaście tysięcy zupełnie wystarczy. Najlepiej będzie, jeśli będą to kilkuletnie dzieci. Za dziesięć lat będą pełnowartościowymi żołnierzami. A jeśli zabraknie czasu? Cóż... Hitler i Ceaucescu (a zwłaszcza ten pierwszy) udowodnił, że dzieci mogą być groźnym przeciwnikiem. Hitlerjugend na przedpolach Berlina potrafiło rozwalić ponad tysiąc radzieckich czołgów. Drugi z dyktatorów miał niestety za mało czasu. W momencie, gdy wybuchła rewolucja w Rumunii, najstarsi „obrońcy reżimu" mieli trzynaście lat. Mimo to część z nich zdążyła wejść do akcji.

Gdy budujesz cokolwiek w twoim kraju przyporządkuj to obronności. Nie wiem jak w praktyce sprawdziły by się budowane przy każdym bloku albańskie bunkry, posłużę się zatem innym przykładem. W czasie wojny zimowej w 1940 Rosjanie stracili wiele czołgów na fińskich mostach. Saperzy sprawdzali je dokładnie, lecz nic nie wykryli. Ładunki założono bowiem już podczas budowy. Również broń, jaką kupujesz powinna być obliczona na konkretnego przeciwnika (to znaczy na Stany). Żadnych myśliwców, bo i tak nic nie zdziałają, a jeden kosztuje kilkadziesiąt milionów dolarów. Za taką sumę można kupić kilkaset tysięcy min i nimi całkiem gęsto zaminować dobry szmat twojego kraju. Staraj się też nie kupować nowoczesnego, a więc i drogiego sprzętu, bo jeśli będziesz chciał walczyć z Amerykanami technologią na pewno przegrasz. Jeśli już kupujesz, to najlepiej sprzęt jednorazowy. Działo, które odda jeden strzał Amerykanie namierzą i zniszczą zanim wystrzeli po raz drugi. A do miejsca gdzie stała pojedyncza rakieta mogą sobie strzelać ile chcą. Weź też pod uwagę, że w Iraku największe straty Amerykanom zadała, nie uzbrojona w miarę nowoczesny sprzęt Republikańska Gwardia, lecz walczący często bardzo nietypową bronią fedaini. To przecież właśnie im, a nie irackim czołgom udało się zniszczyć kilka niezwyciężonych „Abramsów".

Zaognia się sytuacja

Perspektywa bliskiego konfliktu pomału zmienia się w pewność. Tu rada może być tylko jedna: nie prowokuj. Wytrącaj przeciwnikowi wszystkie argumenty. Wprawdzie Stany udowodniły już, że mogą robić co chcą, mając opinie reszty świata w przysłowiowej d... Jednak dłuższy konflikt dyplomatyczny z liczącymi się na arenie międzynarodowej krajami nawet Stanom nie jest na rękę. Tu możesz brać przykład z Iraku. Kampanię dyplomatyczną rozegrał prawie idealnie. Rób zatem dokładnie to co Saddam. Na kilka miesięcy przed spodziewanym wybuchem wojny pozawieraj wysokie kontrakty z liczącymi się na arenie międzynarodowej krajami. Pamiętaj, że muszą mieć one trochę na pieńku z USA. Pożądane będą firmy z Rosji, Chin, Francji czy Niemiec, lub z twoich krajów granicznych. Wojny możesz też uniknąć pokazując przeciwnikowi swoją determinację. Pamiętaj, że dzisiejszymi wojnami rządzi ekonomia. Busha juniora uważam wprawdzie za lekkiego przygłupa, ale jestem dość wysokiego zdania o jego doradcach. Jeśli stwierdzą, że wojna się nie opłaci na pewno jej unikniesz i będzie to twoje zwycięstwo. Pamiętaj jednak, że wojny w zasadzie dla Stanów są korzystne. Po pierwsze, napędzają gospodarkę. Nie chodzi tu tylko o sektor produkujący broń i zaopatrzenie dla wojska. Zarobią i pozostałe firmy, na przykład na odbudowie lub choćby tylko dzięki wejściu na niedostępny dotychczas rynek. Po drugie, w praktyce pozwalają przetestować posiadane uzbrojenie. Wreszcie rzecz oczywista, pozwalają na kontrolę nad naturalnymi zasobami pokonanego kraju. Z drugiej strony amerykańskie społeczeństwo jednak bardzo nie lubi, gdy w jakiejś wojnie giną amerykańscy chłopcy. Rząd, który wpakował kraj w konflikt, w którym zginęło kilka tysięcy żołnierzy niechybnie przegra następne wybory. Ranny jest łatwiejszy do przełknięcia, ale i on stanowi obciążenie dla budżetu. Trzeba płacić za jego opiekę medyczną, rehabilitację, a gdy zostanie inwalidą także rentę. Przeciwnik musi wiedzieć, że jesteś w stanie zadać odpowiednio duże straty. Pokazanie, że możesz się bronić dość długo też będzie działać na twą korzyść. Pacyfiści, Zieloni, Antyglobaliści stają się w dzisiejszym świecie dość poważną siłę, z którą muszą liczyć się nawet rządy potężnych państw. Wiedz, że w konflikcie jeden przeciwnik wojny w USA jest więcej wart niż żołnierz twojej armii, a przy przedłużającej się obronie protesty powinny przybrać na sile. Ważne jest jednak by świat o wojnie nie zapomniał. Przygotuj więc media swego kraju, tak aby mimo trwającego konfliktu działały pełną parą. Chętnie i łatwo wydawaj akredytację dziennikarzom, nawet tym z krajów które popierają Stany. Determinację możesz pokazać tez w inny sposób. Niech wróg wie, że w przypadku ataku twój kraj zniszczy wszystko co posiada cennego. Czasami to działa. Na przykład w czasie Drugiej Wojny Światowej, mała Szwajcaria w przypadku ataku Niemiec była gotowa wysadzić tunele pod Alpami i zniszczyć przemysł, który był dumą narodu. Hitler wiedział o tym i nie zaatakował. Gdyby jeszcze przed wybuchem wojny Irakijczycy wysadzili z połowę szybów naftowych, Amerykanie chyba by się zawahali.

Wybucha wojna

Cóż nie udało się... Teraz naprawdę trzeba się będzie starać. Przegrana wojna to na arenie międzynarodowej strata prestiżu. Jeśli jednak wytrzymasz odpowiednio długo w końcu zrezygnują. Przykładem choćby Wietnam, a z nowszej historii akcja USA w Somalii. Teraz niezależnie od ukształtowania geograficznego twojego kraju najlepszym miejscem na obronę będą miasta. Masz dżunglę i niedostępne góry? Tym lepiej. Część sił może mieć bazy właśnie tam. Główny wysiłek obronny należy jednak skoncentrować na miastach. Spowoduje to straty wśród ludności cywilnej, lecz właśnie one będą twoim atutem. Przeciwko nawet najlepszej kryjówce w górach lub dżungli Amerykanie znajdą w swoim arsenale odpowiednią broń. W mieście zapewne nie odważą się jej użyć. Spowodowałaby ona, jak już powiedziałem straty wśród cywilnej ludności, a przecież Stany prowadzą wojnę najczęściej w imię wyzwolenia ludności od tyranii (argument, że zabicie jej jest też formą wyzwolenia zapewne nie trafi do przekonania światowej opinii publicznej). Niewielką część sił przeznacz do walki z kolumnami transportowymi. Niech będą to małe kilkunastoosobowe odziały.

Trudne do wykrycia i zniszczenia. Ujawniające się dopiero na tyłach wroga. Taką taktykę skutecznie zastosowali Czeczeni w walce z Rosjanami. Fakt, w ostatecznym rozrachunku przegrali, ale Rosjanie w przeciwieństwie do Amerykanów walczą w myśl zasady „nas mnoga".

W pierwszej fazie konfliktu Amerykanie zawsze starają się zniszczyć lotnictwo, obronę przeciwlotniczą i centra dowodzenia potem nalotami z powietrza rozmiękczyć odpowiednio obronę naziemną. Tu ważne jest odpowiednie maskowanie. Może być ono bardzo skuteczne nawet przeciwko wrogowi ze znaczną przewagą technologiczną. W czasie wojny o Kosowo po dwóch miesiącach bombardowań armia jugosłowiańska straciła 17 (słownie siedemnaście) czołgów. Amerykanie natomiast bombami za pół miliona dolarów sztuka, rozwalali drewniane makiety pojazdów. Drogie systemy zakłócania też mogą być skuteczne, ale na nic się zdadzą, gdy Amerykanie użyją pocisków niszczących elektronikę. Twoje lotnictwo, jeśli je posiadasz, niech na tym etapie działań nie bierze udziału w walce. A obrona przeciwlotnicza też niech siedzi cicho. Po pewnym czasie nieprzyjaciel może poczuć się zbyt pewnie, a wtedy... Jeśli chcesz by działały stacje radarowe musisz pamiętać, aby co kilka minut je wyłączać. Wtedy jest szansa, że nie zostaną zniszczone przez wrogie pociski (sprawdziło się w Jugosławii, kiedy to rakiety antyradarowe zaczęły trafiać w cywilne obiekty i to w Bułgarii). Lepszy będzie jednak system oparty na obserwatorach, ze zwykłymi lornetkami (praktycznie nie do wykrycia i zniszczenia) z jakimś prostym nie podlegającym zakłócaniu środkiem komunikacji. Centra dowodzenia narażane są na zniszczenie już w pierwszych godzinach wojny. Niech więc mniejsze jednostki maja jak największą autonomię. Będą wtedy zdolne do działania nawet w przypadku braku dowództwa. Koordynujące punkty trzeba umieszczać nie w bunkrach, a w zwykłych cywilnych budynkach. Łączność z oddziałami mogą też zapewnić gońcy, gołębie pocztowe, tresowane psy itd. W obrębie broniącego się miasta powinno to zadziałać. Zresztą na tym i na późniejszych etapach wojny każdy niekonwencjonalny pomysł będzie dodatkowym atutem. Jak dowiodły ostatnie wojny najbardziej skuteczne są rzeczy nieskomplikowane technicznie. Jako środka ostatecznego możesz użyć też magii. Fakt, że może ona obrócić się przeciwko temu, kto ją użył, lecz jeśli w twym kraju są czarownicy lub szamani nie wahaj się. Prawdzie podobno ten środek działa tylko na tego, kto w niego wierzy. Ale niech twoja telewizja puści w świat obraz szamanów z twego kraju rzucających klątwę na Busha i jego armię. Zaszkodzić nie zaszkodzi, a pomóc może, bo są rzeczy na tym świecie, o których nie śniło się ani filozofom, ani naukowcom, ani generałom, ani tym bardziej politykom.

Rusza ofensywa lądowa

Wojny nie wygrywa się lotnictwem, a ofensywa powietrzna drogo kosztuje. Nawet jeśli twoja armia nie zestrzeli ani jednego samolotu, koszty będą znaczne. Paliwo, rakiety, pociski manewrujące (koszt jednego to jedna trzecia ceny samolotu). Jest też duże prawdopodobieństwo, że Amerykanie sami zestrzelą parę swoich samolotów (jak wykazała ostatnia wojna w Iraku system rozpoznawania swój – obcy czasami zawodzi). Presja ze strony innych przychylnych ci krajów i organizacji antywojennych powinna spowodować, że politycy będą chcieli postawić oponentów przed faktem dokonanym i zakończyć wojnę jak najszybciej. Mogą to zrobić tylko w jeden sposób. Rozpoczynając ofensywę lądową. Prawdziwa walka, jak wspomniałem, zacznie się dopiero, gdy przeciwnik dojdzie do twoich miast, ale nim to nastąpi trzeba do nich dojechać, a potem dostarczyć pierwszorzutowym siłom zaopatrzenie. Takie konwoje to wymarzony cel ataku dla twoich ruchomych oddziałów. Jedyni jeńcy, jakich wzięli do niewoli Irakijczycy w czasie ostatniej wojny, to przecież piloci zestrzelonych helikopterów i właśnie żołnierze oddziałów kwatermistrzowskich. Twoi działający na tyłach żołnierze walczyć będą u siebie. Mogą korzystać ze zgromadzonych w tajnych skrytkach zapasów i (jeśli twoja dyktatura nie była zbyt uciążliwa) z pomocy ludności cywilnej. Atak na samo miasto też będzie dla przeciwnika wyjątkowo trudny. Jak wspomniałem miasto zbudowałeś specjalnie z myślą o obronie. Odpowiednie wielokondygnacyjne pod-

ziemia, domy zbudowane tak, aby każdy można było w odpowiedniej chwili wysadzić, miny pułapki itd.. Wszystko to będzie stanowić wyzwanie nawet dla najlepiej wyszkolonej i uzbrojonej armii.

Przegrałeś – nie wszystko stracone

Teraz dużo zależeć będzie od tego, jak przywita najeźdźców twój naród. Lecz nawet jeśli przywitają ich kwiatami, po krótkim czasie może się to zmienić. Ludzie mają naprawdę krótką pamięć. Uszkodzona lub zniszczona infrastruktura miast wymagać będzie czasochłonnych napraw i inwestycji. Jednak za brak wody, gazu, pracy (bo zakłady przemysłowe zostały zniszczone) ludzie będą obwiniać władze okupacyjne, a nie ciebie. Dobrym pomysłem jest też to, co zrobił Saddam podczas ostatniej wojny. Przed wejściem sojuszników do Bagdadu powypuszczał z więzień większość kryminalistów. Jeśli Amerykanom nie uda się w krótkim czasie poprawić sytuacji, będzie narastać społeczny opór. Opór rodzi reakcję sił okupacyjnych, ta pogłębia opór. Dalej, tak jak w Iraku ginąć będą Amerykanie. Z czasem władze Stanów stwierdzą, że się nie opłaca i wycofają swe odziały. Oczywiście zostawią przychylny sobie rząd, ale on będzie już łatwy do obalenia. Jeśli udało ci się przeżyć i ukryć będziesz miał duże szanse powrotu do władzy.

Wreszcie na koniec powtórzę radę z początku tekstu. Amerykanie to taki głupi naród, który ma w zwyczaju pomagać pokonanym przez siebie krajom. Czy nie prościej za przykładem Japonii skorzystać z tej pomocy? Zbudować solidną gospodarkę, a po kilkudziesięciu latach powetować sobie przegraną wojnę gospodarczym zwycięstwem?

Wojciech Jerzy Grygorowicz

Moria (gr. *moría* ‘głupota, szaleństwo’) *med., psych.* stan euforyczny połączony z beztroską i obsesyjnym opowiadaniem żartów, występujący przy org. uszkodzeniu mózgu, zwłaszcza jego płatów czołowych. (www.encyklopedia.onet.pl)

RECENZJA

Wojciech Szyda

PATRONAT PIEKIELNY

Powieść Grzegorza Gortata „Patron” warta jest polecenia z co najmniej trzech względów. Po pierwsze, mamy do czynienia z elegancko napisanym kryminałem metafizycznym, w którym wartka i przykuwająca uwagę fabuła została wzbogacona erudycyjnymi smaczkami z zakresu historii literatury. Po drugie, osadzenie powieści w polskich realiach nie jest jedynie populistyczną zagrywką autora, lecz ma głębsze uzasadnienie. Celne zobrazowanie, jako tła społecznego, środowiska rodzimych pisarzy, krytyków i literaturoznawców silnie zakorzenia fabułę w naszym polskim „tu i teraz”, przez co świat przedstawiony wydaje się nam bliższy. Po trzecie w końcu: otrzymujemy solidną porcję niegłupich refleksji na temat przenikania się życia i sztuki oraz zmagań dobra i zła w obu tych dziedzinach. „Patron” to dobrze wyważony kawałek prozy rozpiętej między literaturą popularną a ambitnym moralitetem opowiadającym o pokuszeniu współczesnego Fausta – młodego pisarza Juliana Rotasa.

„Faust PL 2003” – tak można najkrócej scharakteryzować tę postać. Bohater Gortata nie jest w polskiej fantastyce figurą nową – zdolny pisarz (i jednocześnie życiowy nieudacznik), kuszony przez diabła perspektywą wydania książki występował przecież w nieco już zapomnianym opowiadaniu Inglota „Sanctus Kobylarius, magister”. Szatan był tam również wszechmocnym literackim agentem (tyle, że penetrującym – czasami i dosłownie – środowisko studenckie). Za cenę podpisania cyrografu mógł zapewnić pisarzowi sukces – wyrywając go z literackiego niebytu. U Gortata Lucyfer jest powściągliwym biznesmenem, *abitrem elegantiarum* naszych czasów, swobodnie kreującym trendy i nazwiska w sztuce i literaturze – twórca, który zawrze z

nim układ, ma zapewnione uznanie, sławę i pochlebne recenzje w prasie. Oczywiście, dopóki nie postanowi zerwać współpracy – i pójść własną drogą. Wtedy boleśnie odczuje, „kto tu naprawdę rządzi", co Gortat odmalowuje na przykładzie pewnego słynnego w Polsce i USA plastyka.

Patronują „Patronowi" co najmniej dwaj autorzy, u których Gortat jest mocno zadłużony: Bułhakow („Mistrz i Małgorzata") oraz Perez Reverte („Klub Dumas"). I tak, postać pomocnika Lucyfera, czarny pies gadający ludzkim głosem, zwany Monsieur, to aluzja do kocura Behemota z kart „Mistrza i Małgorzaty". Z kolei wpływ mocy piekielnych na rozwój literackich talentów to nawiązanie do podobnego pomysłu z „Klubu Dumas" – tam również pojawia się przypuszczenie, że autor „Hrabiego Monte Christo" zawdzięczał poczytność i płodność twórczą tajemnym konszachtom z diabłem. Te parantele są jednak uprawnione i nie robią książce krzywdy. Gortat dorzuca swoje barwne trzy grosze do motywu faustowskiego, budując – na bazie kilku wcześniejszych książek – własne piętro w historii literatury, przynajmniej rodzimej. Wyjściowym źródłem inspiracji jest oczywiście postać Fausta, słynnego alchemika i szarlatana, wyniesionego na literackie wyżyny przez dwóch odległych sobie dramaturgów: Ch. Marlowe'a i J.W. Goethego. Obie tragedie pojawiają się zresztą w „Patronie", a główny rywal Szekspira jest wręcz drugim bohaterem książki. Gortat prowadzi równolegle dwa wątki: współczesny i historyczny, które świetnie ze sobą korespondują, przenikając się na poziomie przesłania i charakterystyki postaci. Zaletą książki jest kaskadowa kreacja bohaterów – elżbietański dramaturg i poeta Christopher Marlowe to alter ego Juliana Rotasa, początkującego pisarza, który czyni Marlowe'a centralną postacią swej powieści. Z kolei sam Marlowe, autor *Tragicznych dziejów doktora Fausta*, utożsamia się z własnym bohaterem wodzonym przez diabła na pokuszenie. To jednak nie koniec, jest jeszcze jeden poziom: fragmenty prozy Rotasa, jego debiutanckiej powieści *Christofer*, zostały wplecione w fabułę jako swoista retrospektywa motywu pokuszenia i zarazem „książka w książce". Konstrukcyjnie wyszło to powieści na dobre – dodatkowy poziom fabularny stał się dodatkową warstwą świata przedstawionego.

„Patron" oddycha płucami „Fausta", „Mistrza i Małgorzaty", „Klubu Dumas" – jednak przetwarza te wpływy w sposób twórczy i interesujący. W rezultacie otrzymaliśmy powieść nieco wtórną, lecz łamiącą podział na literaturę „wysoką" i popularną. Wartka narracja i sensacyjna chwilami fabuła zostały okraszone szlachetnymi dodatkami: ciekawą kompozycją, odwołaniami do literatury angielskiej (wszak Gortat to anglista – tłumacz), i refleksją nad mechanizmami sławy w dzisiejszym, medialnym świecie. I tutaj zawarł Gortat pewną prowokację – udowadnia bowiem, że windowanie i strącanie twórców z Parnasu, w tym honorowanie ich nagrodami, odbywa się w sposób zatrważający: albo przez środowiskowe układy albo przez piekielny patronat Lucyfera. Talent ma więc znaczenie drugorzędne. Który z tych mechanizmów działa obecnie w polskiej fantastyce? Chyba pierwszy, bo diabeł z powieści Gortata przynajmniej stawia na jakość dzieł, którym patronuje.

Wojciech Szyda

Patron, Grzegorz Gortat, wyd. Rebis 2003.

rys. Radq

Krótki przewodnik filmowy, czyli TPE Fan, Garret oraz M. polecają i odradzają

Aniołki Charliego 2 (Charlie's Angels: Full Throttle)

wyprodukowano: USA 2003.
scenariusz: John August, Cormac Wibberley, Marianne Wibberley
reżyseria: McG
obsada: Cameron Diaz, Drew Barrymore, Lucy Liu, Bernie Mac oraz Demi Moore
muzyka: różni wykonawcy

TPE Fan: Gdyby istniał kicz tak wielki, że byłby sztuką, to właśnie byłyby to nowe Aniołki Charliego. Chociaż na widok tego tytułu (podobnie jak w przypadku pierwszej części) odwracają się ze wstrętem wszyscy porządni kinomani, ludziom o otwartych umysłach polecam obejrzenie filmu w wolnej chwili. Poza znakomitą obsadą, pojechaną akcją i genialną muzyką, AC2 oferują cały stek bezpretensjonalnych, sentymentalnych nawiązań do szeroko rozumianej klasyki popkultury. Komu nie zakręci się łezka w oku podczas sceny ze śpiewaniem „Livin' On a Prayer", ten nie jest godzien nazywać się pokoleniem lat '80. Totalnie przyziemne odmóżdżenie? Tak, ale zrobione ze znawstwem i klasą dla wymagającego widza.

Garret: Zdeptany i zjechany niesłusznie przez krytykę film spełniający w 100 % oczekiwania mu stawiane. Niezła akcja, czaderska muzyka i tyłeczek prawie w każdym ujęciu. Odrzucając szybko logikę i zdrowy rozsądek można mieć dużo zabawy podczas seansu wyłapując nawiązania do popkultury, fajne ujęcia czy dialogi. No i „Livin' On a Prayer" na zachętę.

Czas Apokalipsy: Powrót (Apocalypse Now: Redux)

wyprodukowano: USA 1979/2001
scenariusz: John Milius i Francis Ford Coppola
reżyseria: Francis Ford Coppola
obsada: Larry Fishburne oraz Marlon Brando, Martin Sheen i Harrison Ford jako Col. G. Lucas
muzyka: Ryszard Wagner, The Doors i inni.

TPE Fan:: Po dwóch latach polski dystrybutor był uprzejmy zrobić nam łaskę i wprowadzić wreszcie do kin nową wersję „Czasu Apokalipsy". Wersję, która na pewno nie jest ani lepsza, ani gorsza – jest równie doskonała jak oryginał. Zasadnicza różnica, jaką dają nowo dodane to filmu sceny, to przesunięcie środka ciężkości z przedstawienia konfliktu człowieka z cywilizacją na mniej abstrakcyjne rozważania o oddziaływaniu wojny na osobowość tegoż czło-

wieka. Oczywiście oba te wątki były zawsze obecne w CA, tutaj jednak są zaprezentowane w nieco innej kolejności i proporcjach – co czyniłoby może nową wersję bardziej aktualną w czasach jej pierwotnej premiery.

Garret: Jeden z najważniejszych filmów o wojnie w nowej odsłonie. Dodane sceny nie zmieniają jego przesłania, uwypuklają tylko jeszcze bardziej szaleństwo oraz obłęd Wietnamu. Dyskusja, które nowe sceny są bardziej lub mniej potrzebne, chyba jest bez sensu, film nadal jest doskonały i na swój sposób przerażający opętaniem wojną.

Obcy: Ósmy Pasażer Nostromo: Wersja Reżyserska (Alien: Director's Cut)

wyprodukowano: Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytani/USA 1979/2003
scenariusz: Dan O'Bannon
reżyseria: Ridley Scott
obsada: Bolaji Badejo jako Obcy
muzyka: Jerry Goldsmith

TPE Fan:: Kolejna wersja reżyserska klasycznego filmu. Krótko mówiąc, ktoś, kto nie widział Aliena w ciągu ostatniego roku raczej nie zauważy różnic. Trochę dłużyzn wycięto, trochę innych dodano – poza jedną nową sceną nic ważnego się nie zmieniło. Nie wiem co przyświecało reżyserowi przy tworzeniu tej wersji, ale wiem, że miło znowu zobaczyć ten film w kinie.

DAGON

wyprodukowano: Hiszpania 2001.
scenariusz: Dennis Paoli (na podstawie opowiadań H.P. Lovercrafta „Widmo nad Innsmouth" i „Dagon"
reżyseria: Stuart Gordon
obsada: różni Hiszpanie
muzyka: Carles Cases

M: Dagon to chyba pierwsza naprawdę udana filmowa adaptacja HPL. Nie zaszkodziły mu takie zabiegi jak przeniesienie akcji do współczesnej Hiszpanii i szereg zmian wobec oryginału. Mimo że jest to film europejski, zbudowano go na amerykańskich schematach, ale poza kilkoma wyskokami w stronę gore, nie psuje to dobrego wrażenia.

TPE Fan: Mimo kinowych modyfikacji film zadziwiająco wiernie trzyma się fabuły opowiadania (wbrew tytułowi jest to bardziej ekranizacja „Widma nad Innsmouth"), pozostając nadal dobrym filmowym horrorem. Widać, że twórca dobrze czuł klimat prozy Mistrza, co przejawia się we wszystkim – od scenografii, poprzez postacie, nazwy i nazwiska, aż po nastrojową muzykę. Film jest dowodem na to, że da się dobrze sfilmować twórczość HPL.

Garret: Bardzo dobra ekranizacja prozy HPL, niski budżet i nieznani aktorzy nie zaszkodzili filmowi, wręcz przeciwnie można się skupić na klimacie i opowieści niż na efektach. Dobry horror, choć mało dynamiczny (jak to opowiadania HPL), a na końcu już groteskowo straszny. Dla fanów HPL pozycja obowiązkowa, dla miłośników horrorów kolejna tym razem tania produkcja o „zombi" czy „mutantach"

Ludzie Iksy 2 (X-Men 2 aka X2 aka X-Men Zjednoczeni)

wyprodukowano: USA 2003
scenariusz: Michael Dougherty
reżyseria: Bryan Singer
obsada: Hugh Jackman, ostatnia laska 007, przed- przedostatnia laska 007, Gandalf i Komandor Picard
muzyka: John Ottman

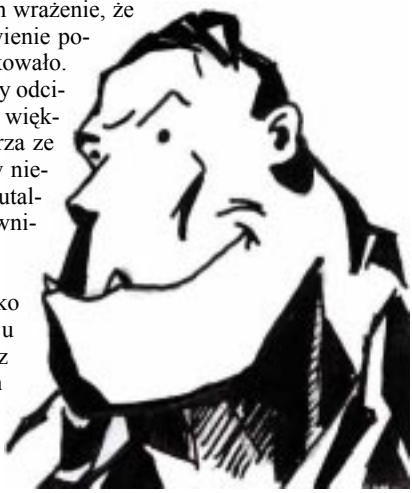

X-Man 3000 rys. Paweł Piechnik

M: Oglądając pierwszą część X-Menów, miałem wrażenie, że to pilot jakiegoś serialu. Trochę przygód, przedstawienie postaci i wspólna akcja na finał, fajne, ale czegoś brakowało.

X2 to już w pełni wartościowy, super przygodowy odcinek. I to taki lepszy odcinek, jak te na koniec sezonu: większy budżet, lepsze efekty, nowi wrogowie, przymierza ze starymi wrogami, przyjaźń, miłość i zdrada, zordów niestety brak. Obeszło się bez nachalnego omijania brutalności z części pierwszej, a przecież prawdziwi wojownicy nie będą walczyli tylko na pięści i torty.

TPE Fan:: Aż dziw bierze jak płynnie i elegancko udało się twórcom przejść od kameralnego nastroju X1 do spektakularnego widowiska X2, nie czyniąc z niego zarazem efekciarskiej choinki. Jako zażarty fan pierwszej części, stałem się jeszcze większym fanem części drugiej, dostając te same zalety w większych ilościach: świetne postacie, nastrojowo i emocjonująco poprowadzoną fabułę, doskonale zrobione sceny akcji. Jeśli ktoś twierdzi, że filmy na podstawie komiksów są infantylne, powinien obejrzeć X2 i przestać bluźnić.

Garret: Nie chciałbym, aby nakręcono kolejną, trzecią część przygód X-Menów, bo wątpię czy zrobią coś lepszego niż X-Men 2. Nie pamiętam, aby w jakiejś ekranizacji komiksu bohaterowie byli tak prawdziwi, prawie z krwi i kości, a nie ogranymi już papierowymi kalkami z komiksowych obrazków. Walka o przetrwanie, miłość i morał, a wszystko to w fantastycznym świecie X-menów.

Liga Niezwykłych Dżentelmenów (The League of Extraordinary Gentlemen aka LXG)

wyprodukowano: USA 2003
scenariusz: James Robinson na podstawie komiksu Alana Moorea i Kevina O'Neilla
reżyseria: szkoda gadać...
obsada: Sean Connery i Sartaj Garewal jako Rocket Room Crewman
muzyka: Trevor Jones

Garret: Liga Niezwykłych Dżentelmenów to nieudana ekranizacja komiksu Allana Moora. Od samego początku rażą słabiutkie dialogi, przeciętne efekty oraz przede wszystkim naiwność scenariusza. Teoretycznie łatwo zarzucić obrazowi opartemu na komiksie prostotę czy banalność, ale filmy takie jak Batman, Spider-Man czy X-Men 2 przełamały ten schemat. W LXG (The League of Extraordinary Gentlemen) spotykamy Allana Quatermaina, Niewidzialnego

Człowieka, Kapitana Nemo i resztę niesamowitej bandy, ale co z tego, skoro brakuje dobrego wprowadzenia tych postaci, interakcji między nimi, błyskotliwych dialogów czy one-linerów, postaciom brakuje motywacji do działania, skazy, przeszłości. Fabułę filmu oparto na zasadzie „kryzys...rany trzeba zebrać kultową ekę... bohaterowie czas działać... wasz cel to zły Fantom...bleble". Również Fantom jako zły charakter rozczarowuje, brak charyzmy, siły, złej aury. I jeszcze Sean Connery - jak on do cholery dał się namówić by w LXG zagrać... Podobno zrezygnował z roli w Matrixie czy LOTRze na rzecz innego ambitnego projektu, wolne żarty, chyba nie chodzi o LXG! W filmie jedynie broni się scenografia, jest świetna, ale to za mało aby film uratować.

M: Pomysł zebrania w jednej fabule ekipy składającej się z najsłynniejszych bohaterów XIX wiecznej literatury fantastyczno przygodowej wydaje się genialny. Jednak widza może razić ich niezbyt zgodne z literackimi oryginałami zachowanie. Dlaczego? Odpowiedź smutna i prosta. Producenci zażyczyli sobie gównianej bajeczki (z oznaczeniem PG) zamiast ostrego pastiszu, jakim jest komiksowy oryginał. Tam Alan Quatermain to pijak i ćpun. Niewidzialny Człowiek wykorzystuje niewidzialność do tego, o czym pomyślałby każdy niewidzialny facet. Mina Harker zdradziła męża z wampirem. Kapitan Nemo to sfrustrowany wyznawca Kali. A w filmiku same cieniasy bez motywacji, Tomek Sawyer dodany dla amerykańskiej widowni (Angole + Hindus by im nie wystarczyli?). Efekt: słaby film w stylu Tomb Raider adresowany w tym samym stopniu do młodego i starszego widza, czyli do nikogo. Błe.

TPE Fan: Niestety najlepsze motywy z komiksu pojawiają się tylko wybiórczo. Mimo napchania filmu po brzegi cyfrowymi efektami zabrakło chyba woli, by pokazać w nim całkowicie alternatywny świat z komiksu. Intryga to typowa hollywodzka sztampa, po niezłych postaciach pozostały tylko nazwiska. Odnoszę wrażenie, że scenariusz pisał ktoś, kto albo nie czytał oryginału, albo nie zrozumiał jego klimatu – kilka znakomitych dizajnów niestety tego nie zatuszuje. Film, który powinien wyglądać jak Vidocq albo chociaż Piramida Strachu, został poddany nowoczesnym cool zabiegom filmowym w wyniku czego powstała porażająca banałem bezkształtna masa.

Piraci z Karaibów: Klątwa Czarnej Perły
(Pirates of the Caribbean: The Curse of the Black Pearl)

wyprodukowano: USA 2003
scenariusz: Ted Elliott
reżyseria: Gore Verbinski
obsada: Johny Deep i inni w tle
muzyka: Klaus Badelt

Garret: 100 % dobrego kina przygodowego, 100 % zabawy i 100 % Johna Deppa. Chyba tylko wytrawna maruda wychowana na moralnym niepokoju znajdzie w filmie jakieś wady. Pościgi, pojedynki, bitwy morskie, paskudni lub szlachetni piraci, piękna córka gubernatora wszystko to cieszy oczy. Trochę to cukierkowe, kolorowe i krzykliwe, ale to jednak Disney, czyli także gwarancja jasnego i szczęśliwego zakończenia. Piraci nie byliby tak dobrym filmem gdyby nie Johny Depp, wspaniała rola kapitana Jacka Sparrowa przyćmiewa wygibasy Orlando Blooma i wdzięki Keiry Knightley.

M: Jaki jest najlepszy film na świecie?

Odpowiedź jest jasna: „Trzej Muszkieterowie: Diamenty Królowej" (ten z Michaelem Yorkiem).

Jaki to gatunek?

Odpowiedź: Kostiumowa komedia przygodowa.

Co Hollywood zrobiło z tym gatunkiem?

Odpowiedź: Zapomniało.

Aż tu nagle wytwórnia Disneya zapowiada film zrealizowany na podstawie jednej z atrakcji Disneylandu (niezły ewenement). Spodziewać by się można jakiejś bajki dla dzieci, ale jest zupełnie inaczej. Jest szybko, widowiskowo, zabawnie, niegłupio, w porywach genialnie, czasem strasznie, dobre walki, widowiskowe morskie potyczki, genialny Depp (szkoda, że był za mały, by grać w Muszkieterach). Disneyowskiego infantylizmu na szczęście brak (poza naiwnym zakończeniem), bohaterom nie pomaga mała śpiewająca foczka, jest za to zła małpka.

Film na miarę geniuszu Muszkieterów to nie jest. Ale może przynajmniej zapowiada odrodzenie gatunku w bardzo dobrym stylu.

TPE Fan:: Poszedłem na kolejny popcornowy filmik sezonu letniego, wyszedłem wzruszony świetnym widowiskiem przygodowym – w starym stylu, a jednak nowoczesnym. Znakomite postaci, znakomite dialogi, znakomite aktorstwo, efekty i rozmach – wszystko tylko w minimalnym stopniu doprawione disneyowskim kinem familijnym. Jeden z nielicznych gigantów filmowych, o których można powiedzieć, że twórcy faktycznie włożyli w pracę swoje serce, a nie odwalali jako kolejną robotę. Johnny Depp oczywiście odpowiada za 90% pozytywnych wrażeń z filmu, jednak wszystkie inne elementy są na swoim miejscu. Tak jak parę lat temu odrodził się gatunek filmów wojennych, może teraz odrodzą się wielkie filmy przygodowe, czego sobie i Czytelnikom życzę.

Tożsamość (Identity)

wyprodukowano: USA 2002
scenariusz: Michael Cooney
reżyseria: James Mangold
obsada: Panie i Panowie
muzyka: Alan Silvestri

Garret: Zaskakujący i nie reklamowany głośno film, bardzo dobry film. Wciągająca mieszanka thrillera, horroru i sensacji. Miejscem akcji jest obskurny motel, w tle paskudna deszczowa pogoda, a bohaterami dziesiątka przypadkowych osób, uwięziona przez ulewę w tymże przybytku. Po kwadransie filmu główny bohater znajduje głowę w pralce, potem jest jeszcze ciekawiej. Akcja się komplikuje coraz bardziej, a po godzinie reżyser nadal niewiele zdradza, tylko jakby żywych bohaterów trochę mniej. Bardzo polecam Identity, zakręcona, mroczna opowieść, na pewno oryginalna i zaskakująca.

TPE Fan: W tym filmie reżyser bawi się widzem, który do samego końca nie wie właściwie co ogląda – zagadkę kryminalną, thriller o psychopacie, horror czy może SF. Co ciekawe, film funkcjonuje bardzo dobrze jako każdy z tych gatunków i ich amatorzy znajdą coś miłego dla siebie. Widz jest zaskakiwany na każdym kroku – zarówno fabułą jak i konwencją, a każdy zwrot akcji przysparza nowych pytań, na które staramy się odpowiedzieć wraz z bohaterami. Zdecydowanie jeden z ciekawszych „mniejszych" filmów tego roku.

Członek redakcji podczas wpatrywania się w ekran monitora, rys. Paweł Piechnik

RECENZJA FILMOWA

Watson

The films that should not be

16 sierpnia 1999, godziny przedpołudniowe, Poznań. Wraz z liczną grupą ludzi czekam przed kinem Apollo. Jak pozostali, w dłoni trzymam najnowszy numer "Nowej Fantastyki", a w nim darmową wejściówkę na film – "Matrix". Jak za pewne wszyscy pamiętają, wtedy entuzjastyczne recenzje kinowych nowości nie trafiały się w wymienionym piśmie zbyt często. Miałem prawo spodziewać się czegoś nadzwyczajnego. I nie zawiodłem się. Za sprawą tego seansu mój kontakt z rzeczywistością na kilka godzin został poważnie nadwerężony. Film zrobił na mnie ogromne wrażenie. Co tu dużo pisać, w owych czasach uznawałem nawet dwukrotne obejrzenie jakiegoś filmu w kinie za niezdrowy objaw nadmiaru gotówki i czasu. Na "Matrixa" wybrałem się jeszcze dwukrotnie, w ciągu następnych dziesięciu dni.

Nikt chyba nie kwestionuje wkładu, jaki obraz braci W. wniósł do kina fantastycznego. Nowatorskie podejście, łączące walory estetyczno-rozrywkowe z mniej lub bardziej subtelnymi nawiązaniami do filozofii i religii wprawiło w zakłopotanie krytyków i rzuciło widzów na kolana. Co ciekawe film przypadł do gustu nie tylko fanom fantastyki, ale i tak zwanej szerokiej publiczności, jednak masy odebrały go nieco inaczej. Nie zamierzam się rozpisywać na temat treści ukrywających się w tym filmie. Nie zamierzam też doszukiwać się i wytykać błędów i dziur logicznych, których było niemało. Robiono to już wielokrotnie, wiele tekstów pisanych było przez osoby znacznie lepiej znające się na temacie. Proponuję się zastanowić nad inną kwestią – co sprawiło, że kolejne części prezentują się nieciekawie?

"Matrix: Reaktywacja" i "Rewolucje" były jednymi z najbardziej oczekiwanych filmów tego roku. Na długo przed ich wejściem na ekrany wiadomo było, że staną się przebojami kasowymi. Taki film nie mógł się nie sprzedać. Uruchomiono jedną z największych kampanii reklamowych w dziejach kina. Każdego dnia w prasie, radiu i telewizji natrafiało się na reklamówki samego filmu jak i też przeróżnych produktów w których, w celach promocyjnych, umieszczano kojarzące się z Matrixem motywy. Kampania ta, bardzo zresztą nachalna i irytująca odniosła oczekiwany skutek. Podczas premier obu części, jak i w następnych dniach kina nie mogły narzekać na brak widzów. Za sprawą wspomnianego marketingu wzrosły też oczekiwania widzów. A tu niespodzianka – zaserwowano im dwa dość przeciętne filmy akcji nafaszerowane – momentami niezbyt olśniewającymi – efektami specjalnymi. I nic ponadto. Fabuła nieprzyzwoicie prosta, głębi w tym tyle, co w brazylijskim serialu, a i przyjemność z oglądania żadna. Owszem, nieliczne przebłyski zdarzały się, jednak tylko w części drugiej, bo w Rewolucjach ich nie dostrzegłem. Ale tak musiało być.

Główny błąd Wachowskich polegał na tym, że po sukcesie kasowym części pierwszej zachowali się niczym George Lucas po sukcesie „Nowej Nadziei" – obwieścili wszem i wobec, iż od początku planowali realizację całej sagi. Że było to dalekie od prawdy każdy mógł się przekonać w kinie. Sequele "Matrixa" po prostu nie mają racji bytu (o "Animatrixie" wypowiadać się nie zamierzam ze względu na moją powszechnie znaną niechęć do wszelkich form rysunkowych). W jaki sposób można rozsądnie kontynuować film, na końcu którego główny bohater staje się praktycznie wszechmocny? Jedynym logicznym rozwiązaniem było by szybkie uśmiercenie Neo. W „realu" oczywiście, bo w wirtualnym świecie nie byłoby to możliwe. Zamiast tego zastosowano kilka beznadziejnych chwytów fabularnych mających na celu skomplikowanie mu życia i wyeliminowanie go z biegu wydarzeń. Rozmnożono Smitha, obdarzając go przy okazji nadludzką mocą (o ile ten termin można odnieść do AI), umieszczano Neo w zbyt dużej odległości od głównego miejsca akcji (ale na tyle blisko, by w ostatniej chwili mógł

przyjść z odsieczą) albo obarczano go zadaniami, którym tylko on sam mógł sprostać. Takie podejście ma jednak swoje uzasadnienie. Masy pragnące ujrzeć jeszcze raz Keanu Reevesa w akcji raczej niechętnie udałyby się na film, w którym ich bohater umiera – i to na początku. Widz zachodni, amerykański zwłaszcza nie lubi uśmiercania pozytywnych postaci. Może gdyby kolejne części "Matrixa" nakręcono w Hongkongu takie rozwiązanie wchodziłoby w grę.

W Hollywood nie kręci się filmów dla idei tylko dla pieniędzy. Wachowscy postawili na pewną kasę. Jeżeli obiecać widzom, że zobaczą to, co wcześniej zrobiło na nich największe wrażenie – można mieć pewność, że do pójdą do kin. Czy film będzie się podobał – inna sprawa. Marginalna, na dobrą sprawę. Publika pokochała agenta Smitha – dostała go, w niejednym egzemplarzu nawet. Dostała walki, pościgi, efekty komputerowe, nowatorski montaż. Pojedynki co prawda bez polotu, montaż szybko się opatrzył a efekty – nie codziennie dochodzi do przełomu technologicznego, ale skoro nie można popisać się nową jakością, zawsze można postawić na ilość. Ludzie otrzymali to, na co czekali. Powinni być zadowoleni. Ale śmiem podejrzewać, że nie są. Nie spotkałem się z ani jedną pochlebną recenzją "Reaktywacji" ani tym bardziej "Rewolucji", poza materiałami propagandowymi kin oczywiście. Co więcej – zasłyszane przeze mnie pozytywne opinie można policzyć na palcach. Filmy te spełniły jednak swoją podstawową rolę – tysiącom ludzi dostarczyły niemałych pieniędzy. I obecnie ludzi tych nie obchodzi, czy ich dzieło można uznać za coś wartościowego czy nie. Prawdę mówiąc – rozumiem ich doskonale.

Watson

Matrix: Rewolucje, reż. Wachowscy, USA 2003.

W trakcie składania trzynastego numeru „Innych planet" redakcja wzmacniała swoje zwoje mózgowe arcydziełem kinematografii amerykańskiej – „Głupi i głupszy (Dumb & Dumber)- w której unieśmiertelnił się Jim Carrey. Uwaga film od lat 12!

RECENZJA MUZYCZNA

Krzysztof Głuch

Niewidzialna Wojna toczy się dalej

Armia - „Pocałunek Mongolskiego Księcia"

W październiku zespół Armia zaatakował z nowym materiałem studyjnym. Warto o nim napisać w „Innych Planetach" choćby ze względu na przybywające wciąż elementa bajkowo-fantastyczne, jakie się pojawiają w twórczości tego zespołu[1].

Na płycie przyozdobionej na nowo starym dobrym logiem zespołu, znalazło się 10 barwnych utworów, o czym tutaj napiszemy.

0. This is the end, I'm going, I'm leaving, now, goodbye - Płyta rozpoczyna się od pożegnania, jakie wypowiedział Bilbo w czasie swojego przyjęcia urodzinowego. Czy oznacza to początek niebezpiecznej wyprawy, czy może afirmację znikania za pomocą magicznych pierścieni, a może po prostu figel, którym wszak był wyczyn Bilba.

1. Zjawy i ludzie - Szybka chwytliwa piosenka i jedna z najlepszych na tej płycie. Przeplatają się w niej dwa tempa - „disco" i punk. Chwytliwa melodia, prosty ale głęboki tekst, no i rewelacyjny teledysk - wszystko to składniki na idealny przebój. I jeżeli piosenka nie stanie się przebojem, świadczyć to będzie o małości polskiego przemysłu muzycznego.

Bardzo ciekawy riff Popcorna i prowadzenie go w trakcie zwrotki. A w refrenie śpiewak woła o pomoc słowami Froda z Wichrowego Czubu: „O Elbereth! O Gilthoniel!"

To, co w płycie zadziwia - zjednoczenie obrazu z dźwiękiem. W „Pocałunku mongolskiego księcia" bardzo wyeksponowany jest obraz (głównie za sprawą teledysku, który jest pożywką dla wkładki). W Armii wizualizacja zawsze była ważna (w świetny sposób pod tym względem prezentowała się „Droga"), ale teraz jest wyjątkowo wyeksponowana i może nawet bez strony graficznej nie można tak dobrze odebrać muzyki.

Należy się cieszyć, że Budzyński zgadał się z Szymonem Felklem, bowiem Felkel to

nie jest jakiś grafik, to jest artysta i w ten sposób mamy dzieło dwóch artystów, z których każdy mówi coś od siebie i jest to szalenie chwytliwa sprawa.

2. W kamień zaklęci - „skawerowana" baśń M. Dutkiewicza. Budzyński już od dawna nie jest neofitą, to starofita jak się patrzy, i ta płyta w dosłownej warstwie jest świecka. Ale głębia tekstu jest chrześcijańska, jak się domyślam. I tutaj możemy się dowiedzieć, że „kto przykłada rękę do pługa, ten nie ogląda się za siebie".

3. Pocałunek mongolskiego księcia - też dość przebojowe, ale w starym stylu, tzn. w stylu „Drogi". Teksty Budzyńskiego, jakie są - każdy widzi. Często wygląda to jak stek przypadkowych zdań wyrwanych z pamięci, ale i tak jest to niebo w porównaniu do genialnej frazy: „połóż pistolet na stół", „komu ja ładna, komu nie" „czasami lubię jak ktoś mnie obserwuje", „tramwaje jak komety" albo „baśka miała coštam", którą nam serwują promowane w radiu zespoły. Choć być może to nie jest pocieszenie.

4. Horror Budzuli - Bardzo ciekawe muzycznie, zaskakujące, zwłaszcza refren. „Żartobliwy" tekst może drażnić, nie przypaść do gustu. Opisane zostało akcentowane przez św. Pawła rozerwanie człowieka na dobrze chcącego i źle czyniącego (Rz, 7, 18-23)

Zwróćcie uwagę, ze w niektórych momentach tej płyty słychać, że Waltornia Banana zmieniła swoją rolę i zamiast być monumentalnym wsparciem dla gitary, staje się jakimś autonomicznym instrumentem, który prowadzi swoje czasem dość radosne zabawy. Taką rolę ma waltornia w Kulcie i ostatnia płyta Armii czasami mi bardzo przypomina Kult. Np. pod koniec tej piosenki (3 minuta). Również odwołanie się do tzw. „próbek" czy też sampli też upodabnia „Pocałunek Mongolskiego Księcia" do „Salonu Recreativo". Być może Banan się wyżywa w Armii, bo już dawno nie nagrywał nic z Kultem?

5. Sodoma i Gomora - świetna czadowa piosenka opowiadająca o zniszczeniu Sodomy i Gomory i bardzo bym chciał ją usłyszeć na koncercie. Po prostu miodzio!!! I tutaj dotykamy fenomenu zespołu Armia. W zespole tym od początku istnienia przewijali się fascynaci Reggae. Wszak grali w nim Darek Malejonek (lider zespołu Maleo Reggae Rockers, co mówi samo za siebie) oraz Robert Brylewski (udzielający się w zespole Izrael, co również samo za siebie krzyczy). Sam zaś lider Armi prywatnie nie kryje swojej fascynacji tą muzyką. A pomimo tego Armia nagrała tylko jedną piosenkę w stylu z Jamajki (Exodus). Jak to się stało, że tylko jedna piosenka? Trudno to pojąć, ale niektórzy cieszą się, że również i w tym kawałku piosenka totalnie reggaeowa została z elementów reggae wyzuta zupełnie.

Dla wielu może wydać się zagadkowym tekst tej piosenki. Podaję go z 80% dokładością:

O, night in Babylon
O, light in Sodom and Gomorrah
It's total destruction
It's total destruction
Woooou! Up to you!....
Brimstone firerain, death in Sodom and Gomorrah
Brimstone firerain, death in Sodom and Gomorrah
Sodom and Gomorrah

6. Nostalgia - w piosence trochę irytuje falująca zaśpiewka T. Budzyńskiego, ale pojawia się fascynujący riff, który został po Grymuzie (współtwórca płyty „Triodante"), solówka również świetnie pomyślana. Cóż ten Grymużnik jeszcze po sobie zostawił?

7. Utopia - smętna piosenka w Dickowskim stylu potępiająca utopie i cywilizacyjne przypadłości (brutalność widowisk telewizyjnych, nietcheanizm, konsumpcyjny styl życia, zagłada nuklearana). No i gdzieś w tekście przewija się Gombrowicz.

8. Ukryta miłość - Niezła rzecz. No naprawdę niezła. Piorunujące zestawienie głosików dzieci z Arki Noego, prymitywnego motywu w stylu „I love you baybe" Alexi, granego z mocą i siłą, oraz tekstu o miłości (ukrytej).

9. Sen nocy letniej Tekst może trochę drażni dosłownością (niektórym trudno dogodzić). Jest to całkiem mądre przeciwstawienie życia i miłości, egzystencjalizmowi. Dobra porada duchowa, ale niewiele ma ona wspólnego z poezją bajkową, którą szczyci się pisać Budzyński.

10. Śmierć w Wenecji, miłość w Warszawie. Dziwna uduchowiona muzyka zamykająca płytę.

Zespół przyłożył się i w każdym numerze widać, że nad nim mocno pracował, czego nie

było na przykład widać na Duchu, gdzie piosenek było co niemiara, ale bardzo prostych, trochę prymitywnych, niedopracowanych i nieróżnorodnych.

Pewnie z arcydziełem nie mamy do czynienia, ale jest do Dzieło artystów tworzących, a nie odtwarzających, którzy wciąż zaskakują, mają energię i „ciśnienie". Po okresie „neofickim", który różne typki wymawiali Budzyńskiemu, a którego ja wcale nie mam nikomu za złe, nadszedł czas na drążenie, poszukiwanie sztuki opisującej przeżycia duchowe na sposób mniej dosłowny. I może się jeszcze doczekamy nawet arcydzieła. Słucham i kibicuję dalej.

Krzysztof Głuch

Pocałunek mongolskiego księcia, Armia, Pomaton EMI 2003.

[1] Nie ma również, co ukrywać, że związki płyty z fantastyką polegają między innymi na fakcie, iż artyści pozdrawiają na swojej płycie również „Klub SF Druga Era" (wraz z jego Sekcją Metalową). Dziękujemy i pozdrawiamy, życząc sił do dawania czadu.

Rozjuszony meloman na koncercie „Armii", rys. Paweł Piechnik

RECENZJA NIEFANTASTYCZNA

Wojciech Szyda

Rozbawieni na śmierć

Przez wiele lat słuchałem znakomitej płyty Rogera Watersa „Amused to Death", nie wiedząc o głównej inspiracji eks-lidera Pink Floyd. Wychwyciłem kilka wyraźnych odwołań, m.in. do fantastyki (np. do filmowej „Odysei kosmicznej"), jednak samą koncepcję albumu zrozumiałem w pełni dopiero po lekturze książki Neila Postmana (autora słynnego „Technopolu"), zatytułowanej „Zabawić się na śmierć" (1985), a wydanej w Polsce dopiero w 2002 r. Angielski tytuł brzmi prawie identycznie, jak tytuł rockowego dzieła Watersa: „Amusing Overselves to Death". Zresztą głównie przez to książka zwróciła moją uwagę – tytuł brzmiał tak znajomo... Po lekturze moje podejrzenia tylko się potwierdziły: Waters musiał zainspirować się książką Postmana, analogii jest zbyt wiele, by była to przypadkowa zbieżność.

Przypomnijmy, że na okładce płyty siedzi małpa wpatrująca się w ekran telewizora, na którym widnieje wielkie oko. Motyw przewodni płyty to wpływ telewizji na współczesnego człowieka: tak w wymiarze jednostkowym, jak i globalnym. Dokładnie to samo znajdujemy w książce Neila Postmana – przy czym cały wywód jest zbudowany w odniesieniu do poglądów słynnego Marshala McLuhana: autora sformułowania „globalna wioska", piewcy zasady że „środek przekazu staje się przekazem" oraz propagatora tezy o przejściu ludzkości w XX wieku z „galaktyki Guttenberga" (kultura druku) do „galaktyki Marconiego" (pseudokultura kina, radia i TV). Postman z jednej strony traktuje McLuhana jak swego mentora, z drugiej miejscami wyraźnie z nim

polemizuje – co daje książce dość ciekawy nerw intelektualny. Buduje też swój traktat w oparciu o przedstawienie dwojakiego rodzaju zagrożeń dla tradycyjnych wartości kultury – zagrożeń odmiennych, lecz równie niebezpiecznych. Ich symbolami są dwie głośne książki XX wieku: „Rok 1984" Orwella (klasyczny totalitaryzm zamordystyczny, monstrualna propaganda polityczna, inwigilacja posunięta do ostatecznych granic) oraz „Nowy Wspaniały Świat" Huxleya (otumanianie mas ludzkich rozrywką). Oddaję głos autorowi: *„Duch kultury może zanikać na dwa sposoby. W przypadku pierwszego – Orwellowskiego – kultura staje się więzieniem. W drugim – Huxleyowskim – kultura przekształca się w burleskę. (...) Aldous Huxley uczy nas, że w epoce zaawansowanej technologii duchowego spustoszenia możemy się spodziewać bardziej ze strony wroga o uśmiechniętej twarzy aniżeli z fizjonomią emanującą podejrzliwością i nienawiścią. W przepowiedni Huxleya Wielki Brat nie śledzi nas, kiedy mu się podoba. To my go obserwujemy z własnego wyboru."* Pomyśleć, że słowa te zostały napisane 15 lat przed wykluciem się programów w rodzaju popularnego „Big Brothera" (i innych tego typu spektakli, z jednej strony odbijających żenujący poziom współczesnej widowni telewizyjnej, a z drugiej współkreujących ów stan intelektualnego i obyczajowego upadku...).

Tak to się więc odbywa. Książka próbuje opisywać, nazywać i klasyfikować przemiany społeczne oraz zagrożenia spowodowane przemodelowaniem społeczeństwa współczesnego przez telewizję. Obecnie, w dobie Internetu, może się to wydawać nieco anachroniczne, lecz zapewniam, że większość spostrzeżeń Postmana wciąż zasługuje na uwagę. Zapowiada on zresztą w pewien sposób wzrastającą komputeryzację, pisze o Epoce Informacji, stara się tłumaczyć czytelnikowi, dlaczego zmiany technologii przesyłu danych nie ograniczają się li tylko do sfery czysto technicznej, lecz mają zawsze doniosłe implikacje o charakterze społecznym, a nawet duchowym. Zresztą, pomimo eksplozji komputerowo-Internetowej, jaka miała miejsce w czasie, który upłynął od opublikowania przez Postmana jego książki, tradycyjna telewizja wciąż trzyma się mocno, a ludzie nadal spędzają dziennie po kilka godzin przed odbiornikami. Zwłaszcza w Polsce, gdzie dostęp do sieci nie jest tak powszechny, jak dostęp do telewizora, który pozostaje głównym narkotykiem Polaków. Po pierwsze: narkotykiem rozrywkowym (mamy tu wręcz skrajny ludyzm – *vide* programy w rodzaju „Śpiewających fortepianów", różne „Pikniki Dwójki" i inny tego typu szajs). Po drugie: narkotykiem propagandowym (wiadomo, jaką opcję polityczną ma dział publicystyczny TVP...). Celowo nie wspominam o licznych telewizjach komercyjnych, współwinnych grzechu odmóżdżania widowni, bo skoro „misyjna" telewizja publiczna spisuje się tak dobrze na tym polu, to nie trzeba sięgać do innych mediów... Przykuci do telewizorów abonamentem (niczym niewidzialnym łańcuchem), ledwie wiążący koniec z końcem polscy telewidzowie, mający w nosie tzw. wysoką kulturę, zdają się trafną ilustracją do tego fragmentu książki, w którym Postman pisze: *„Niepotrzebni są strażnicy, zbędne są wrota i Ministerstwo Prawdy. W sytuacji, gdy ludzkość jest oszałamiana przez banał, kiedy życie kulturalne zostanie zdefiniowane na nowo jako nieustające pasmo rozrywki, kiedy publiczna rozmowa upodabnia się do niemowlęcego gaworzenia, kiedy wreszcie społeczeństwo staje się widownią, a jego interes publiczny wodewilowym spektaklem – narodowi zagraża niebezpieczeństwo; a możliwość śmierci kultury staje się nieuchronna."*

A zatem: niech żyje Rozrywka, główna idea przełomu wieków. Jak śpiewa Roger Waters: *„This species has amused itself to death"...*

Wojciech Szyda

Zabawić się na śmierć, Neil Postaman, przeł. Lech Niedzielski, Muza 2002.

Granice głupoty

Ziemia ma granice, a głupota ludzka jest bezgraniczna

G. Flaubert

Dwie rzeczy są nieskończone - Wszechświat i głupota ludzka. Co do tej pierwszej istnieją jeszcze wątpliwości.

Albert Einstein

Maciej Witkowiak

Krótki poradnik dla autora fantasy

Jako, że nie lubię pisać czczej gadaniny, szanowny czytelniku[1], otrzymujesz spod mego pióra (choć właściwie klawiatury) kolejny krótki poradnik.

Poradnik ten powstawał jak się możesz domyśleć długie lata i w założeniu miał być mądry i natchniony. Jednak w związku z tym, że załoga IP wylądowała na kolejnej „innej planecie" nazwanej ogólnie Planetą Głupców - myślę, że niżej zamieszczone porady idealnie wpisuje się w treść tego numeru. W końcu trzeba być głupcem by udzielać rad komukolwiek, zwłaszcza autorom dzieł fantasy, i to w oparciu o tak „niemądre" źródła jakie będą tu przytoczone. Twórcy sami zresztą najlepiej wiedzą jak i co pisać, by stworzyć arcydzieło i zapewne tekst ten wzbudzi u nich co najwyżej pogardliwe wzruszenie ramion. Zwłaszcza, że pisze to ktoś, kto autorem fantasy nie jest. Taki Feliks W. Kres to i owszem może tu i ówdzie rad udzielić, ale za przeproszeniem Maciej Witkowiak??

Jeżeli spodziewasz się więc autorze fantasy kolejnego „dekalogu" zasad jakie musisz spełnić by twój utwór zyskał na wartości literackiej[2], to na pierwszy rzut oka niewiele tu znajdziesz. Chciałbym bowiem naprowadzić cię na dopracowanie innych, niż ogólnie wałkowanych, aspektów własnej twórczości.

Skoro przebrnąłeś przez być może mało zachęcający wstęp, to do dalszej lektury niech zachęcą cię dwa argumenty by tracić w tym miejscu IP czas[3]:

1) Planeta numeru 13 wskazuje kokieteryjnie, że bełkoczący głupcy w różnych wydaniach czasem lepiej widzą prawdę od patentowych mędrców,

2) skierowana jest w twe oczy lufa starej broni piszących jakiekolwiek poradniki - słynne zdanie pt.: „...znak sam nie musi iść drogą, którą wskazuje".

Jeżeli więc potraktujesz to wszystko jako znak, który naprowadzi cię na jakąś wskazówkę, dzięki której stworzysz później dzieło godne wydania w „Science Fiction", otrzymania nagrody Zajdla na Polconie w Poznaniu w 2005 roku a może kiedyś Nebuli (nie mówiąc o Hugo), to cel tego pisania zostanie osiągnięty[4].

Bezpośrednią zachętą do brnięcia w niniejsze rozważania, była długo rodząca się we mnie myśl, która jak mam nadzieję, znajdzie tu odpowiedź.

Najkrócej sprowadza się ona do dwóch pytań:

„Dlaczego J.R.R. Tolkienowi wyszło dzieło na miarę literatury światowej, które porywa coraz to nowe pokolenia czytelników, jest obiektywnie rzecz biorąc wielkie, nie dające się zapomnieć i wciąż fascynujące od nowa?

Dlaczego jego kontynuatorom wychodzą tylko 'dzieła na miarę Tolkiena'[5], które po przeczytaniu, zostawiają mniej lub bardziej miłe uczucia, ulatniające się jednak szybciej niż czas potrzebny na lekturę owego utworu?"

Przyznam szczerze. Śródziemie Tolkiena nie daje mi spokoju od dawna. Jest moim odnośnikiem i probierzem, papierkiem lakmusowym dla wszelkiej produkcji fantasy. Wszystko zaczęło się 14 lat temu, gdy niebacznie sięgnąłem po „Wyprawę" w szarej okładce wydaną przez Czytelnika w 1981, w tłumaczeniu M. Skibniewskiej. Potem sięgałem po wiele innych książek fantasy w najkolorowszych okładkach i z żalem odkładałem je na półkę nie czując nawet najdrobniejszego powiewu „czegoś" na miarę wiatrów wiejących w Śródziemiu.

---

[1] Czytelniku/Czytelniczko -używam rodzaju męskiego z przyzwyczajenia ale seksista ze mnie żaden: proszę brać sobie do serca te uwagi, bo w równym stopniu skierowane są do obu płci.

[2] Ujmowanie w punktach zasad „jak pisać" jest ulubionym sposobem doradzania autorów poradników.

[3] A niech tam, też będę miał swoje 2 punkty.

[4] Wspomnij gdzieś też o tym drobnym udziale tego tekstu przy tworzeniu dzieła, by ucieszyć próżność autora.

[5] Podstawowy tekst na każdej szanującej się sadze fantasy: „największe dzieło od czasów Tolkiena!".

To naprowadziło mnie na trop, że Śródziemie ma w sobie coś więcej niż tylko sprawnie wymyślony książkowy świat, coś niezwykle istotnego, czego brakuje innym - na pozór podobnym- światom fantasy.

Nim udzielę odpowiedzi na pytanie „co tam siedzi niezwykłego" i co to ma wspólnego z tworzeniem współczesnej fantasy, trzeba zacząć od nakreślenia pewnego problemu jaki napotyka się przy pisaniu w tej konwencji.

Powszechność sięgania do tematyki „magii i miecza", zwłaszcza przez młodych adeptów pióra (przepraszam: dziś klawiatury), jest łatwe do zaobserwowania[6] i wytłumaczenia. Obróbka właśnie tego pola literatury, zdaje się najbardziej odpowiednia dla młodego autora. Wyruszając wyobraźnią w nieistniejące krainy, w swej twórczości literackiej autor ma niby ułatwione zadanie. Nie musi przecież dysponować specjalistyczną wiedzą, bo nikt go z biologii, fizyki, chemii czy astronomii świata fantasy rozliczyć nie może. Panuje tu wszak nieokiełznana *licentia poetica* pod skrzydłami miłościwie panującej, zawsze tajemniczej i niezbadanej do końca magii. Wystarczy pomysł, odpowiednie dobranie znanych komponentów (najkrócej ujmując: magii i miecza), trochę talentu we władaniu słowem pisanym i...opowiadanie gotowe.

Co innego autor SF.

Ten, żeby stworzyć wiarygodną opowieść, musi na każdym kroku użerać się z naukami ścisłymi, by nie popełnić jakiegoś rażącego naukowego lapsusu. Konsekwencja bowiem błędu merytorycznego (ot jak choćby rozpisanie się nad malowniczymi wybuchami statków w kosmosie a'la Star Wars) cieszy później oko różnej maści krytykantów, gotowych wyliczyć nieszczęsnemu autorowi jego ignorancję w danej dziedzinie wiedzy.

To wszystko sprawia, że obserwuje się pewnego rodzaju poczucie wyższości autora SF nad swoim kolegą od fantasy[7]. Wynika to (w przekonaniu autora SF) z racji przewagi odrobionych lekcji z nauk ścisłych nad „dzikim" bajaniem po „never- neverlandzie", które swobodnie można odstawić nawet bez ukończenia szkoły średniej.

Tymczasem sytuacja jest wręcz odwrotna. To autor fantasy staje przed stokroć trudniejszym zadaniem, niż autor SF mający kota Schrödingera i inne paradoksy wyćwiczone w paluszku.

Sami piszący fantasy w większości nie są świadomi wagi tego, na co się porywają, wielu z nich ponosi później przez to sromotne klęski - ku pomocy tym ostatnim powstał ów poradnik.

Dla zobrazowania problemu posłużę się pewnym przykładem.

Załóżmy, że mamy młodego adepta pisania fantasy. Ma chęć, czas i pewien talent do snucia opowieści. Radzi sobie jako tako z rodzimym językiem. Wymyślił ciekawych i pełnokrwistych bohaterów, zaskakującą intrygę, niespotykaną wcześniej dziwną rasę, niespodziewane zwroty akcji itp. itd. Wszystko sobie wcześniej dokładnie zaplanował, wyrysował „gdzie najpierw pójdą" a „gdzie ich zamkną w lochach", jednym słowem ma mapę swego tajemniczego i ekscytującego świata.

Siada, przelewa na papier swoją historię. Wysyła później na konkurs jeden i drugi[8], do gazety tej i owej...Nie chcą go drukować. ale może gdzieś mu się poszczęści i opowiadanie przejdzie niezauważenie, gdzieś w środku numeru. Ktoś zupełnie niezwiązany z autorem, czyta je i stwierdza, że może nawet tekst jest ok. Ale...nic to jakoś nie wnosi, nic co porusza, kolejne czytadło...

Dlaczego tak się dzieje?

By odpowiedzieć na to pytanie, należy wrócić do *alma mater* wszelkich współczesnych dzieł fantasy, czyli „Władcy Pierścieni" JRR Tolkiena.

Dlaczego niewątpliwie dobry „opowiadacz" jakim był Tolkien[9], mimo, że obiektywnie wielkim geniuszem pióra nie był, nie stworzył jakieś oszałamiającej fabuły czy jędrnych dialogów ani świata jakoś specjalnie wspaniałego - mimo tego dalej króluje niekwestiono-

---

[6] Wystarczy rozpisać konkurs na opowiadanie fantastyczne.

[7] Czego skrajnym przypadkiem jest pewien autor miłujący rozważania przy piątym piwie.

[8] Np. na konkurs organizowany przez KF Druga Era

[9] Proszę udowodnić, czy popierdywał przy tym we fotel red. Szyda!!

wanie w gatunku fantasy i jak wszystko na to wskazuje, będzie królował do jego końca, przetrwa jego niechybny upadek, zajmując miejsce w panteonie dziedzictwa światowej literatury? Czy tylko dlatego, że był pierwszy?

Wszak tylu po nim zażarcie walczyło z różnoraką formą i treścią by pokazać coś nowego, wspanialszego, atrakcyjniejszego, gdy tymczasem ich zmagania kończyły się mniejszą bądź większą porażką.

Odpowiedź na to pytanie przyszła z najmniej spodziewanego źródła, choć pośrednio wskazał ją sam JRR Tolkien swoją drogą do powstania Śródziemia.

Zaraz, zaraz - ktoś wcześniej zapyta. Używasz „poradzaczu" wciąż pojęcia fantasy - a jaka jest jego definicja? Słusznie - odpowiem, określenie tego co to jest fantasy jest fundamentalne dla dalszych wniosków. Pamiętając, że jest to stały punkt dyskusji na wielu konwentach, na potrzeby niniejszych rozważań przyjmuję więc, że fantasy, to opowieść dziejąca się w innym niż znane nam uniwersum.

Oczywiście znaleźć świat totalnie oderwany od naszego (nie w odległościach kosmicznych jak w SF a w całej koncepcji ontologicznej) jest bardzo trudno, bo autorzy fantasy co rusz mieszają światy dzięki takim wynalazkom jak magiczne portale, przenikania się

rys. Radq

światów itp. Tym nie mniej przygody dziejące się w „czystym" wszechświecie fantasy, przynajmniej podświadomie zakładają istnienie jakiegoś świata mającego własną, odrębną historię stworzenia, inną kosmologię od tej, jaką my znamy z naszego poletka.

Na pierwszy rzut oka nie ma z tym problemu. Wszak mimo różnych udziwnień pewne standardy myślenia i poruszania się po świecie fantasy naturalnie przychodzą z naszego. Są dziwne rasy, dwadzieścia trzy smoki krążą nad głowami bohaterów ale są też obok tego kwiaty i chmurki, pola i lasy, które jakie są...każdy widzi.

W tym jednak właśnie tkwi podstawowy błąd większości autorów fantasy.

Chcąc bowiem napisać opowieść, która podobnie jak dzieło Tolkiena wyjdzie poza papierowe opowieści, należy stworzyć od podstaw najpierw własne, odrębne uniwersum, własną krainę, która oczywiście jest w jakimś stopniu odzwierciedleniem naszego świata, jednak w swych korzeniach trochę się od niego różniąca. Do tego nie wystarczą najbardziej dopracowane środki warsztatowe jakimi dysponuje przytoczony wyżej teoretyczny „młody - zdolny" pisarz fantasy. Żeby w tym wszystkim „siedziało coś więcej", żeby było „życie", akcja opowieści musi się toczyć na gruncie stokroć bardziej uzasadnionego wszechświata niż tylko narysowanego na mapie. Korzystanie z kwiatków, chmurek, pól i lasów, wymaga stworzenia ich jakby na nowo. Świat ten musi powstać wcześniej niż sama opowieść jaka się w nim będzie rozgrywać, musi żyć jakby własnym życiem. Świat ten musi mieć swoją własną pieśń stworzenia.

Jak jednak to zrobić?

Jak stworzyć cały wszechświat jakby na nowo?

Najkrótszy instruktaż jak stworzyć własny wszechświat zawarty jest w poniższych słowach:

„Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga i Bogiem było Słowo.

Ono było na początku u Boga.

Wszystko przez Nie się stało, a bez Niego nic się nie stało, z tego co się stało.

W Nim było życie... "[10].

Tak święty Jan, rozpoczyna w swej Ewangelii opowieść o dziejach Zbawiciela - właśnie od opisu stworzenia świata, od sposobu kreacji, dzięki której powstała otaczająca nas rzeczywistości. Występuje w tym opisie Słowo mające moc Stwórczą. Oczywiście miłośnicy „Wielkiego Wybuchu" i innych teorii naukowych już zapewne wytaczają działa, ale chciałbym, by na poczet tych rozważań przyjęli to założenie.

Nasz świat powstaje więc ze Słowa Stworzenia wypowiedzianego przez Boga, który równocześnie JEST tym Słowem. My śmiertelnicy właściwie niczego o Nim tak naprawdę nie wiemy a doniosłości tego wydarzenia nigdy do końca nie zrozumiemy.

Będąc jednak stworzonymi na obraz i podobieństwo Boga[11], możemy pokusić się o pewne założenia, że w każdym człowieku jest też jakaś cząstka możliwości pójścia drogą kreacji właśnie przez Słowo, w którym jest „życie".

Wielu ludzi próbuje iść tą drogą tworzenia, zajmę się tylko pisarzami. Udane wędrówki na tym szlaku zaliczamy do światowej klasyki literatury. Na naszym fantastycznym poletku, niewątpliwie udało się to JRR Tolkienowi. Jego wielkość w porównaniu z innymi wielkimi autorami głównego nurtu potęguje fakt, że jako pierwszy poszedł drogą kreacji kompletnie odrębnego wszechświata.

Poszedł nią, zwyciężył, ale też, co najważniejsze wrócił, dzięki wierze w Słowo największej opowieści wszechczasów. Jego świat, świat Śródziemia, zostaje stworzony przez Słowo, choć w odpowiednio mniejszej skali, jaką może dysponować człowiek. Świat Tolkiena zbudowany jest bowiem tak naprawdę nie z wyobraźni autora, jego bohaterów czy zakreślonych tam intryg i namiętności.

Świat ten opiera swój byt o własną pieśń stworzenia, w nazwaniu tych samych rzeczy i spraw znanych nam na tym świecie (kwiatki i chmurki) w nowym i własnym języku, tworząc je dzięki temu jakby od nowa...

Biografia Tolkiena, którą przybliżają coraz to nowe pojawiające się wydawnictwa,

[10] Ewangelia św. Jana 1,1- Biblia Tysiąclecia, Poznań 2000.

[11] O czym mowa w Księdze Rodzaju 1,26.

pokazuje jego zamiłowanie do działania na żywym słowie, do tworzenia własnych języków od najmłodszych lat życia. Każdy z nas zapewne przeszedł etap, gdy nazywał pewne rzecz „po własnemu" ciesząc tym otoczenie, określając np. chleb „beb" a mleko „ejko".

Tolkien ów dziecięcy kreacjonizm rozwinął w sobie, dzięki wybitnym zdolnościom lingwistycznym, tworząc od dziecka własne języki, jak i łatwo opanowując obce.

Fascynowały go zwłaszcza języki wymarłe (gocki), jak i spoza powszechnego obiegu (fiński, walijski, islandzki) ludności mieszkającej na północy Europy. Tłumy badaczy twórczości Profesora, w językach, które stworzył (zwłaszcza językach elfów) dopatrują się koktajli owych „północnych" języków, podpartych własnym talentem Tolkiena.

Inspiracje jednak nie są najważniejsze. Ważny jest fakt, że gdzieś około końca pierwszej wojny światowej (a więc na 20 lat przed ukazaniem się „Hobbita") ostatecznie ukształtował się nowy język, posiadający własną gramatykę, pisownię, wymowę, stanowiący spójny system logiczny, pozwalający na opanowanie go przez osoby z zewnątrz - język elfów Wysokiego Rodu - quenia i język im bliski, elfów Szarych - sindarin.

Dopiero, gdy te języki zaistniały (choć głęboko ukryte w głowie ich autora, wciąż jak każdy żywy język nieustannie ewoluując), z nich zaczęły wyłaniać się stopniowo miejsca, bohaterowie, pierwsze opowieści. W tym języku nadał Tolkien nowe nazwy kwiatkom i chmurkom, polom i lasom - mówiąc inaczej: język ów stanowił podstawę ontologiczną tego świata.

Znowu muszę sięgnąć do Biblii. W Księdze Rodzaju, opisane jest jak pierwszy człowiek Adam (jeszcze wtedy sam, bez Ewy) w ogrodzie Edenu nadaje nazwy wszystkim stworzeniom - korzysta więc z „obrazu i podobieństwa" tkwiącego w nim Słowa Stworzenia.

Pisarz działający również na słowie, nie może oczywiście powtórzyć nawet w ułamku promila doniosłości tamtego wydarzenia. Jednak „talent literacki" to nic innego jak mocniejsze niż u innych śmiertelników występowanie echa zdolności dysponowania tym Słowem.

Oczywiście nie trzeba tworzyć nowego języka, by napisać ważne dzieło. Możliwość wariantów pracy nad Słowem Stworzenia jest dostępna na miarę samego Stwórcy - pokazuje to zresztą historia światowej literatury. Rozważam jednak nasze fantastyczne poletko i tylko na nim się dalej skupię.

Na początku Śródziemia było więc rzeczywiste Słowo, prawdziwie stworzone od nowa a nie tylko ustylizowane na prawdę. Nowy język stworzony przez Tolkiena, w którym silnie przebrzmiewa owo prawdziwe Słowo Stworzenia, nadało temu światu jakiś stopień realności, odciskający się wielu czytelnikom głęboko w sercach.

Rzecz jasna nie chodzi tu o jakąś schizofrenię, bo tego świata realnie nie ma: istnieje tylko na papierze. Jednak ten papierowy świat poprzez ów proces kreacyjny będący w jakimś stopniu odbiciem prawdziwego procesu stwórczego, otrzymał dzięki temu jakiś posmak rzeczywistości. To sprawiło, że zanurzając się w nim, nie brniemy w pusty eskapizm, ucieczkę od rzeczywistości, jaką zarzucają fantastyce jej przeciwnicy, a wręcz odwrotnie: wchodzimy właśnie w obraz naszej rzeczywistości, odkrywamy ją na nowo, widzimy ją w innych barwach. Nie dość tego, mamy możliwość spojrzenia - niczym przez okno - na inny świat, który na co dzień jest dla nas niewidzialny, a do którego podświadomie tęsknimy „łaknąc i pragnąc sprawiedliwości"[12].

Tymczasem większość światów fantasy takiej ontologicznej podstawy nie posiada. Ich twórcy z założenia przyjmują, że w ich wymyślonym świecie są po prostu kwiatki i chmurki bez jakiś szczególnych uzasadnień. Niektórzy z nich czasem stylizują nawet jakąś „pieśń stworzenia" swego świata, ale pieśń ta nie jest tworzona w nowym języku, nie ma kreacyjnego charakteru, jest tylko papierowym zabiegiem bez pokrycia.

Oczywiście sprawa nie wygląda tak prosto. Zdarzają się mniej lub bardziej udane stylizacje gdzie są przebłyski pieśni stworzenia (o czym niżej), lecz jak na razie każdej z nich

[12] Więcej na ten temat polecam poczytać w dziełach W. Solowiowa (np. "Ogólny sens sztuki" Wybór pism Tom III Poznań 1988) i M. Bierdiajewa ("Sens twórczości" Kęty 2002).

rys. Radq

brakuje tego fundamentalnego elementu prawdziwości.

W końcu w tych rozważaniach chodzi o próbę dotarcia do świata na miarę Śródziemia, a nie o poprawne napisanie opowieści. Uważam, że bez podstawy ontologicznej wszechświata, bez pójścia drogą kreacji Słowem Stworzenia, tworzy się tylko dzieła „na miarę Tolkiena". Siły stwórcze zawarte w Śródziemiu zdają się mocne, gdy się tam jest (czytając) ale są one niewystarczające by mogło z nich powstać jeszcze coś nowego. To tylko książka!

Dlatego też autor SF ma stokroć łatwiej. Bazuje w końcu (jak również literatura głównego nurtu) na podstawach naszego wszechświata, akcja dzieje się wtedy, tu, gdzieś daleko w przyszłości daleko w gwiazdach, ale na tym świecie, w TEJ przestrzeni Pieśni Stworzenia. Co już z tym zastanym światem zrobi...to już tylko od jego talentu zależy.

Jeżeli pisarz zdecyduje się tworzyć opowieści w materii fantasy, musi przygotować się na zmierzenie z wielkim wyzwaniem - bycia tak naprawdę demiurgiem małego wszechświata tworzącego na materii Słowa Stworzenia.

To zadanie bardzo trudne, ale też i niebezpieczne. Jak niebezpieczne, niech świadczy o tym historia pewnego znienawidzonego w ławach szkolnych poety zmagającego się ze Słowem. Napisał on na długo przed Tolkienem, dzieło pt. „Dziady", gdzie w III części czytamy następujące zdanie włożone w miotającego się w Wielkiej Improwizacji Gustawa/Konrada:

„(...)Ja mistrz!
Ja mistrz wyciągam dłonie!
Wyciągam aż na niebiosa i kładę me dłonie
Na gwiazdach jak na szklanych harmoniki kręgach.
To nagłym, to wolnym ruchem,
Kręcę gwiazdy moim duchem.
Milijon tonów płynie; w tonów milijonie
Każdy ton ja dobyłem, wiem o każdym tonie;
Zgadzam je, dzielę i łączę,
W tęczę, i w akordy, i we strofy płaczące,
Rozlewam je we dźwiękach i błyskawic wstęgach.-
Odjąłem ręce, wzniosłem nad świata krawędzie,
I kręgi harmoniki wstrzymały się w pędzie.
Sam śpiewam, słyszę me śpiewy.
(...)
Boga, natury godne takie pienie!
Pieśń to wielka, pieśń-tworzenie
Taka pieśń jest siła dzielność

Taka pieśń to nieśmiertelność!
Ja czuję nieśmiertelność, nieśmiertelność tworzę
Cóż ty większego mogłeś zrobić - Boże?"[13]

A. Mickiewicz śmiało opisał mękę i pokusy jakie spotykają człowieka - twórcę wobec Słowa Stworzenia. Obcowanie z tak wielką i nieokiełznaną materią rodzi pokusę zajęcia miejsca Boga, jest więc czymś wymagającym wielkich cnót własnych, przede wszystkim pokory. Pokora rzadko kiedy jest przymiotem egocentrycznych artystów, dlatego w konfrontacji z aktem kreacji, większość przyjmujących Słowo Stworzenia, kończy jak nieszczęsny Gustaw/Konrad/Adam.

Tolkien na szczęście takim artystą z formy ani z poczucia nie był. Na co dzień prowadził ustabilizowane życie, służąc skromnie Prawdzie w jaką wierzył. Sprawował też mało ekscytującą funkcje statecznego profesora nobilitowanej angielskiej uczelni. Wystarczająco też w życiu przeszedł[14], by nauczyło go to pokory. To, że poszedł śmiałą drogą kreacji Słowem Stworzenia, nie uderzyło mu do głowy, nie zniszczyło jak wielu artystów przed nim i po nim[15].

Zawsze podkreślał, że zapisywał tylko albo raczej odczytywał to, co o usłyszał o Śródziemiu. Sam siebie nie uznawał za demiurga wykreowanego świata, nie chciał prowadzić wojen o panowanie nad tak stworzonym światem ze Stwórcą Słowa Stworzenia, modelować je podle swej wizji, rzucać wyzwanie Bogu jak Gustaw/Konrad/Adam (zdanie o autentyczności pokory i skromności JRRT, poświadczają mu współcześni[16]).

No dobrze, ktoś zapyta, co mi po takich radach, przecież drugim Tolkienem nie będę, nie jestem w stanie stworzyć kompletnego języka, który mógłby przenieść Słowo Stworzenia na papier - po prostu nie mam takich zdolności, pokory itp. jak Profesor.

Zgoda, to prawda, Tolkien był jeden i niepowtarzalny ale jego droga zbudowania wszechświata nie jest jedyna. Jest jak na razie najbardziej znana i sprawdzona. Pozostaje tylko uświadomić sobie autorze fantasy, że próbując w jakimś stopniu naśladować Tolkiena, musisz liczyć się z trudnościami, jakie on zwycięsko przeszedł. Czy jesteś w stanie im podołać?

Na szczęście od czasu wydania „Władcy Pierścieni" fantasy dorobiła się kilku powieści, a więc i światów wartych uwagi, które pokazują, że można coś jeszcze zdziałać.

Jednym z nich jest świat Ziemiomorza U.K. Le Guin. Piękna opowieść o czarnoksiężniku z Archipelagu o imieniu Ged ma ten jakże istotny składnik świata, jaką jest własna pieśń stworzenia. Tym zaczyna się książka

„Tylko w milczeniu słowo,
tylko w ciemności światło,
tylko w umieraniu życie,
na pustym niebie jasny jest lot sokoła"[17].

W całym świecie Ea, prawdziwa mowa, którą posługują się tylko smoki i czarodzieje, która jest językiem magii opisującej prawdziwą naturę świata, zwłaszcza imiona mające niezwykłe znaczenie, pojawia się rzadko acz treściwie. U.K. Le Guin nie próbuje nawet zmierzyć się z budową nowego języka, choć stale zaznacza jego obecność i fundamentalne znaczenie dla istnienia świata. To właśnie odróżnia jej dzieło od tych wszystkich autorów, którzy traktują „pieśń stworzenia" jako nic tak naprawdę nie wnoszący zabieg stylistyczny.

Tak pobieżne pójście drogą kreacji Słowem Stworzenia, wystarczyło jednak, by cykl Ziemiomorze uznany został za jedną z najlepszych opowieści fantasy, wymienianą jednym tchem, zaraz za Tolkienem.

Wielu innych autorów fantasy używa też języków obcych ras. Pojawiają się w świecie, określają nazwy geograficzne, imiona bohaterów itp. Tak jak owe „pieśni stworzenia" tak i tu, tworzenie nowych języków nie odbywa się drogą kreacji, budowania spójnego i logicz-

---

[13] A. Mickiewicz „Dziady. Poema. Część III".

[14] np. Dwie wojny światowe-w jednej czynnie walcząc.

[15] Mickiewicz też musiał swoje przejść nim napisał wiersz „Polały się me łzy..." - jednak nie wszystek przegrał!

[16] Polecam zwłaszcza: „Tolkien, Księga pamiątkowa pod redakcją Josepha Pearce" Zysk i s-ka, Poznań 2003.

[17] U.K. Le Guin „Czarnoksiężnik z Archipelagu" Gdańsk 1991, tłum. St. Barańczak.

nego języka, jednym słowem nie jest to świadome działanie. Autorzy „chrzczą" swą krainę nazwami, nowymi słowami nic nie znaczącymi, zapewne na poczekaniu, jedynie by kompozycyjne „fajnie" brzmiały. Po czym to widać? Po tym, że taki wszechświat przy głębszej eksploracji rozłazi się w szwach, bo brak jest owego tajemniczego „życia" jakie siedzi we Śródziemiu.

Te uwagi na pierwszy rzut oka dotyczyć mogą Wiedźmina A. Sapkowskiego.

Sam autor jak i konstrukcja świata jaką przyjął wykluczają cokolwiek takiego jak własna „pieśń stworzenia". Również języki się

rys. Piotr Woś

tam pojawiające np. język elfów nic nie znaczy a jedynie ładnie wygląda[18]. Mimo tego coś w świecie Wiedźmina siedzi, coś nadaje mu „życie", które potrafiło rozkręcić „wiedźminomanię" końca lat 90.

Być może wiarygodność temu światu nadało czerpanie przez A. Sapkowskiego bezpośrednio z naszych legend a więc z naszej Pieśni Stworzenia. Wszak pierwsze (w opinii mojej i wielu innych najlepsze) opowieści o Geralcie z Rivii bazowały wyłącznie na obróbce bajek i legend jakie wszyscy znamy z dzieciństwa (Kopciuszek, bazyliszek, Piękna i Bestia, smok wawelski). Na tej podstawie A. Sapkowski zakreślił[19] świat Wiedźmina - niewątpliwie „dożywiając" go swoim niezaprzeczalnym talentem i erudycją. Wszystko to wystarczyło, by powstały opowiadania, trafiające do ścisłego kanonu fantasy. Co dalej się z tym światem stało w „Sadze o Wiedźminie", to już inna sprawa, myślę, że samo bazowanie na legendach i „archetypach" to jednak za mało na „coś więcej" by stworzyć wiarygodny wszechświat fantasy.

Podsumowując.

Autorze fantasy, masz dwie główne drogi twórczego działania w krainie fantasy.

Możesz próbować iść drogą Tolkiena, ale to wymaga zmierzenia się z trudnościami, które mogą łatwo cię przerosnąć, choć mając ich świadomość, możesz stworzyć coś udanego jak np. Ziemiomorze. Możesz też iść drogą A. Sapkowskiego, tzn. poszukać sobie własnych, ontologicznych podstaw twojego świata, co łatwe nie jest ale w porównaniu z zabiegami z kreacją Słowem Stworzenia, wydaje się znacznie prostsze (nie zawsze dając jednak do końca satysfakcjonujący efekt - vide Wiedźmin).

Pola do eksploatacji tematu są wbrew pozorom ogromne, co pokazuje choćby Jacek Dukaj.

Powodzenia więc! Czekam na twoje opowieści!

Maciej Witkowiak

[18] Co przyznaje sam autor na spotkaniach autorskich.

[19] Choć on zapewne temu by gorąco zaprzeczył.

poczet głupków

rys. Paweł Piechnik

Dur(szl)ak

Bałwan - skrytobójca

rys. Piotr Woś

Maggamoń

Zakuty łeb

PYRKON
Konwent Miłośników Fantastyki

TAK... JUŻ NIEDŁUGO!!!

Klub Fantastyki „DRUGA ERA" w Poznaniu, wraz z Poznańskim Fan-Klubem Star Wars im. Wuhera, klubem „ARDA" oraz całym zrzeszonym i niezrzeszonym fandomem poznańskim ma zaszczyt i przyjemność po raz szósty zaprosić na **PYRKON**. Konwent odbędzie się w Poznaniu w dniach **26-28 marca 2004 r.**, jak zwykle w Szkole Podstawowej nr 21 przy ulicy Łozowej 77.

W programie znajdą się m. in. prelekcje i konkursy, spotkania autorskie, prezentacje wydawnictw, przedstawienie teatralne, gry fabularne, LARP-y, turnieje gier karcianych i bitewnych.
Nie zabraknie atrakcji dla miłośników średniowiecza i sztuk walki, tradycyjnie bogato zapowiada się blok Star Wars.
Nie zapominamy również o fanach komiksu, mangi i anime.

Koszt akredytacji wyniesie jedyne 25 zł, koszt noclegów w sali zbiorowej 5 zł. Istnieje też możliwość rezerwacji noclegu w hotelu położonym w najbliższym sąsiedztwie konwentu, już od 35 zł/dobę.

Bliższe informacje już niedługo: **www.2era.website.pl**
Zgłoszenia, pytania, propozycje: **pyrkon2004@o2.pl**
Kontakt: **Paweł Ostrowski, pawelostrowski@tlen.pl, tel. 604 112 225**

„Inne Planety" to fanzin **Klubu Fantastyki „Druga Era"** działającego przy **Akademii Ekonomicznej w Poznaniu**
„Inne Planety" redagują zbiorowo:
Piotr Derkacz, Tomek R. Barczyk, Krzysztof Głuch,
Beata Sobiło, Michał Protasiuk, Maciej Witkowiak, Wojtek Szyda
stali współpracownicy: Jacek Sobota, Iwona Michałowska.
Nakład: 300 egzemplarzy, oddano do druku w grudniu 2003
Wydrukowano dzięki uprzejmości Akademii Ekonomicznej w Poznaniu
Autorzy rysunków: Alicja Chmiela, Paweł Piechnik, Adam Pieńkowski, Piotr Woś, Radq.
NUMER DEDYKOWANY PLANECIE GŁUPCÓW

KLUB FANTASTYKI DRUGA ERA